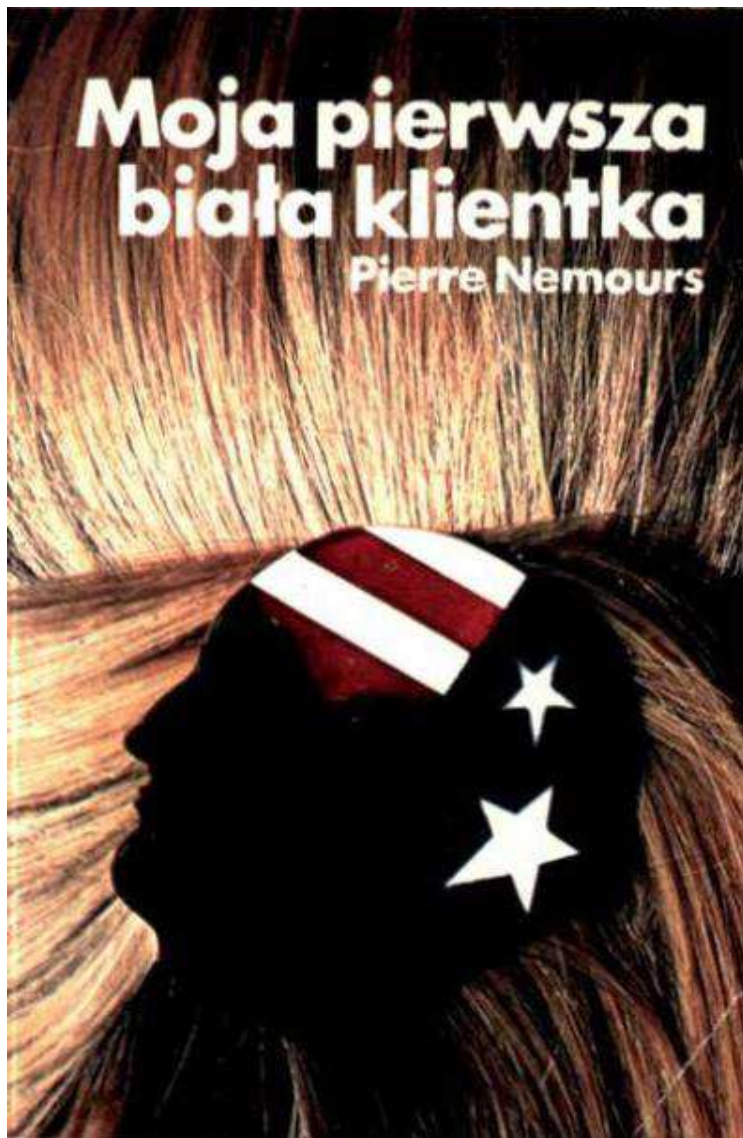


# Moja pierwsza biała klientka

Pierre Nemours



**Pierre**

**Nemours**

**Moja pierwsza  
biała klientka**

Przełożył

Mieczysław Derbień



Krajowa Agencja Wydawnicza

Tytuł oryginału francuskiego *Ma première cliente blanche*

Fotograficzny projekt okładki

*Jan i Waldyna Fleischmann*

Układ typograficzny okładki i karty tytułowej

*Teresa Cichowicz-Porada*

Redaktor *Krystyna Tybora*

Redaktor techniczny

*Alina Szubert*

Korektor

*Teresa Malinowska*

©Editions Fleuve Noir, Paryż 1972

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

RSW „PRASA–KSIĄŻKA–RUCH”

WARSZAWA 1977

Wydanie pierwsze

Nakład: 1/100 000 egz.

Objętość: ark. wyd. 8,64, ark. druk. 8,89

Papier druk. mat. ki: V, 70 g, BI

Oddano do składu 2 kwietnia 1976 r.

Podpisano do druku w lutym 1977 r.

Druk ukończono w kwietniu 1977 r.

Rzeszowskie Zakłady Graficzne,

Rzeszów

ul. Marchlewskiego 19

Nr prod. XII-5/438/75.

Zam. 1246/76 F-21

Cena zł 30 –

## LUIZA

Elektryczny zegar z ruchomymi klapkami – takie nowoczesne urządzenie, które zamiast poruszać dwoma wskazówkami wyrzuca cztery cyfry – wskazywał godzinę szesnastą piętnaście. Nie miałem żadnych powodów, aby wątpić w jej prawdziwość, bo w końcu mechanizmy te mimo dziwne formy (do której można się było w ciągu dwunastu lat już jakoś przyzwyczaić) działały tak, jak normalne zegary.

Jest to oczywiście drobiazg i nie wspominałbym o nim, gdyby nie był jeszcze jednym następstwem minionej wojny. Przedtem w Ameryce liczono zawsze godziny do dwunastej; dodawano tylko dwie literki: a.m., co określało czas przed południem oraz p.m. dla oznaczenia wieczora. Naturalnie, gdy trzeba było walczyć w różnych zakątkach świata od wybrzeży Normandii aż po Okinawę, na ziemi w powietrzu, na wodzie i pod wodą, należało do prowadzić to wszystko do jakiegoś porządku, znormalizować. I w ten sposób przyzwyczajono się liczyć minuty i godziny od 00,01 do 23,59. Może te i naprawdę lepiej?

Była więc godzina szesnasta minut piętnaście, a pogoda taka, jakby Pan Bóg rozpałił naraz wszystkie możliwe ogniska. Oślepiające słońce na czystym niebie, oślepiające szczególnie tu, na trzydziestym drugim piętrze, na które – bez względu na to, co się mówi – ucieka się choćby przed zanieczyszczeniem atmosfery.

Kalendarz informował, że mamy siódmego października. Ale jest to tak zwane indiańskie lato. Tu u nas nazywa się ten okres „Indzun Summer”, przy czym słowo „Indian” pisze się fonetycznie, gdyż my, Amerykanie, jesteśmy z ortografią zazwyczaj na bakier. O indiańskim lecie mówi się wówczas, kiedy późna jesień jest piękna, kiedy zaczynają się złocić klony, brzozy i topole, a słońce nie straciło jeszcze nic ze swego wyżu i ziemia wydaje ten wspaniały zapach końca lata.

To wszystko, o czym tu mówię, jest trochę fantazją, gdyż mieszkam w mieście, a na wsi bywam bardzo rzadko. Ale wystarczy, że zamknę oczy, by od razu pojawiły się przede mną chmary dziewcząt, opalających się w słońcu i złocących się jak owe wysmukłe topole, o których wspominałem; oczywiście jawią mi się one na kalifornijskich plażach albo na wytwornych basenach Colorado Springs czy Nevady, a nie tutaj, w środku lądu.

Tutaj, w Springville, także są dziewczyny i baseny, ale jest ich znacznie mniej. Nie jest to bowiem miejsce przeznaczone do spędzania wakacji, lecz miasto, w którym się ciężko haruje, bo kiedy się nie haruje, to można zanudzić się w nim na śmierć.

Trudno jednak skarżyć się na coś w taki właśnie dzień jak dzisiejszy, w to przepiękne popołudnie indiańskiego lata, kiedy nawet cieniutka warstwa kurzu, leżąca na grubych teczkach akt i poważnych

szafach bibliotecznych, skąpana jest w promieniach słońca.

Wszedłem właśnie do swego biura i minąłem pokój mojej sekretarki, Luizy Wright, która obrzuciła mnie znów surowym spojrzeniem, uważając moje pojawienie się o tej godzinie za skandal. Marzy o szefie, który rozpoczynałby urzędowanie dokładnie o godzinie dziesiątej rano i opuszczał biuro na pół godziny, między trzynastą trzydzieści a czternastą, by spożyć drugie śniadanie. Ta dziewczyna stworzona została do pracy w towarzystwie ubezpieczeń! Często bez słowa sprzeciwu pracuje wieczorem. Ciekawe, co ją do tego skłania – miłość do pracy czy do szefa?

Zapewne wyobraziła sobie, że uczestniczyłem w jakiejś pijackiej orgii, gdy ja tymczasem zaledwie wypilem małe piwo i spokojnie spałem we własnym łóżku. I to sam. Mała przyjemna sješta, oto co było przyczyną mojego spóźnienia. A rezultat? Przychodzę w doskonałej formie, bo nie ma nic lepszego niż krótka drzemka, kiedy ma się spokojny umysł i czyste sumienie.

Sprawa, którą prowadziłem do wczoraj, wymagała po jej zakończeniu pewnego odprężenia. Ray Ogden i jego banda małych pyskaczy za bardzo sobie już poczyną w dzielnicach po tamtej stronie rzeki. Oczywiście, nie uważam siebie za uosobienie sprawiedliwości ani tym bardziej za kogoś w rodzaju Zorro, ale twierdzę, że w społeczeństwie, a zwłaszcza takim jak nasze, należy zachowywać pewne minimum zasad i żyć według określonych norm. Ray Ogden i jego rzezimieszki trochę przekroczyli te normy. Prawdopodobnie myślecie, że nie było nic prostszego, jak zaalarmować policję. Oczywiście... Ale moi klienci nie bardzo to lubią, co naturalnie nie oznacza, że sami są nieuczciwi. Po prostu mieli już tyle przykrych doświadczeń

z przedstawicielami prawa, że... Policja w Stanach Zjednoczonych to taka instytucja, o której twierdzić, że znajduje się na usługach każdego obywatela, znaczyłoby tyle, co popełnić poważny błąd. Jednym słowem, moi klienci woleli, abym wszystko załatwił sam.

Uważacie zapewne, że najprościej byłoby sprawić solidne lanie Ogdenowi i jego koleżkom. No cóż... Być może, ale ja niczym nie przypominam King Konga ani nie jestem jakimś nadczłowiekiem. Jestem taki jak inni: niezłe zbudowany mężczyzna o wzroście metr siedemdziesiąt osiem centymetrów, a przy tym cała zabawa polega na tym, że pracuję i walczę wyłącznie za pomocą głowy, czyli moich szarych komórek, jak mawiał prywatny detektyw w powieściach pewnej damy sprzed wojny. W tej sytuacji należało znaleźć sposób, który pokrzyżowałby szyki bandy Ogdena.

Naturalnie, sposób taki znalazłem. Dziś po tamtej stronie rzeki oddycha się już spokojniej.

Teraz przyznacie chyba, że sjęsta była zasłużona?

\* \* \*

A więc zdradziłem się. Jestem prywatnym detektywem. Taki jest mój zawód. Zresztą jest on wypisany na drzwiach mego biura, łączącego się z pokojem, w którym urzęduje Luiza: „Richard B.Benson. Private”. Tym, którzy wolno myślą, pozwolę sobie wyjaśnić tę grę słów. Przede wszystkim Richard. To moje imię. Richard B.Benson. Co znaczy to B., wyjaśnię trochę później. Na razie spróbujcie skoncentrować swoją uwagę na słowie Richard. Jak brzmi zdrobniała forma tego imienia po angielsku?

Naturalnie, Dick. A „dick” to także skrót, mniej lub bardziej żargonowy, od słowa „detektywa”. Dick Benson... Jasne?

Przejdźmy teraz do słowa „private”. Prywatny, jeśli wolicie. Słowo to umieszcza się na drzwiach biura czy kantoru kupca, aby oddzielić miejsce publiczne od jego osobistej domeny. Ale „prywatny” odnosi się także do niezależnego detektywa. Nazywa się ich nawet „private eyes”, czyli prywatne oczy. Musicie więc przyznać, że napis „Richard B.Benson. Private” na tabliczce umieszczonej na drzwiach mojego biura jest niemal genialny. Tym bardziej że już wejście na klatkę schodową anonsuje mój zawód. Są tam drzwi, których górna część jest z grubego matowego szkła, a powyżej napisane jest eleganckimi, choć trochę surowymi czarnymi literami: „Richard B.Benson”, a pod tym: „Dochodzenia, badania, sprawy sporne, 4arbitraż”. To wyraźnie określa charakter mojej roboty: kiedy ludzie przychodzą do mnie, to najczęściej po to, aby oszczędzić sobie kłopotów, kosztów procesowania się i oficjalnej interwencji w ich osobiste, najbardziej intymne sprawy.

I do mnie należy ich załatwianie.

Zazwyczaj zanim usiądę, zdejmuję marynarkę. Wieszam ją na wieszaku w szafie, a potem przez kilka chwil przyglądam się temu, co dzieje się za wielkim oknem.

U moich stóp rozciąga się szeroka panorama Springville. Zaiste, wiele zmieniło się w tym mieście w ciągu czterech lat, odkąd tu przebywam. To prawdziwe amerykańskie miasto w pełnym rozkwicie, przeżywające ogromny boom gospodarczy. Oto nie opodal mego okna wznosi do nieba czterdzieści osiem pięter Aeme Building, a obok o pięć pięter niższy Miller Building, domy, których w ogóle nie było, kiedy tu przybyłem. Mogę powiedzieć, że tu, w Wascoe



Tower, dosłownie suszyłem tynki. Jestem pierwszym użytkownikiem pomieszczeń biurowych, które zajmuję. Wynająłem je niemal na planie. Kosztowało mnie to kupę forsy i w dalszym ciągu płacę co miesiąc horrendalny czynsz, ale w moim zawodzie biuro w takim wieżowcu przedstawia wartość złota. Olbrzymi hol na parterze, z masą sklepów, a dalej cała bateria wind z windziarzami w szameryowanych złotem mundurach świadczą o wysokim poziomie i zamożności, a jednocześnie zapewniają absolutną anonimowość. W wieżowcu tym bowiem ma swoje biura około tysiąca firm najróżniejszych branż. Na moim piętrze znam tylko najbliższych sąsiadów, a i to też nie osobiście. Właściwie nie są mi obce jedynie wywieszki na drzwiach ich biur. Trzy firmy na moim piętrze zajmują się importem-eksporem, dwóch adwokatów specjalizuje się w sprawach zawodowych, jest także biuro patentowe i agent zajmujący się nieruchomościami.

Wszystko to oznacza, że ludzie, którzy przychodzą do mnie po poradę, są całkowicie zagubieni w tłumie. A czegoż innego szuka się, idąc do biura prywatnego detektywa?

Budynek ten jest idealny zresztą nie tylko przez ów swój charakter, ale także dzięki położeniu topograficznemu. Jesteśmy usytuowani na skraju „downtown”, to znaczy handlowego centrum Springville. Z mojego okna wyraźnie widać to, co usiłuję wam przekazać. Rzeka dzieli w jakiś sposób miasto, to znaczy miasto pionierów, którego całe ulice pochodzą z początku naszego wieku. Jest w nim wprawdzie kilka budynków, które mają od dziesięciu do dwudziestu pięter, ale przeważnie są poczerńnięte od dymu i oglądanie ich nie należy do przyjemności.

Rozwój miasta po drugiej wojnie światowej sprawił, że na lewym

brzegu rzeki zaczęły jak grzyby po deszczu wyrastać wspaniałe gmachy, kina, teatry, wielkie magazyny i rezydencjonalne dzielnice willowe biznesu.

Stare miasto powoli opanowali kolorowi emigranci. Kiedy spadły w nim czynsze, całe rodziny czarnych i czekoladowych robotników z gromadkami wrzaskliwych i zasmarkanych bachorów zajmowały najpierw domy, jeden po drugim, a potem całe ulice. Skąd przybywały te rodziny? Z wielkich miast na wschodzie i ze środkowego wschodu, głównie z Nowego Jorku, Filadelfii, a później z Detroit i Chicago, Milwaukee, z miast, w których koegzystencja stawała się coraz mniej pokojowa i stwarzała coraz większe problemy. Można by powiedzieć, że w naszych czasach zaczął się rodzaj migracji czarnych na zachód, podobny ubiegłowiecznej migracji białych.

Jednym słowem, stare miasto wkrótce zamieniło się w getto. Rozumiecie, że nie można już było mieszkać na prawym brzegu rzeki, a tym bardziej nie można było tu budować. W związku z tym domy powoli przeistaczały się w ruiny, a ulice były coraz gorzej utrzymane, gdyż władze miejskie cały swój wysiłek skierowały na rozwój przyzwoitych dzielnic. Knajpy i nocne lokale powstawały tam bez zezwoleń, bez planu, a przede wszystkim bez żadnej kontroli. Porządku pilnował oddział kolorowych policjantów, których liczba była więcej niż niewystarczająca. Biali policjanci wolą omijać stare dzielnice. Przechodzą na drugą stronę mostów tylko w letnie wieczory, kiedy czarni denerwują się, wpadają w trans i zaczynają wszystko niszczyć. Wtedy przybywają w kaskach z opuszczonymi plastikowymi, chroniącymi twarz przyłbicami, z pałkami w rękach, karabinami na ramionach, uzbrojeni po zęby, wspierani przez motopompy i

granaty łzawiące. Towarzyszą im psy policyjne, a mer na wszelki wypadek mobilizuje gwardię narodową.

Wascoe Tower, w którym króluje Richard B. Benson, znajduje się naturalnie po „dobrej”, lewej stronie rzeki, choć w dzielnicy bezpośrednio sąsiadującej ze starym miastem. Wystarczy tylko przejść most Lincolna, który widzę zresztą z okien mojego pokoju.

Zapewniam was, że cholernie piękny jest widok połyskującej rzeki, odbłasków słońca w szybach i stalowych żebrach budynków, karoserii samochodów na ulicy i tej lekkiej, niewyraźnej mgiełki, która spowija wszystko, nadając obrazom piętno romantyzmu, choć w gruncie rzeczy jest oparem z paskudztw wznoszących się nad każdym miastem w Stanach Zjednoczonych. I jeszcze kilku krajów wysoko rozwiniętych, jak to gdzieś wyczytałem.

Oderwałem oczy od wspaniałego widoku, zasiadłem w głębokim fotelu i, naturalnie, położyłem nogi na biurku. Powiecie, że to skandal. I oczywiście będziecie mieli rację, tym bardziej że umeblowanie wcale nie należy do tanich. Na jasnozielonym dywanie Harmonijnie rozmieściłem tradycyjność i nowoczesność, klasycyzm i funkcjonalność. Moje biurko jest mahoniowe, podobnie jak stojący w rogu mały stolik, przy którym prowadzę rozmowy. Pozostałe sprzęty są metalowe, ale przytulne. Nie muszę jednak ukrywać, że jestem detektywem, który ma powodzenie i może zafundować sobie otoczenie odpowiednie do swoich możliwości, co powinni zauważyć przede wszystkim moi klienci. Jest to konieczne, bo przecież determinuje wysokość moich honorariów.

Na szczęście na biurku leży gruba szklana płyta, więc moje buty nie rysują błyszczącej politory. A przyjąłem tę pozycję, ponieważ

powiedziałem Luizie, aby mi nie przeszkadzała. Dzięki temu nie wejdzie znieńcka do gabinetu i nie obrzuci mnie pełnym uszczypliwości spojrzaniem umęczonej pani domu.

Muszę przyznać, że potrafi doskonale sama zajmować się moimi sprawami. Płacę jej przyzwoitą pensję, ale mogę was zapewnić, że uczciwie zarabia każdy cent. Poprzez drzwi słyszę szybkie trzaskanie maszyny do pisania i od czasu do czasu jej piękny, metaliczny głos, odpowiadający interesantom przez telefon.

Nie jestem tu jednak po to, aby wypoczywać. Otworzyłem więc prawą szufladę biurka, które po swej lewej stronie chowa całą serię bardzo potrzebnych zabawek: różnego rodzaju magnetofony, połączone z dyskretnymi mikrofonami, dającymi się zamontować w przedziwnych miejscach, a nawet urządzenie uruchamiające niewielki aparat filmowy, którego obiektyw jest ukryty w jednym z obrazów wiszących na ścianie. Poważniejsze przedmioty znajdują się jednak w szufladach z prawej: butelka burbonu, pudełko cygar, nie mówiąc o rewolwerze kaliber 38, który potrafi znaleźć się w moim ręku szybciej, niż trwa oddech któregośkolwiek z moich klientów.

Wyciągnąłem z szuflady ciekawy kryminał, z rodzaju tych, jakie lubię, nalałem do szklanki przyzwoitą porcję złocistego burbonu, zapaliłem jedno z grubych cygar i zatopiłem się całkowicie w czytaniu.

\* \* \*

W pierwszej chwili nie zdałem sobie sprawy, że jest już prawie wpół do siódmej, gdy Luiza wtargnęła do mojego królestwa bez pukania czy jakiegokolwiek innego uprzedzenia i

oczywiście – zrobiła przerażoną minę, widząc mnie w tak wygodnej pozie. Doprawdy, kobiety nie potrafią pojąć, że mężczyzna pracuje przede wszystkim przy pomocy szarych komórek i potrzebuje relaksu sprzyjającego rozwojowi intelektu. Wiele razy tłumaczyłem to Luizie. Niestety, bez skutku. Zrozumienie tego jest sprzeczne z jej naturą. Ona jest po prostu doskonałą sekretarką. Punktualna, systematyczna, zdyscyplinowana, choć trochę nudna. Oczywiście, jej zalety nie ograniczają się wyłącznie do zalet dobrej sekretarki. Luiza jest jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek spotkałem. Ma prawie mój wzrost i jest zbudowana jak bogini: jej wymiary mogłyby doprowadzić do szaleństwa jurorów niejednego konkursu piękności. Wspaniały biust, opięty ciasnym sweterkiem, wcięta talia oraz zmysłowa harmonia bioder i pośladków – to, mówiąc między nami mężczyznami, pokusy nie do odparcia. Luiza jest typową Amerykanką. Wypielęgnowana, zawsze w pantoflach na wysokich obcasach, poruszająca się z wdziękiem, którego wspomnienie przyprawia mnie często o bezsenność. W tym momencie sprawiała jednak wrażenie osoby, która ma w rękach dynamit. Jej oczy rzucały błyskawice. Dłonie były zaciśnięte w pięści. Patrząc na nią, doszedłem do wniosku, że moja poza jest absolutnie nieodpowiednia. Nie brałem tego jednak zbyt poważnie. Przede wszystkim dlatego, że w żadnym przypadku nie mogłem dopuścić, aby być zdominowanym przez własną sekretarkę. Możecie mi wierzyć, że w ciągu dwóch lat, odkąd ze mną pracowała, miałem czas, aby się nad tym wszystkim dokładnie zastanowić. Moim zdaniem, istniały trzy możliwe rozwiązania.

Mogę zrobić z niej swoją kochankę. I marzę o tym, a jestem przekonany – co wyznam bez zbytej zarozumiałości – że i ona

tego właśnie by chciała. Ale w takim razie – to koniec: tracę cały autorytet.

Mogę się z nią ożenić. Ale to jeszcze gorzej. Pozostawałaby wówczas w domu. A ja uważam, że mój zawód nie da się pogodzić z małżeństwem. Naturalnie zamierzam, podobnie jak wszyscy, przygotować sobie małych Bensonów na moje stare lata. Ale jeszcze nie zaraz. Mam szczęście, że zawód mój to złota żyła. Niechże więc odłożę sobie trochę forsy. A potem ożenię się i ponieważ skończyłem prawo, otworzę sobie gabinet porad prawnych z regularnymi godzinami urzędowania itd. itd. Ale o tym pomówimy później.

I wreszcie, mogę ją po prostu wyrzucić i przyjąć na jej miejsce jakąś osobę, która nie skłaniałaby mnie do rozważań tej natury, brzydką jak noc. No, ale...

Nip brałem Luizy zbyt poważnie, jednak zdjąłem nogi z biurka, odłożyłem kryminał, schowałem szklankę i butelkę do szuflady i zapytałem dowcipnie:

- Co się stało? Pali się?
- Tak by się wydawało, sądząc po ilości dymu, która pana ota-  
cza – powiedziała cierpko, patrząc na mnie z niesmakiem. – Przyszła  
klientka i żąda natychmiastowego przyjęcia.

Spojrzałem na Luizę ze zdziwieniem. Przecież to nie pierwszy raz zjawia się klientka nagle, bez zapowiedzi i domaga się natychmiastowego przyjęcia przez samego szefa. Luiza potrafiła dotychczas dawać sobie z takimi radę. Jeśli teraz pozwala sobą powodować, to znaczy, że jest z nią niedobrze.

- O co chodzi? Czy dziewczyna jest inaczej zbudowana niż inne? A może ma trzy nogi i ogon z piór?

– Nie – odpowiedziała mi lodowatym tonem. – Nie zauważyłam u niej żadnych znaków szczególnych, prócz tego, że jest... biała.

## JANICE

Spojrzałem na nią przerażony, zadając sobie mimo woli pytanie, czy nie zajrzała przypadkiem do jednej z moich butelek. Ale Luiza nie mogła oczywiście ulec takiemu przypadkowi. Położyłem więc obie dłonie na biurku i zapytałem:

– Czy pani jest pewna? A może to osoba, która „przekroczyła granicę?”

Nie raczyła mi nawet odpowiedzieć. Cóż, przyznaję, że pytanie było naprawdę idiotyczne. W naszym żargonie ci, którzy „przekraczają granicę”, to ludzie o skórze białej, lecz z małą domieszką krwi murzyńskiej. W każdym towarzystwie białych mogą oni uchodzić za osoby białe. Ale my, ludzie kolorowi, nie mylimy się nigdy. Od razu znajdujemy, jakby instynktownie, jakiś maleńki szczegół, dziąsła czy nasadę paznokci, które ich zdradzają. Dlatego właśnie Luiza nie raczyła mi odpowiedzieć. Była pewna swoich słów. Kiedy powiedziała, że osoba jest biała, to z pewnością jest biała.

Wstałem. Przesunąłem dźwignię aparatu klimatyzacyjnego do końca, aby usunąć dym, i zamyślony, podążyłem w stronę szafy, gdzie wisiała moja marynarka.

Teraz wszystko rozumiecie. Kiedy rozpoczęliście czytać tę historię, z pewnością pomyśleliście, że to jeszcze jedna bajeczka, której bohaterem jest prywatny detektyw bawiący się w kotka i

myszkę z policją. Takie historyjki liczą się na tysiące. Ale w tym przypadku sprawa wygląda inaczej. Moja historia jest historią Murzynów.

Luiza też jest Murzynką. Jestem pewien, że każdy z was obejrzałby się za nią na ulicy. Ta wspaniała istota ma brązową skórę, prześliczne, długie kończyny, delikatne palce. Znakomita, rasowa dziewczyna, doskonała od stóp do głowy. W paryskim metrze lub wielkim hotelu w Wiedniu byłaby prawdopodobnie przyczyną wielu katastrof i dramatów. Tu natomiast jest „kolorową”, jest Murzynką. A werdykt zapadł już dawno.

To samo dotyczy mojej osoby. Trudno mi jest przedstawić swój własny portret. Można powiedzieć, że jestem zarazem i sędzią, i stroną. Nie sprawiam wrażenia kogoś, kto przed chwilą wyszedł z głębi dziewiczej puszczy. W moich żyłach płynie pewna domieszka białej krwi. Jak zresztą u nas wszystkich; w Alabamie, w Kentucky, Arkansas czy w Luizjanie biali byli przed laty bardzo pedantyczni, jeśli chodziło o zachowanie czystości własnej rasy, ale znacznie mniej dbali o zasady, kiedy chciało im się zabawy.

Nie jestem w stu procentach typem negroidalnym. Moje „muryństwo”, jak twierdzi któryś z prezydentów afrykańskich, widoczne jest w krótkich kręconych włosach, kolorze skóry i słabo rozwiniętym zaroście. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że ciało mam wytatuowane, a pierś przeoraną plemiennymi bliznami.

Moi przodkowie przybyli z Afryki prawdopodobnie na początku XVIII wieku. Z pewnością pracowali na polach południa i ładowali ciężkie beły bawełny na barki płynące po Missisipi. Wszystko to jednak działo się bardzo dawno. Wydaje mi się, że krainę „old Man River” opuścili oni po wojnie secesyjnej, aby zamieszkać na północy.



Ja urodziłem się na przedmieściu Filadelfii. Tam też urodził się mój ojciec i mój dziadek. Żyli oni w czasach zupełnej rezygnacji, a więc w czasach, które dla nas, Murzynów, były czasami pokoju. Nie znano wówczas jeszcze „Czarnej Siły”, a mistrz świata w wadze ciężkiej nie kazał nazywać się Muhammadem Ali. Pracowało się u białych albo dla białych. Radował nas uśmiech i poklepywanie po ramieniu: byliśmy pod tym względem podobni do psów cieszących się z pieszczoty.

W przekonaniu, że taki porządek świata jest słuszny i naturalny, miały nas utwierdzić nabożeństwa i szkółki niedzielne. Śpiewano w nich „spiritualis”, a pastor słał Boga. Były to czasy „Niebieskich pastwisk”... Biali niemalże nam zazdrościli: dzięki ciężarowi rasizmu, który Bóg włożył na nasze barki, mieliśmy szansę, że wcześniej niż oni zobaczymy te „niebieskie pastwiska”.

W takiej właśnie atmosferze byłem wychowywany. Ach, prawda, obiecałem wam przecież, że wyjaśnię znaczenie inicjału „B”. przed moim nazwiskiem. Myślicie pewnie, że zgodnie z amerykańskim obyczajem jest to pierwsza litera mojego drugiego imienia. Otóż nie! To jest inicjał mojego pierwszego imienia. Moi starzy nazwali mnie Benjamin. Jak Jakub swego dwunastego syna na znak uwielbienia i posłuszeństwa. Bo trzeba wam wiedzieć, że Jakub chciał zachować dla siebie swojego najmłodszego jako podporę starości. Pamiętacie...? Rachela zmarła wydając go na świat. Ale Józef zażądał, aby przysłało mu dziecko, i Jakub posłuchał. Był to święty przykład w rodzinie. W dniu moich imienin wszyscy mieli łzy w oczach.

Prawdopodobnie stałbym się wzorem skromności i rezygnacji albo też skończyłbym źle, stając się „Czarną Panterą”, gdyby moim

starym nie udało się, dzięki usilnej pracy, zdobyć niezależności i posłać mnie do college'u. Stamtąd poszedłem nawet na uniwersytet, a ponieważ, jak to już wam mówiłem, skończyłem prawo, wstąpiłem do policji w Filadelfii.

Wydawało mi się, że tam szybko zrobię karierę. Przecież nie po to kuło się prawo na uniwersytecie, aby patrolować brzegi rzeki Delavare, względnie regulować ruch na skrzyżowaniu Broad Street i Walunt. Ale, drodzy moi, szybko zrozumiałem swoją sytuację. Po trzech latach zostałem sierżantem w wydziale zabójstw, bez żadnej nadziei osiągnięcia czegoś lepszego, a oprócz tego okazało się, że jestem „specjalistą” w sprawach dotyczących ludności kolorowej. Nie, nikt mi tego wprost nie powiedział. Segregacja rasowa w szeregach policji nie ma charakteru oficjalnego. Ale jeśli jakaś większa afera kryminalna wychynęła na światło dzienne – a chcę tu zaznaczyć, że można by było napisać grube dzieło na temat wzrostu przestępczości w Filadelfii – i dotyczyła ona Murzynów, byłem pewien, że mi ją zlecą. W grzeczny sposób dawano mi do zrozumienia, że jest to wyłącznie moje sprawa. Jeśli chodziło o sprawy białych, zawsze, jakby przypadkiem, znajdował się wolny właśnie w tej chwili kolega... naturalnie, biały.

Po trzech latach miałem dosyć. Skończyłem dwadzieścia osiem lat i miałem wiele ambicji. Nosilem się już na dobre z zamiarem zmiany zajęcia, kiedy podczas jednej z podróży służbowych do Nowego Jorku spotkałem kolegę z uniwersytetu; też Murzyna. Tim Fortee został adwokatem. Widać było, że dobrze mu się powodzi. Opowiedział mi wiele o Springville, gdzie się zainstalował. Zajmował się sprawami Murzynów. Jego zdaniem, w Springville

było spore pole do popisu dla kompetentnego prywatnego detektywa, który rozwiązywałby kłopoty Murzynów, bo gdy „nasi kolorowi bracia”, jak piszą wszystkie amerykańskie dzienniki, zwracają się do policji, aby broniła ich praw, mają zawsze szansę na to, że zostaną po prostu wykiwani.

Pomysł podobał mi się. Wprawdzie środkowy zachód nie bardzo mi odpowiadał, bo bardzo lubię mieszkać w pobliżu morza, ale w końcu przy bardzo rozwiniętej komunikacji lotniczej... Podałem się do dymisji i przybyłem tutaj.

Możecie mi wierzyć lub nie, ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. Przede wszystkim rozstałem się tutaj z moim imieniem. Uważam, że wystarczy, jeśli ma się nazwisko niewolnika. W samej rzeczy, bo przecież Benson to po prostu „syn Bena”. Kiedyś, kiedy w chacie wuja Toma przychodził na świat Murzynek, nie łamano sobie głowy nad jego stanem cywilnym i rodowodem. Był to po prostu syn Sama czy Toma. I tak musiało być.

Przybrałem imię Richard, bo brzmi dystyngowanie i – ze względu na skojarzenie z Lwim Sercem – po męsku. Nie bez znaczenia była tu także sprawa owej gry słów, o której mówiłem już wyżej.

Wiele osób z tamtej strony rzeki przyjęło mnie dosłownie jak me-sjasza. Szczęście nie opuszczało mnie od pierwszej chwili. Udało mi się zaprowadzić pewien porządek dzięki załatwieniu kilku cwaniaków typu Ogdena i jego bandy i bardzo szybko uzyskałem milczące przyzwolenie szeryfa oraz jego biura. Byli szczęśliwi, że zajmuję się sprawami Murzynów, nie prosząc nikogo ani o pomoc, ani o radę.

Kończenie moich spraw przekazywałem mojemu przyjacielowi, adwokatowi Fortee, i każdy z nas na tym korzystał. Od czterech lat

zarabiam uczciwie na życie, świadcząc przy tym sporo usług mieszkańcom miasta. Nie wydaje się wam chyba, że każdy może to o sobie powiedzieć.

– Czy mam ją wprowadzić? – spytała zniecierpliwiona Luiza.

Z tonu pytania zrozumiałem, że moja współpracownica uczyni to bez względu na moją zgodę.

Droga Luizy wiodła z przeciwnego niż mój kierunku. Ja przybyłem ze wschodniego wybrzeża. Ona z Kalifornii. Nie pytajcie mnie, jakimi drogami. Nie pytajcie o to również jej, bo w migracji kolorowych rodzin w Stanach w ciągu ostatnich stu lat nie rozeznałby się nawet sam diabeł. Ale wydaje mi się, że Luiza, której rodzice byli wyznania rzymskokatolickiego – stąd hiszpańskie brzmienie jej imienia – ma w swoich żyłach nie tylko domieszkę krwi białej, tak jak ja, ale również odrobinę indiańskiej. Jest to zapewne powodem owego szczególnego „odblasku” jej oczu oraz skóry. Jej uroda jest przez to cieplejsza, a charakter bardziej uparty i zdecydowany.

Klimatyzator dobrze się napracował, odświeżając powietrze w moim gabinecie. Zadowolony spojrzałem dookoła: wewnątrz to musiało na każdym zrobić korzystne wrażenie. Nawet na białej kobiecie.

Przyzwalająco skinąłem głową. Luiza wyszła, aby wprowadzić nieznaną, a ja zasiadłem głęboko w fotelu za biurkiem i zacząłem przeglądać jakieś akta, aby dodać sobie więcej powagi.

Kiedy ochłoniłem z pierwszego wrażenia, byłem pewien, że jeśli osoba ta jest istotnie w kłopotach, to prawdopodobnie pomyliła adres. Znalazła go zapewne w książce telefonicznej, która nie precyzuje przecież, jakiej barwy jest moja skóra. Kolorowa sekretarka jeszcze jej nie dziwi. Od pewnego czasu należy do dobrego tonu zatrudnianie

Murzynów na innych stanowiskach niż pomywaczki i zamiatacze ulic. Musieliście zauważyć to w TV. Komisarze Ironside czy Mannix mają wśród najbliższych współpracowników przynajmniej jednego (lub jedną) Murzyna. Kiedy zobaczy, iż szef jest również kolorowy, wówczas wycofa się w grzeczny sposób. Jest to rzecz absolutnie pewna.

A jednak, moi drodzy, tym razem pomyliłem się. I to całkowicie.

Luiza wprowadziła klientkę do gabinetu i wyszła, zamykając za sobą drzwi obite grubym wołokiem.

– Dzień dobry, panie Benson. Jestem panu bardzo wdzięczna, że zechciał pan mnie przyjąć bez poprzedniego porozumienia się.

Mój wygląd bynajmniej jej nie zdziwił. Zajęła miejsce w stojącym naprzeciw biurka skórzanym fotelu.

\* \* \*

Siedziałem osłupiały. W ciągu sekundy cały pokój był jej pełen. Pojawiła się niczym ożaglowana fregata, ozdobiona flagami, wpływająca do zbyt wąskiego portu. Była uosobieniem typu zaborczej blondynki siejącej wszędzie spustoszenie i przywodziła na myśl Marilyn Monroe czy Joan Harlowe. Z tym jednak że wydawała się bardziej mieszczańska, cechowała ją bowiem pewna rezerwa. Pytanie, które zadałem przed chwilą Luizie, objawiło mi się teraz w całej swej przeogromnej głupocie. Dziewczyna była w stu procentach biała, a prócz tego miała cholerną klasę. Była bardzo ładna. Szczególną uwagę zwracały jej oczy, twarde jak stal, patrzące rozkazująco. Takie spojrzenia widywałem tylko u kobiet pochodzących z warstw posiadających. Wynikały z przyzwyczajenia do rozkazywania i otrzymywania.

Ubrana była wyjściowo. Lekki, jasnoszary płaszcz rozchylił się nieco, ukazując elegancką, popołudniową, głęboko wyciętą granatową suknię, której dekolt podkreślony był jednym rzędem pereł o wartości przekraczającej z pewnością trzymiesięczną pensję wysoko kwalifikowanego robotnika.

Założyła nogę na nogę. Przyznać trzeba, że miała je wspaniale! Z pewnością mogły spowodować zawrót głowy niejednemu z naszych dziadków, ale w epoce mini spódnic człowiek niczemu się już nie dziwi.

Nie muszę dodawać, że wszystkie dodatki do jej stroju były bez zarzutu; zarówno pantofle ze skóry węża, jak i wykonana z identycznego materiału torebka.

Patrzyła na mnie z uwagą, czekając prawdopodobnie, że może ja pierwszy zadam pytanie. Twarz jej była poważna. Nie smutna, ale właśnie poważna, tak jakby sprawa, z którą przyszła, była dla niej niezwykle istotna. Doszedłem do wniosku, że nie może być mowy o pomyłce: ta biała lady przyszła zobaczyć kolorowego detektywa. Otworzyłem dyskretnie górną lewą szufladę biurka i nacisnąłem dwa guziki. Przygotowałem się do zarejestrowania rozmowy i równoczesnego przekazania jej do sekretariatu Luizy. Możecie uważać, iż jestem przewrażliwiony, ale zapewniam was, że kiedy biała kobieta zamyka się w pokoju z Murzynem, to niestety nie może on zaniedbać żadnych środków ostrożności.

Posłałem jej mój najwspanialszy uśmiech typu „zrelaksuj się i miej do mnie zaufanie” i powiedziałem:

– Jestem bardzo zajęty, proszę pani, ale teraz mam właśnie wolną chwilę. Czy można wiedzieć, co panią do mnie sprowadza?

Otworzyła torbę, wyjęła z niej złotą papierośnicę i zapalniczkę,

zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała spokojnie:

– Nazywam się Ebinger. Janice Ebinger.

## ARNOLD

Poczułem się tak, jakby mnie kto uderzył maczugą w tył głowy. Daję uczciwe słowo honoru, że gdybym nie siedział głęboko we własnym fotelu, ugięłyby się pode mną nogi. Nie mogłem sobie darować, że jej od razu nie poznałem. Widziałem przecież dziesiątki razy jej zdjęcie w „Citizen” – najpopularniejszym dzienniku wychodzącym w Springville.

Nadrobiłem miną jak bokser, którego gong ratuje od nokautu.

– Poznałem panią od razu. Jest pani małżonką Arnolda Ebinger, prawda?

Skinęła głową. Twarz jej była w dalszym ciągu bardzo poważna.

Byłem pewien, że w sekretariacie Luiza grzebie się już w dokumentacji. Arnold Ebinger nie był naszym klientem, nie był nawet naszym potencjalnym klientem, ale z pewnością mieliśmy o nim jakieś dane, gdyż należał do grubych ryb Springville.

Ebinger był właścicielem całej sieci domów towarowych i naturalnie milionerem. Kontrolował niezliczoną ilość barów, ale przede wszystkim robił karierę polityczną. Zaczął ją dość późno, prawdopodobnie wówczas, gdy znudziła go już rola agenta wyborczego partii republikańskiej, chętnie wykorzystującej jego wpływy. Cała prasa

poświęcała mu ostatnio wiele miejsca, pisząc, że ma zamiar kandydować w wyborach uzupełniających, zdaje się na stanowisko mera.

Ponieważ nie jesteście prawdopodobnie dobrze zorientowani w amerykańskim systemie politycznym, który zresztą nie jest wcale prosty, postaram się wam to wytłumaczyć. Otóż co cztery lata są w Stanach przede wszystkim wybory powszechne, których celem jest wybranie prezydenta. Ale również co cztery lata odbywają się wybory parlamentarne, które przypadają w innym parzystym roku niż wybory prezydenckie. To znaczy: posyłacie faceta do Białego Domu w 1968, 1972, 1976 roku. Ale Izbę Reprezentantów i część Senatu odnawiacie w 1970, 1974 i 1978 roku. Ponieważ wypada to akurat w połowie czasu trwania mandatu prezydenckiego, nazywa się te wybory mid-term elections. Przy tej okazji, zgodnie z prawodawstwem poszczególnych stanów, zmienia się lub wybiera ponownie gubernatorów pewnej liczby stanów, a także osoby piastujące urzędy publiczne w miastach, jak mer, szeryf czy districk attorney (prokurator okręgowy, jeśli wolicie). I otóż Arnold Ebinger postanowił wreszcie działać w polityce tak sanio, jak w swoich interesach. Na własny rachunek. Podobno – czego dokładnie nie śledziłem – kandyduje na stanowisko mera Springville.

Musicie przyznać, że żona faceta tak wielkiego kalibru siedząca w moim biurze na fotelu przeznaczonym dla klientów – to jest coś! Cóż z tego, że ukończyłem szkołę średnią i uniwersytet, skoro jestem tylko Murzynem, o czym ani przez moment nie powinienem zapominać.

– Proszę pani – odezwałem się z godnością, biorąc byka za rogi – jak pani wiadomo, jestem prywatnym detektywem. Kiedy przychodzi



się do człowieka mojego fachu, oznacza to, że ma się pewne kłopoty. A więc pytam panią po prostu: czy przychodzi pani do mnie w charakterze klienta?

W jej oczach zauważyłem kpiący błysk: jeżeli nie przychodzi jako klientka, to cóż może tu robić? Przełożyła nogę na nogę. Mignęły mi przed oczyma zgrabne, opalone uda. Oczywiście nosi rajstopy. Skromnie odwróciłem wzrok i spojrzałem w jej oczy.

– Przychodzę do pana właśnie jako klientka – powiedziała. – Ale to nie ja mam nieprzyjemności. Obawiam się, że ma je mój mąż.

\* \* \*

A więc zupełnie inna historia. Arnold Ebinger, bogaty, potężny szef nie wiem ilu-tam-set pracowników, małżonek obecnej tutaj facetki, ma nieprzyjemności, a jego żona przychodzi do małego prywatnego detektywa zupełnie tak, jakby on sam nie umiał załatwić swoich drobnych spraw.

– To zaskakujące – odezwałem się spokojnym tonem. – Pan Ebinger jest człowiekiem ogólnie znanym, dysponującym ogromnymi możliwościami i nie rozumiem...

– Zrozumie pan, Benson – przerwała mi. – Chciałabym tylko, aby jedno było między nami jasne: bez względu na to, jaki będzie wynik naszej rozmowy, musi ona pozostać absolutną tajemnicą. Jest to sprawa życia lub śmierci.

Ton jej wypowiedzi wywierał pewne wrażenie, ale przyznam, że takie zdanie słyszałem już nieraz.

– Proszę pani – odpowiedziałem z godnością – od czterech lat prowadzę swój interes w Springville, a przedtem przez trzy lata pracowałem w policji filadelfijskiej. Pozwoli pani sobie powiedzieć,

że prosperuję tylko dzięki temu, iż tajemnice moich klientów są również moimi tajemnicami.

– Wierzę panu. Gdybym nie była o tym przekonana, nie wdziałby mnie pan w swoim gabinecie. Jednak sprawa jest tak poważna, że to zastrzeżenie wydało mi się konieczne.

– Daję pani moje słowo, że wszystko, co będzie powiedziane w tym pokoju, nie wyjdzie poza jego progi – powiedziałem głośno, a w myślach, aby uspokoić własne sumienie, dodałem pośpiesznie: „nie wyjdzie z pokoju Luizy”.

– A więc – zaczęła Janice Ebinger – jak pan wie, mój mąż, który zajmuje poważne stanowisko w gospodarce i handlu tego miasta, postanowił kandydować na stanowisko mera.

– Wiem o tym.

– Muszę się panu przyznać, że perspektywa ta wcale mi się nie uśmiecha. Mąż mój jest człowiekiem bogatym. Praktycznie ma wszystko, czego pragnie. Ale nigdy nie można osiągnąć takiej pozycji, nie robiąc sobie wrogów. A wie pan, co pomnaża szeregi wrogów?

– Naturalnie! Polityka – odpowiedziałem.

– Ma pan rację. Dlatego właśnie zjawiłam się u pana. Od kilku dni niepokoję się o Arnolda.

– Dlaczego? – spytałem z niewinną miną. – Czy boli go wątroba?

Wzruszyła ramionami, jakby poczuła się zawiedziona.

– Nie. Ale sprawia wrażenie człowieka, który ma poważne nieprzyjemności.

– Czy pani pytała go, o co chodzi?

– Oczywiście! Przecież jestem jego żoną. Ale on wykręcał się z odpowiedzią. Wiem, że jego kłopoty nie mają żadnego związku z interesami. Te idą doskonale. Ponieważ przygnębienie nie leży w

jego naturze, wydaje mi się, że źródło zmartwień tkwi w ambicjach politycznych. Dziś rano pozwoliłam sobie nawet przetrząsnąć jego biurko, naturalnie podczas jego nieobecności.

Powiedziała to bez zmrużenia oka. Niezły ananasik! Grzebie się w sprawach swego pana i władcy, bada je dokładnie i ze spokojnym sumieniem, bo uważa, że robi to w imię dobrej sprawy!

- I co pani znalazła? – spytałem ostrożnie.
- List z pogroźkami.

Gwizdnąłem cicho.

– No, no! List z pogroźkami, skierowany do obywatela tak wiele znaczącego w mieście jak Arnold Ebinger? Należy natychmiast zawiadomić policję! Myślę, że pani to już zrobiła.

Potrząsnęła swoją piękną, jasną głową.

- Nie – odpowiedziała po prostu.
- Ale dlaczego?
- Po pierwsze – stwierdziła nie bez pewnej logiki – jeżeli Arnold nie zrobił tego sam, to pewnie miał po temu powody. A poza tym ten list jest bardzo dziwny.

- Czy mogę go zobaczyć?
- Naturalnie. Przyszłam po to, aby go panu pokazać.

Wyjęła z torebki złożoną we czworo kartkę papieru i podała mi ją. Liścik był bardzo krótki:

*„Ebinger, nie będziesz nigdy merem Springville. Jeżeli staniesz do wyborów, zginiesz. To jest ostatnie ostrzeżenie”.*

Najważniejszy był podpis. Była to sylwetka czarnej pantery w skoku.

W pierwszym momencie osłupiałem jak rażony gromem. Długo obracałem kartkę w rękach, wreszcie odezwałem się:

– Czy pozwoli pani?

Umocowałem list na specjalnym ekranie, umieszczonym po lewej stronie biurka, i nacisnąłem guzik włączający silne światło, które podświetliło papier. Każdy zorientowałby się, że starałem się zyskać na czasie.

– Teraz rozumiem, dlaczego pani zwróciła się do mnie – powiedziałem. – Pomyślała pani, że jestem jedynym kolorowym detektywem w mieście i potrafię odnaleźć tych, którzy wysłali ten list do pani męża.

– Nie tylko o to chodzi – sprostowała. – Zasięgałam informacji o panu. Cieszy się pan znakomitą reputacją, jako człowiek umiejący załatwić sprawy dla dobra obu stron.

Skrzywiłem się. Sprawa „Czarnych Panter” wcale mi się nie podobala. Proszę mi wierzyć, nie jestem zwolennikiem segregacji rasowej. Uważam, że trzeba przeprowadzić walkę, zdobyć równe dla wszystkich prawa. Po to jest ruch o prawa obywatelskie. Pastor Martin Luther King wskazał drogę. „We shall overcome”<sup>1</sup>. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale nie drogą przemocy. Przeciwnie, raczej pokazując, że to my jesteśmy bardziej cywilizowani. „Czarne Pantery”, „Black Muskim” i inni fanatycy pracują w istocie na rzecz tych, którym zależy na zniszczeniu społeczeństwa amerykańskiego. Mnie się wydaje, że skoro urodziliśmy się w tym społeczeństwie, to do nas należy ulepszenie go. Naszym działaniem oczywiście. A przede wszystkim naszą godnością. Terror mi nie odpowiada.

<sup>1</sup> Zwyciężymy. Pieśń bojowników ruchu o prawa obywatelskie.

Janice Ebinger pojęła moje opory. Natychmiast wygłosiła dłuższą mowę obronną.

– Niech pan zrozumie, panie Benson – odezwała się ze wzruszeniem w głosie. – Myślałam, że jest pan człowiekiem najlepiej nadającym się do skontaktowania z tymi ludźmi i wytłumaczenia im, że Arnold był zawsze po stronie czarnych. Mój mąż jest liberałem. Zatrudnia wielu kolorowych w swoich przedsiębiorstwach. Traktuje ich tak samo jak innych obywateli. – Czarującym ruchem spłotła dłoń. – Zapewniam pana – ciągnęła dalej – że Murzyni w Springville zyskają bardzo dużo, jeśli mój mąż zostanie merem... Zupełnie nie rozumiem sensu tych pogrózek!

Muszę przyznać, że ja, człowiek kolorowy, również nie rozumiałem. Pilnowałem się jednak, aby jej tego nie powiedzieć. Wyciągnąłem liścik spod szkła mojego aparatu i położyłem go na biurku.

– A więc? – spytała. – Czy zgodzi się pan przeprowadzić śledztwo?

– A na czym ono ma właściwie polegać i do czego zmierzać?

– Chodzi o to, aby odnaleźć autora tego anonimowego listu.

– Oraz listy, które go poprzedziły, ponieważ mówi się w nim, że jest to ostatnie ostrzeżenie.

– Naturalnie. Mnie się też tak wydaje.

– A później? Wyobraźmy sobie, że odnajdę listy i autora.

– No cóż, wówczas zdecydujemy. Być może zwrócę się do pana, aby bronił pan sprawy Arnolda albo zorganizował spotkanie między nim a tymi... „Czarnymi Panterami”. Czy zgadza się pan?

Przez kilka chwil bębniłem palcami w biurko.

– Chcę być wobec pani absolutnie szczery. Każda sprawa, której się podejmuję, jest dla mnie nie tylko środkiem do zarabiania pieniędzy. Nigdy nie zaczynam niczego, jeżeli nie mam minimalnych

choćby szans na doprowadzenie tego do końca. Jest to zasada, którą się zawsze kieruję, i dlatego muszę się zastanowić.

– Zgoda – powiedziała z czarującym uśmiechem. – Ale proszę nie zastanawiać się zbyt długo, gdyż naprawdę jestem zaniepokojona. À propos, mówił pan o pieniądzach; oczywiście zgadzam się na wszystkie pańskie warunki.

– To świetnie – skinąłem głową. – Jutro w południe dam pani znać. Czy to pani odpowiada?

– Owszem. I naturalnie moja wizyta u pana pozostaje tajemnicą?

– To zrozumiałe.

Wstała z fotela.

– Może lepiej, żeby pan oddał mi ten anonimowy list? Jeżeli pan się nie zdecyduje na prowadzenie sprawy, pokażę go policji.

– Bardzo słusznie – powiedziałem zwracając jej kartkę.

Obszedłem biurko i odprowadziłem ją aż do drzwi wyjściowych.

– A więc umówiliśmy się na jutrzejsze południe? – upewniła się pani Ebinger, kiedy minęliśmy już sekretariat, w którym królowała Luiza. – Mój numer telefonu znajdzie pan w książce.

– Tak – powiedziałem podając jej rękę na po. żegnanie.

Zniknęła za drzwiami. W pokoju pozostał tylko zapach jej perfum, subtelnych i bardzo drogich.

Moja pierwsza biała klientka jest kobietą światową.

Usiadłem na biurku mojej sekretarki i zapaliłem papierosa w chwili, gdy wyłączała swój magnetofon.

– Co pani o tym myśli, Luizo?

Miała urażoną minę. Zawsze tak się zachowuje, kiedy przyjmuje przystojną klientkę.

– Myślę – odpowiedziała zgryźliwie – że pan aż drży z chęci pracowania dla pięknej pani Ebinger.

– Myli się pani – zaprotestowałem. – Pani Ebinger będzie potraktowana tak jak każdy. Po pierwsze wszystko muszę sprawdzić. Zresztą jak pani wie, powiedziałem jej o tym.

Wkręciła nową kartkę papieru w maszynę do pisania z takim gestem, jakby chciała powiedzieć: „gadaj sobie zdrów!”

Chętnie dałbym jej kilka klapsów. Tym bardziej że zgadła. Chciałem pracować dla pani Ebinger. To wielka klasa, a przy tym jakież wspaniałe ma uda... Słowo daję, nie jestem rasistą.

– W każdym razie – powiedziałem spokojnym głosem – jeżeli chcę zebrać wszystkie wiadomości, które mają wpłynąć na moją decyzję, muszę się tym zająć natychmiast. Zamknij pani biuro. Ale zanim to pani uczyni, sprawdzimy, czy wszystko dobrze funkcjonowało.

Weszła za mną do mego gabinetu. Wyciągnąłem szufladę z lewej strony i wyjąłem karteczkę z fotokopiarki. List z pogrózkami, podpisany wizerunkiem czarnej pantery, był wiernie odbity. Obejrzałem go bardzo uważnie.

– Czy wierzy pani w te pogróżki? – spytałem.

– Nie – odpowiedziała ostro Luiza.

Spojrzałem na nią uważnie. Wiem, że ta dziewczyna jest o mnie zazdrosna, ale czy w tym wypadku tylko o to chodziło? W sprawach dotyczących kolorowych Luiza, aktywna bojowniczką, jest dużo lepiej zorientowana niż ja.

Wypełniłem kieszenie marynarki oraz spodni niezbędnymi przedmiotami, wziąłem kapelusz i wyruszyłem na wojenną ścieżkę.

## STUART

Pierwszy etap: piętro niżej. Tam mieści się biuro mego przyjaciela, adwokata Tima Fortee. Jest to typ przyzwyczajony, poważny i miły, dwa lata starszy ode mnie, co znaczy, że ma trzydzieści dwa lata. Skórę ma ciemniejszą od mojej, bardziej, jak to się u nas mówi, afrykańską. Nosi okulary o grubych szklach, jest bowiem krótkowidzem. Sprawia trochę wrażenie ryby, ale jest on jednym z najlepszych przyjaciół, jakich może mieć człowiek; a do tego potrafi zawsze dobrze i mądrze poradzić.

Opowiedziałem mu całą historię. Dziwne, jest dużo mniej sceptyczny od Luiza. Dla niego wszelkie sprawy związane z wyborami mogą grozić wszystkim najgorszym. Uważa, że zawsze jest pewna ilość ludzi, którzy chcieliby sabotować wybory po to, aby położyć demokrację na obie łopatki.

Tim bronił kilka razy pracowników Arnolda Ebingera i dlatego jego informacje pozwalają mi uzupełnić dane zawarte na małej kartce, którą Luiza mi podała w chwili, gdy opuszczałem biuro.

Powoli zaczynam poznawać mojego pierwszego białego klienta. Arnold Ebinger urodził się w 1919 roku w Chicago. Ma więc pięćdziesiąt trzy lata. Pochodzi ze środowiska ludzi biednych, robotników. W młodości prawdopodobnie szwendał się po ulicach miasta. Nie uczęszczał do szkoły średniej, a tym bardziej na uniwersytet. O jego losie zdecydował koniec 1942 roku. Arnold Ebinger wstąpił do piechoty morskiej. Brał udział w wojnie na Pacyfiku. Powrócił z niej w randze sierżanta, z kilkoma odznaczeniami. A więc bohater. W 1946 roku w całej glorii sławy żeni się z Jackie Minelli, córką hurtownika owoców i jarzyn w Chicago, człowieka zamożnego. Arnold



Ebinger pracuje ze swoim teściem. Interesy kwitną. Arnold wykorzystuje powojenne ożywienie gospodarcze i w 1950 roku otwiera swój pierwszy dom towarowy w Springville.

Jest to znakomite, wręcz genialne posunięcie! Miasto przeżywa okres prosperity. Po kilku latach otwiera drugi supermarket, a następnie trzeci. Arnold Ebinger staje się w Springville grubą rybą. Wraz z żoną i córką, Deborah, która urodziła się w 1947 roku, a więc w rok po ślubie, opuszcza wynajmowany w dzielnicy willowej apartament i przeprowadza się do wielkiego domu zbudowanego na jednym ze wzgórz otaczających miasto od zachodu. Teraz należy już do wielkiej burżuazji.

Wiedzie mu się wspaniale. Aż do tragicznej śmierci Jackie Minelli. Córka włoskiego imigranta, który zaczynał swoją karierę w halach Chicago, zginęła w katastrofie lotniczej, wracając do Springville z wybrzeża Pacyfiku, gdzie przebywała na wakacjach jej córka.

Był to dla Ebingera potężny cios. Aby zapomnieć o stracie żony, rzuca się w wir interesów. Otwiera czwarty dom towarowy, a ponieważ w tej branży ma już niemal wszystko, zabiera się do lemoniady. Powoli zaczyna kontrolować pewną ilość restauracji, barów, a nawet nocnych lokali. W 1956 roku Arnold Ebinger żeni się z Janice Dunn, dziewczyną z zachodu, liczącą sobie wówczas dwadzieścia dwa lata. Moja pierwsza biała klientka ma wobec tego dwadzieścia dziewięć lat. Na tyle też mniej więcej ją oceniłem.

– Czy ta historia z groźbami „Czarnych Panter” wydaje ci się prawdopodobna?

– Nie tylko prawdopodobna, ale i bardzo niebezpieczna – odpowiedział Tim Fortee, patrząc na mnie poważnie zza swoich grubych szkielec. – Nikt nie może z góry przewidzieć, co te typy knują. Wiesz

tak samo dobrze jak i ja, w jaki sposób rozpoczynają się niepokoje w dużych miastach. Wybuch jest zawsze nagły, ale przygotowuje się go długo. Na twoim miejscu zastanawiałbym się nad każdym krokiem.

– Miej do mnie zaufanie – powiedziałem mu zamiast „do widzenia”. – Będę bardzo uważał.

\* \* \*

Z kabiny telefonicznej zadzwoniłem do Stuarta Rennera, kierownika działu miejskiego dziennika „Citizen”. Renner to dobry kumpel i stuprocentowy biały. Wiele razy miałem z nim do czynienia w sprawach, które mnie interesowały, i stwierdziłem, że jest to chłopak szczerzy i obiektywny: ani negrofob, ani negrofil. Obie te cechy uważam za równie obrzydliwe. Biali, którzy w stosunku do nas zachowują się normalnie, należą do rzadkości. Ale Stuart Renner był właśnie taki. Dla niego każdy obywatel USA jest tylko i wyłącznie Amerykaninem.

Na szczęście był wolny i mógł ze mną zjeść kolację. Umówiłem się z nim w niewielkiej włoskiej restauracyjce w pobliżu redakcji.

Ciągnąłem małymi łydkami białe cinzano, czekając na niego w zapewniającej dyskrecję łozy, obsługiwany osobiście przez właściciela, Sycylińczyka, który mnie znał. Z pomocą Tima Fortee udało mi się naszkicować sylwetkę Arnolda Ebingera, pozostawało mi jeszcze urealnić ten obraz. W tej sprawie liczyłem na Stuarta. Nie ma człowieka znającego lepiej od niego wszystkie tajemnice życia w Springville.

Zjawił się zadyszany, jak każdy szanujący się dziennikarz. Chwilę

zastanawialiśmy się nad menu. W końcu zdecydowaliśmy się na specjalność restauracji – spaghetti z krabami.

Kiedy opowiedziałem mu, o co chodzi, zmarszczył czoło.

– Co ty masz za sprawy z Ebingerem? – spytał podejrzliwie.

– Nic specjalnego – zapewniłem go. – Chodzi o to, że mam klienta, który rości do niego pretensje. Sam rozumiesz, że chciałbym wiedzieć, w co włązę, zanim zdecyduję się na zajęcie tą sprawą.

– A więc jeżeli chcesz prawdziwie przyjacielskiej rady – powiedział Stuart Renner, sącząc swoje cinzano – najlepiej zrobisz, jeżeli wycofasz się z tego interesu.

– Dlaczego?

– Dlatego że Ebinger to bardzo niebezpieczny facet.

– O, protestuję. Zatrzymaj się. Człowiek z taką twarzą jak Ebinger nie może być niebezpieczny. Nie pozwala mu na to jego stanowisko. Jest ponad to.

Stuart odczekał, aż właściciel, który nakładał nam właśnie na talerze smaczne danie, oddali się. Potem nachylił się do mnie i powiedział szeptem:

– Myślę, że ty już zasięgnąłeś jakichś informacji o Ebingerze.

– Naturalnie. Znam z grubsza historię jego kariery: wojna na Pacyfiku, piechota morską, bohaterstwo, świetne małżeństwo, geniusz do interesów itd. itd.

– Ech! – zauważył Stuart posypując spaghetti parmezanem. – To wszystko prawda, ale jest jeszcze odwrotna strona medalu.

– Powiedz, co wiesz!

– A więc wojna pozwoliła Ebingerowi przyoblec zupełnie nową skórę. W Chicago mówi się, że w młodości obracał się w bardzo

złym towarzystwie. Był członkiem bandy i to jedna z najgorszych. Z pewnością stałby się podrzędnym przestępcą, gdyby Japończykom nie strzeliło do głowy zaatakować Pearl Harboru.

– Dziwne jest to życie. Wojna przyniosła Ebingerowi szacunek i poważanie. Przynajmniej tak cię rozumiałem.

– No, powiedzmy – zauważył Stuart przełykając spaghetti. – Nad jego karierą czuwała żona. A wiesz, jacy są włoscy imigranci: cnotliwi, głęboko wierzący katolicy, trzymający się zawsze w kupie. Jednym słowem, pierwsza pani Ebinger była kobietą powszechnie szanowaną.

– A druga nie? – spytałem.

– Nie wkładaj mi w usta tego, czego nie powiedziałem. Nie mówię z tobą o jego drugiej żonie, lecz wyłącznie o pierwszej i o konsekwencjach jej śmierci.

– To znaczy?

– Arnold został w 1959 roku wdowcem, i to bardzo bogatym. Z początku była rozpacz. Poświęcił się całkowicie swojej dorastającej córce.

– W 59 roku Deborah miała zaledwie dwanaście lat.

– Widzę, że masz świetne informacje! Tak. Umieścił ją w szkole prowadzonej przez zakonnicę. A potem coraz częściej zaczęli zjawiać się u niego drobni kombinatorzy z propozycjami lukratywnych inwestycji.

– W rodzaju różnych bistro?

– Tak, w rodzaju bistro – potwierdził Stuart.

– I stare przyzwyczajenia wzięły górę?

– Coś w tym rodzaju. Arnold kupił bar na Ósmej Ulicy. Nazywał się „Giovanni”. Klientela była różna, ale nie zwracano na to uwagi.

– Co, myślisz, że siedzi w kontrabandzie, w szantażach, w handlu żywym towarem? A może w narkotykach?

– Słuchaj, nie rozpędzaj się! – przerwał ni Renner. – Wiesz, że dobrze znam to miasto. Nie jest ono bardziej zgniłe niż inne. Wydaje mi się, że nawet mniej niż wielkie miasta. To nie jest ani Nowy Jork, ani Chicago. Nie przeszkodziło to jednak, że w 1965 roku Ebinger posiadał już trzy bary i dwie restauracje, a oś jego wpływów przesunęła się, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. „Być może, że pewna ilość wymuszeń i szantaży odbywała się bez jego wiedzy...”

– I bez jego bezpośredniego udziału...

– Jeśli chcesz. W każdym razie kombinatorzy polityczni, zawodowcy od robienia wyborów, chętnie zbierali się w jego lokalach. Arnold Ebinger stał się szarą eminencją polityczną.

– Mówi się o nim, że jest agentem wyborczym partii republikańskiej.

– To prawda. Od trzech czy czterech lat kontroluje działalność republikanów na naszym terenie. Brał udział, i to nawet bardzo czynny, w wyborach senatora McGhee w 1968 roku, a także w wyborach do władz lokalnych: mer Rian, szeryf O'Malley, prokurator okręgowy. Mitchell.

Odsunąłem od siebie pusty talerz i zapaliłem papierosa.

– W sumie, jeśli dobrze rozumiem, Ebingerowi znudziła się już robota dla innych i w tym roku zdecydował się popracować dla siebie.

– Masz rację – powiedział Stuart, zapalając również papierosa. – Przyznam ci się jednak, że ta wiadomość poruszyła nas wszystkich.

– Dlaczego?

– A więc słuchaj. Przede wszystkim – psychika tego pana.

Arnold Ebinger jest człowiekiem, który uwielbia pociągać za sznurki, lecz nie lubi występować na scenie, a tu nagle, zaledwie trzy tygodnie temu, oświadczył oficjalnie, że będzie kandydować na stanowisko mera. Nikt się tego nie spodziewał, zaskoczyło nas to.

– Wydaje się, że jego żonę także – powiedziałem. – Miałem okazję z nią rozmawiać i chyba zupełnie jej nie zależy na tym, aby być panią merową.

– Naprawdę? – spytał Stuart obrzucając mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem. – Dotychczas widziałem jedyny motyw tej decyzji: ambicje jego połowicy.

– Właśnie... Powiedz mi coś o niej. Musisz ją chyba znać lepiej niż ktokolwiek inny?

– Cóż mogę o niej powiedzieć...? Ładna dziewczyna. Ożenił się z nią w roku 1965, kiedy jego córka miała osiemnaście lat i wstąpiła na uniwersytet. Mógł ją wtedy wprowadzić w świat i żyć własnym życiem. Janice Dunn pochodzi z Kalifornii. Tani ją poznał. Właściwie nie można o niej nic specjalnego powiedzieć, chyba tylko to, że jest doskonale zbudowana. Taka typowa dziewczyna, jaką kupuje sobie milioner. Jest dokładnie o połowę młodsza od niego. Nigdy nie wykazywała żadnych ambicji. A jeżeli ty zapewniasz mnie, że projekty polityczne męża specjalnie jej nie interesują, trzeba szukać innego wytłumaczenia.

– Na przykład?

– Nie wiem – odpowiedział Stuart, otaczając się kłębam dymu.

– Kiedy wysuwasz swoją kandydaturę w wyborach i jeżeli nie robisz tego dla siebie, to...

– Być może, robisz to przeciw komuś... Tak myślisz?

Mój przyjaciel dziennikarz wznosił ramionami.

– To jest zbyt proste. Nigdy nie słyszałem, aby Arnold Ebinger miał jakieś spory z Rianem, o którego fotel teraz się ubiega. Ale z drugiej strony w człowieku, który przekracza pięćdziesiątkę, może nagle obudzić się tęsknota za honorami. To naturalnie byłoby najprostsze wytłumaczenie. W każdym razie reakcja pani Ebinger, o której mi opowiedziałeś, bardzo mnie interesuje. Muszę poszperać... Jeżeli dowiem się czegokolwiek, natychmiast do ciebie zadzwonię. Zgoda?

– Świetnie. A teraz uciekaj! Z pewnością będziesz chciał jeszcze przejrzeć pierwsze wydanie.

Renner posłuchał mojej rady, a ja zamówiłem czarną kawę. Miałem już teraz przed oczyma obraz Arnolda Ebingera, i to obraz bardzo ciekawy, naświetlony z różnych stron.

Brakowało mi tylko dekoracji, w której należałoby ustawić tę postać.

\* \* \*

Wsiadłem do mego samochodu rocznik 69, o nie rzucającym się w oczy wyglądzie i rozpocząłem przejażdżkę po nocnym Springville. Była godzina jedenasta wieczorem. W prowincjonalnym mieście, takim jak nasze, jest to godzina rozpusty.

Renner podał mi kilka adresów lokali kontrolowanych przez Arnolda Ebingera. Jasne, że nie mogłem odwiedzić wszystkich, ale skorzystałem z okazji, że znajdowałem się w pobliżu Ósmej Ulicy, i zatrzymałem wóz przed nocnym lokalem noszącym nazwę „Louis”. Bez trudu znalazłem miejsce przy pustym o tej porze chodniku i pchnąłem drzwi baru. Był to lokal klasyczny: okna osłonięte ciężkimi firankami, przyćmione światła, zwykły nastrój nocnego lokalu.

Moje wejście nie wzbudziło specjalnego zainteresowania. Orientujecie się chyba doskonale w segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych: są lokale, do których wstęp jest zabroniony ludziom o innym kolorze skóry niż biała, itd. Ale zazwyczaj dzieje się to na południu i w miejscowościach na zachodnim wybrzeżu, nad Pacyfikiem. Tu, w mieście położonym na środkowym zachodzie, problem ten wygląda inaczej. Nikt wam nie powie, że nie jesteście mile widziani w kawiarni czy w nocnym lokalu. Czasem tylko dadzą wam to do zrozumienia, jeżeli macie twarz, która nie bardzo podoba się gościom albo właścicielowi.

Moja twarz przyciągnęła tylko badawcze spojrzenie barmana i siedzącej przy kasie dziewczyny w obcisłym, podkreślającym piersi swetrze, i ze starannie Uczesaną platynową głową.

Na wysokich stołkach przy barze siedziały dwie dziewczyny, ciągnące melancholijnie piwo. Jakiś jegomość przy stoliku stawiał trzeciej coś mocniejszego. Według mnie były to córki Koryntu, ale uprawiające swój zawód w sposób dyskretny, bez szczególnego zwracania na siebie uwagi. Takie miasta jak nasze zachowują jeszcze pozory przyzwoitości. Nie mówię, że cnoty. Po prostu przyzwoitości.

Zamówiłem whisky z lodem. Piłem ją bardzo wolno, nieznacznie rozglądając się dookoła. W bocznej, sali, jak się zorientowałem z dochodzących stamtąd odgłosów, rozgrywano partię pokera. W pewnym momencie wyszedł z niej jakiś rudzielec, który na mój widok gwałtownie się zatrzymał. Jego twarz wydała mi się znajoma. Jestem pewien, że spotkałem go już w centralnym komisariacie policji. Nie umiem sobie jednak przypomnieć, po której stronie bariery.

Rudzielec, patrząc spod na wpół przymkniętych powiek, zapalił



papierosa i z udaną dezynwolturą zniknął w sąsiednim pokoju. Żadna z siedzących przy barze dziewczyn nie usiłowała mnie zaczepić (ale to z powodu koloru mej skóry); barman starał się być lodowato uprzejmy, próbując mnie w ten sposób zniechęcić do zamówienia następnej whisky. Miałem go oczywiście w nosie. W każdym razie orientowałem się już w atmosferze lokalu i doskonale zdawałem sobie sprawę, w jakim kierunku rozwija się przemysł Ebingera.

„Seniorita”, położona w dzielnicy Riverside, jest nocnym lokalem, do którego schodzi się w dół po schodkach, jak do tych wszystkich, w których mistrzowie z Nowego Orleanu rozpoczynali kariery w epoce jazzu.

Przybyłem tam o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści. Dwa-dzieścia par ocierało się o siebie na parkiecie, na którym miejsca wystarczało zaledwie dla dziesięciu. Kolorowa orkiestra była przedniej jakości. Usadowiłem się przy barze, aby obejrzeć występy artystyczne: balet złożony z czterech tancerek i dwa numery striptizu. Publiczność stanowili drobni mieszczanie, dwóch, trzech rzezi-mieszków, trudniących się przy okazji również sutenerstwem. Poznałem ich. Jestem pewien, że i oni mnie zauważyli. Nie mam tu co robić. W Springville mieszkają różni ludzie.

Opuściłem lokal, kiedy opadły ostatnie zasłony drugiej striptizerki. Ładna babka. A figura!

Znalazłem się znów za kierownicą mojego forda i ruszyłem wolno wzdłuż brzegu rzeki. Interes Arnolda Ebingera jest w tej chwili dla mnie zupełnie jasny: żadnych wymuszeń w dosłownym tego słowa znaczeniu, żadnej prostytucji, przynajmniej takiej, jaką znacie. Wyłącznie marginesowa działalność na granicy tego wszystkiego. Doskonale znam te dyskretne lokaliki, których realne dochody nie

są w żadnym stosunku do oficjalnie ujawnianych obrotów. I właśnie one jako dodatek do domów towarowych sprawiają, że przyszły mer miasta nie jest człowiekiem biednym. Jestem jednak pewien, że za tym wszystkim kryje się jakaś organizacja.

W zamyśleniu paliłem papierosa. Przejechałem most i znalazłem się w mojej dzielnicy, która jak to już stwierdziłem, jest dzielnicą elegancką, nową, w większości zamieszkaną przez białych. Kolorowych jest w niej niewielu, a jeżeli już, to są to ludzie, którym się dobrze powodzi.

Zastanawiałem się, jaką odpowiedź dam jutro Janice Ebinger, i zapytywałem siebie, czy warto włączyć w sprawy „Czarnych Panter”.

Wzruszyłem ramionami, mówiąc sobie, że noc przynosi zawsze dobrą radę, i zatrzymałem samochód w pobliżu mego domu. Wysiadłem i powoli ruszyłem alejką prowadzącą przez trawnik. Była ciepła noc, chociaż delikatny powiew wiatru przypominał o nadchodzącej jesieni. Taka prawdziwa noc indiańskiego lata. Nastrój tej nocy nie pomagał mi jednak w powzięciu decyzji. Nie podjąłem jej nawet wówczas, kiedy natknąłem się na trzech drabów.

\* \* \*

Wyszli z cienia mego domu. Już w pierwszej chwili zorientowałem się, że są zawodowcami. Zdradził ich sposób, w jaki mnie otoczyli. Jeden zagroził mi przejście do bramy domu, drugi zaszedł mnie od tyłu, trzeci zbliżył się, nonszalancko trzymając pięści w kieszeniach jasnego palta.

Zakląłem i pomyślałem, że mam zbyt małe szanse wydostania się z tej opresji.

Wszyscy trzej mieli kapelusze nasunięte głęboko na oczy. Nie byli

wprawdzie kolosami, ale wydawali się groźni, a poza tym trzeba pamiętać, że było ich trzech.

Dojście do domu było odcięte, droga do wycofania się również. Nie miałem wyboru. Najlepszą formą obrony jest atak, jak napisał kiedyś Clausewitz. Ruszyłem w kierunku tego, który zagroził mi przejście do bramy. Nie mogłem rozróżnić jego rysów. Zauważyłem tylko jego oczy i zęby, odsłonięte w złym uśmiechu. W chwili kiedy podszedłem do niego, wyciągnął rękę uzbrojoną w krótką maczugę. Wówczas chwyciłem go za przegub i szarpnąłem. Wrzasnął. Byłem zdecydowany złamać mu rękę. Ciągnąłem ze wszystkich sił, trzymając za coś, co przypominało mi bransoletkę, na której graweruje się często imię, nazwisko, adres i grupę krwi. Ułatwiło mi to chwyt. Facet zaklął i kopnął mnie w goleń. Zacisnąłem zęby z bólu, ale ręki nie puściłem. W tym momencie zainkasowałem potężny cios w ucho. Odrzuciło mnie to o dobre cztery metry. Upadłem. Byłem zupełnie oszołomiony. Trzech płatnych zabijaków rzuciło się do mnie. Nie umiem wam opowiedzieć, co się działo w ciągu najbliższych pięciu minut. Spadły na mnie dziesiątki uderzeń. Pracowali ołowianymi rurkami oraz pończochami wypchanymi piaskiem. Ciosy spadały mi na głowę, na boki, na nerki. Parokrotnie usiłowałem powstać na nogi, ale wyperswadowano mi to w sposób bardzo bolesny. Kiedy po raz trzeci padałem na ziemię, doszedłem do wniosku, że trzeba zacząć zupełnie inaczej. Zwinąłem się w kłębek i przykryłem głowę pięściami, czekając na koniec tej zabawy.

Typ, któremu wykręciłem rękę, włączył się do akcji ostatni. Skopał mi boki szpiczastymi pantoflami. Każde kopnięcie wywoływało w moim ciele odczucie straszliwego bólu. Nie mogłem oddychać.

Dusiłem się jak topielec. Na zakończenie całego spektaklu usłyszałem wulgarny głos:

– Masz, przeklęty czarnuchu! Oduczy cię to wtrącania się w cudze sprawy. Radzę ci dobrze, zajmuj się lepiej swoimi kolorowymi. A jeśli dalej będziesz pakował swój czarny nochal tam, gdzie nie trzeba, zaprowadzimy cię na taki spacer, z którego już nie powrócisz.

Otrzymałem jeszcze jeden cios i trzech rzezimieszków oddaliło się, pozostawiając mnie na pół żywego w odległości zaledwie pięciu metrów od bramy mego domu.

Przez długie minuty leżałem na brzuchu, przyciskając policzek do asfaltu, którego chłód przynosił mi pewną ulgę. Byłem tak obolały, że nie mogłem myśleć. Do mojej świadomości docierał wyłącznie jeden sygnał: chcę żyć. Nie zdawałem sobie sprawy, że z każdym oddechem wydobywa się z moich ust przeraźliwy jęk.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w tym stanie. Wydawało mi się, że słyszę przejeżdżające w oddali samochody, kroki przechodniów. W moim najbliższym otoczeniu nie było jednak nikogo. Wreszcie pozbierałem się jakoś, choć nadal czułem się tak, jakbym był stworzony z samego bólu. Powłokłem się, pełznąć na brzuchu, w stronę domu. W końcu udało mi się stanąć na czworakach i w ten sposób posuwać się naprzód. W którymś momencie uderzyłem głową w bramę wejściową. Ciężko dysząc odpoczywałem przez chwilę. Wreszcie uczepiłem się kurczowo klamki i usiłowałem podnieść się na nogi. Wymagało to niemal nadludzkiego wysiłku. Zamknąłem oczy i zobaczyłem fajerwerki sztucznych ogni. Głowa mi pękała. W którymś momencie udało mi się uruchomić automat otwierający

bramę i wczołgać po schodach na pierwsze piętro.

Długą chwilę siedziałem na ziemi przy drzwiach mego mieszkania. Gdy wreszcie poczułem się na tyle silny, by móc sięgnąć do kieszeni po klucze, zauważyłem, że dłoń mam ciągle zaciśniętą w pięść, a wewnątrz niej znajduje się drobna moneta. Nie zwróciłem na to w pierwszej chwili uwagi. Interesowało mnie wyłącznie otwarcie własnych drzwi, zamknięcie ich za sobą i zwalenie się na łóżko.

## „MA”

Obudziłem się o dziewiątej rano. Leżałem na łóżku, ubrany, w podartym garniturze. Kiedy chciałem wyprostować palce prawej ręki, wrzasnąłem z bólu. Trudno opowiedzieć, jak mnie urządzili ci obrzydliwcy. Zostałem pobity w sposób naukowy: sprawiono mi wiele bólu, ale nie pozostawiono śladów. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym ich zaskarżyć.

Pierwszą mądrą czynnością, którą wykonałem, był telefon do „Ma” Tomkins. „Ma” Tomkins to licząca sobie sześćdziesiąt lat, silna jak turecki zapaśnik, monumentalna Murzynka z łapami, przy których ręce Casiusa Claya sprawiałyby wrażenie rąk dziecka. Otóż te ręce są instrumentem potrzebnym do wykonywania jej zawodu. „Ma” Tomkins jest bowiem masażystką. Miałem szczęście, że zastałem ją w domu. Zgodziła się przyjść natychmiast.

Przygotowała gorącą kąpiel, rozebrała mnie i wsadziła do wanny jak noworodka. Podczas gdy moczyłem się w ciepłej wodzie, „Ma” wyciągnęła swoje maści. Zawodowa masażystka wie, co toaczy

dyskrecja. Przy łóżku jedyne go czarnego detektywa w Springville nie należy zadawać pytań. Kiedy jednak wyciągnęła mnie z gorącej wanny i solidnie natarła ręcznikiem, nie wytrzymała.

– Niech mi pan powie, co się panu stało? Przejechał się po panu trolejbus?

Położyła mnie na łóżku nagiego i ostrożnie obmacała całego, kosteczka po kosteczce, muskuł po muskule. Zadowolona, że wszystko całe, zaczęła gniesć moje zbolące, obite boki swoimi silnymi łapami, które jednocześnie umieją być niezwykle delikatne oraz potrafią pieścić i ogrzewać. Początkowo było to straszne, ale z każdą chwilą przynosiło ulgę. Jej ręce przeganiały cierpienia. W moje ciało znów wstępowała energia.

Leżałem na brzuchu z nosem w poduszce. Nie myślałem już o niczym. Chciałem tylko, aby zabiegi ciągnęły się w nieskończoność.

Nagle rozległ się dzwonek.

Nie był to telefon, lecz dzwonek przy drzwiach wejściowych. Zazwyczaj dźwięczy cicho, ale tego ranka aż zaświdrował mi w uszach; ktoś dzwonił wyjątkowo uparcie. „Ma” Tomkins przerwała swoją pracę i przeszła do małego holu, aby dowiedzieć się, kto dzwoni. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, intruz był już wewnątrz.

Luiza Wright minęła hol z szybkością tajfunu mórz południowych i zatrzymała się dopiero w moim pokoju. Zatrzymała się, zobaczywszy mnie zupełnie nagiego.

Odwrociłem głowę i ujrzałem jej odbicie w lustrze umieszczonym w drzwiach szafy. Sprawiałem chyba dobre wrażenie... Na szczęście leżałem na brzuchu.

„Ma” Tomkins śmiejąc się weszła do pokoju i zarzuciła mi ręcznik

na tylną część ciała. Kiedy już udało mi się owinąć go dookoła bioder, odwróciłem się i powiedziałem do mojej sekretarki:

– Luizo, rozumiem, że chciała pani obejrzyć mój tyłek. Ale przecież mogła pani o to poprosić.

Luiza zaniemówiła. Przyglądała mi się ze zdumieniem. Trudno się dziwić. Aby dojrzyć potworne sińce na mojej ciemnej skórze, musiałaby podejść zupełnie blisko. Coś jednak wydało jej się nie-normalne. Może obecność „Ma” Tomkins, może zapach maści...

– Co się panu stało? – spytała wreszcie.

W jej głosie wyczułem prawdziwy niepokój i sprawiło mi to przyjemność. Wzruszyłem ramionami podnosząc się na łóżku.

– Trzy razy nic – odpowiedziałem. – Zderzyłem się z trzema podochoconymi koleżkami, uzbrojonymi w bykowce.

Zaniemówiła powtórnie. Wydawało się, że zapomniała, po co tu przyszła. Wykorzystałem tę chwilę i zaproponowałem:

– Jeżeli chce pani być aniołem, proszę odwrócić się na chwilę, abym mógł włożyć szlafrok.

Posłuchała. Z tyłu była tak samo apetyczna, jak z przodu.

„Ma” Tomkins pomogła mi wstać i włożyć szlafrok.

– A więc? – spytałem. – Prócz mnie co się jeszcze połamało?

Spojrzała na mnie, jakby odzyskując przytomność. Nigdy nie uwierzyłbym, że moja nagość może wywierać takie wrażenie.

– Ebinger – powiedziała głuchym głosem – nie żyje!

– Na Boga! – zawołałem siadając na łóżku. – Skąd pani o tym wie? W jaki sposób umarł?

„Ma” Tomkins zrozumiała, że jej obecność jest już zupełnie zbędna i zaczęła pakować swoje przybory. Jestem pewien, że poza wrodzoną skłonnością do dyskrecji, nawet wołała o niczym nie wiedzieć. W życiu bywają okoliczności, w których doświadczenie staje się błogosławieństwem.

Powiedziała nam „do widzenia” oraz oświadczyła, że w najbliższych dniach przyśle mi rachunek, a jeśli będę potrzebował jej usług, to przecież wiem, gdzie można ją znaleźć. Wycofała się z pokoju na palcach, majestatyczna, choć lekka jak duch.

– Powiedział mi o tym pan Renner – zakomunikowała Luiza. – Zadzwoił do mnie, twierdząc, że po tym wszystkim, co wczoraj wieczorem usłyszał od pana, wydaje mu się, iż interesuje się pan specjalnie Ebingerem. A więc...

– Rozumiem – uśmiechnąłem się. – Usługa za usługę. Przekazuje mi wiadomość o śmierci pod warunkiem, że powiem mu, dlaczego interesowałem się drogim Arnoldem.

– Wydaje mi się, że to tak mniej więcej wygląda – potwierdziła Luiza.

– Ale w jaki sposób umarł? – spytałem ją powtórnie. – Czyżby atak serca?

– Jeszcze nie wiadomo. Znaleziono go w jego basenie.

– Co? – podskoczyłem. – Kąpał się? Teraz, o tej porze roku?

– Nie wiem – odpowiedziała. – W każdym razie musiał nurkować, gdyż znaleziono go na dnie basenu.

– Dawno?

– Dzisiaj, przed godziną. Stuart Renner został o tym powiadomiony i natychmiast do mnie zatelefonował. Ponieważ pana jeszcze



nie było, pomyślałam sobie, że zrobię słusznie, jeżeli tu przyjadę...

– I przy okazji zobaczy, jak wyglądam w adamowym stroju... Ale jest już pani w wieku, kiedy należy się uczyć. Dobrze, jedziemy! Proszę tylko pozwolić mi się ubrać.

Wyjąłem z szafy skarpetki, bieliznę i szary garnitur, świetnie nadający się na wizytę, którą zamierzałem złożyć i... zniknąłem w łazience.

Podczas mojej nieobecności Luiza, niczym dobra i troskliwa opiekunka, zebrała strzępy mego garnituru, który nosiłem na sobie poprzedniej nocy, i rozłożyła na łóżku, wyciągając z kieszeni ich zawartość i kładąc ją na nocnym stoliku.

– Co to jest? – spytała, kiedy wróciłem do pokoju.

Przyznam się, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co może oznaczać ten mały, świecący krążek, który trzymała w ręku. Ale kiedy obejrzałem go dokładnie, uświadomiłem sobie, że jest to owa mała moneta, którą miałem w zaciśniętej dłoni, kiedy ocknąłem się po napaści. Nie był to jednak pieniążek, ale znaczek tożsamości wydawany w wojsku. Noszą go byli wojskowi jako maskotkę przy bransoletkach. Na krążku jest zawsze wygrawerowany szereg cyfr: numer immatrykulacyjny właściciela. Wytłumaczyłem to szybko Luizie. Schowała krążek do swojej torby.

Wyszliśmy razem trzymając się pod ręce. Wcale nie dlatego, że zwykliśmy w ten sposób spacerować. Po prostu byłem tak obolały, że bez jej pomocy nie mógłbym zejść ze schodów.

Trudno mi było zająć miejsce na przednim siedzeniu należącego do Luizy volkswagena. Ruszyliśmy wzdłuż rzeki, w kierunku dzielnic, w której mieszkali Ebingerowie.

\* \* \*

Przed bramą stał policjant w mundurze. Samochody oficerów wjechały na teren otaczającego willę małego parku. Nie chciano budzić sensacji. Pokazałem policjantowi moją kartę licencyjną, ale nie zgodził się nas wpuścić.

– Oświadczam panu, że czeka na mnie pani Ebinger.

Musiałem mieć jednak niezłą reputację u glin, skoro moja licencja wywarła na nim pewne wrażenie i zdecydował się zawołać swego kolegę, który sterczał pod drzewem, na środku trawnika.

– Wszystko, co mogę zrobić – odezwał się do mnie – to zaprowadzić pana do porucznika Trenta.

– Zgoda.

Policjant wsiadł do samochodu i Luiza ruszyła. Jechaliśmy wzdłuż alei, która biegnąc łagodnym łukiem, prowadziła w stronę domu otoczonego maleńkim parkiem. Budynek był niski, zaledwie piętrowy, obrośnięty różnymi pnączami. Przywodził na myśl typowe wille gwiazd filmowych Hollywoodu, rozsnobowanych w prostocie. Na prawo od niego znajdował się duży garaż, który mógł pomieścić ze cztery lub pięć samochodów, na lewo były gęste krzewy, zasłaniające wejście do tej części ogrodu, która była przeznaczona wyłącznie dla domowników. Tam prawdopodobnie mieścił się basen. Moje przypuszczenia na ten temat zamienił w całkowitą pewność widok stojącego na warcie policjanta oraz policyjny samochód, zaparkowany obok żywopłotu.

Eskortujący nas policjant polecił zatrzymać się. Po kilku minutach powrócił w towarzystwie porucznika Trenta.

Lucius Trent kierował wydziałem zabójstw. Był to wysoki, świetnie zbudowany blondyn o sylwetce sportowca, w wieku

czterdziestu lat. Nie mogę powiedzieć, aby był człowiekiem szczególnie interesującym, ale w stosunku do mnie zawsze był w porządku. Kiedy przybyłem do Springville, zainteresował się moimi przodkami, moją służbą w policji i w ciągu kilku tygodni pilnie mnie obserwował. Szybko doszedł do wniosku, że działalność prywatnego detektywa w kolorowym społeczeństwie, jeśli będzie należycie prowadzona, może okazać się niezwykle pomocna. Przede wszystkim pozwoli mu to uniknąć starć policji z kolorowymi obywatelami miasta. I właśnie dlatego od czasu do czasu dyskretnie pomagał mi, udzielał informacji. Pozwoliło nam to na osiągnięcie prawie przyjacielskich stosunków. Dziś było jednak inaczej. Trent był wyraźnie zdenerwowany i w złym nastroju.

– Czego pan chce, Benson? – zapytał. – Nie ma pan tu nic do roboty.

– Myli się pan – odpowiedziałem. – Jestem umówiony z panią Ebinger.

– Pani Ebinger dziś nie przyjmuje – zakomunikował mi oficjalnym tonem.

– Niech pan trochę spuści z tonu, poruczniku – powiedziałem bez złości. – Wiem, co się stało. Wiem, że Arnold Ebinger nie żyje. A fakt ten sprawia, że moje spotkanie z jego żoną jest niezwykle pilne.

Przyjął ten atak, nie ukrywając zdumienia. Luiza oddaliła się dyskretnie i oparta o karoserię swego volkswagena spokojnie paliła papierosa. Trent wahał się: nie wiedział, czy powinien mnie po prostu wyrzucić, czy też oszczędzić, na wypadek, gdybym okazał się użyteczny dla śledztwa. Wreszcie zdecydował się.

– Zgoda! – powiedział. – Żyjemy w wolnym kraju. Nie mam prawa zabraniać panu zobaczenia się z panią Ebinger, jeśli tylko ona

zechce pana przyjąć. Spytam ją o to, ale zdziwiłbym się, gdyby się zgodziła.

Oddalił się natychmiast. Czekałem na niego kilka minut. Wreszcie powrócił i dał mi znak, żebym szedł za nim. Poprowadził mnie na lewą stronę domu. Niewiele mogłem zobaczyć, ale mimo to zauważyłem karetkę, pracowników z technicznej służby śledczej, pstrykających swoimi aparatami fotograficznymi, i wreszcie Stuarta Rennera, stojącego z boku i obserwującego przebieg operacji.

Nie wiem, co zrobili z trupem. Być może, znajdował się już w karetce.

\* \* \*

Janice Ebinger nie miała czasu, aby ubrać się na ciemno, czemu zresztą trudno się dziwić. Nosiła wąską spódnicę i beżowy sweter. Jej oczy były zaczerwienione, a twarz wykryła bólem.

Przyjęła mnie w małym saloniku, który jak można sądzić po wielkim odbiorniku, zajmującym jeden z kątów, służył prawdopodobnie do oglądania telewizji. Wraz z nią w pokoju znajdował się zdernerwowany szeryf O'Malley, wysoki, wrzaskliwy, tęgi mężczyzna, kierujący siłami policyjnymi okręgu Springville.

– Co pan tu robi, Benson? – szczechnął jak gniewny brytan na mój widok.

O'Malley to typowy Irlandczyk. Krewki i naturalnie rasista. Wiem dobrze, że nie kocha Murzynów Typ stosunków, które łączyły mnie z Trentem i jego zastępcą, przyjmował jako zło konieczne. Nie bardzo umiał się z tym pogodzić.

– Obawiam się, że obchodzi to pana tylko, pośrednio, szeryfie –

odpowiedziałem. – Chyba że przejął pan rolę pana Ebingera. Jestem umówiony z panią Ebinger na dzisiejsze rano.

Zsiniął ze złości tak, że kolor, który przybrała jego twarz, z pewnością zainteresowałby jego domowego lekarza. Nie dałem mu ani chwili czasu, by zaczął ze mną dyskutować. Zwróciłem się bezpośrednio do wdowy.

– Szanowna pani! – odezwałem się do niej głosem poważnym i uroczystym. – Przede wszystkim pozwolę sobie złożyć wyrazy szczerego współczucia. Doszła mnie ta straszna wieść w chwili, kiedy chciałem do pani zatelefonować, tak jak to zresztą ustaliliśmy. Ale w związku z tym, co się stało, uznałem, że lepiej będzie, jeśli do pani przyjadę.

Była zdenerwowana i załamana. W prawej dłoni trzymała niewielką chusteczkę z koronek, którą bezustannie mięła. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zrozumieć, że ta kobieta niezwykle ciężko została dotknięta przez los.

– Dziękuję panu, panie Benson – odpowiedziała mi cichym głosem. – Obawiam się jednak, że teraz nasza rozmowa stała się zupełnie bezprzedmiotowa.

Swoje oświadczenie poparła bladym uśmiechem. Odniosłem wrażenie, że jest po prostu zażenowana obecnością grubego O'Malleya. Ze nie chce przy nim mówić. Zaprotestowałem.

– Przybyłem, aby wyrazić zgodę na pani propozycję. Na nie szczęście, jest za późno, żeby chronić pani nieszczęśliwego męża, ale wydaje mi się, że konieczne jest wyświetlenie tej...

– W porządku, Benson – warknął szeryf. – Pański występ się skończył. Pani Ebinger opowiedziała nam o wszystkim oraz przekazała ów list. Powiedziałem jej zresztą, co o tym wszystkim myślę. Gdyby

zwróciła się do policji zamiast do osobnika takiego jak pan, mąż jej żyłby prawdopodobnie.

Powiedział to w sposób niezwykle obraźliwy. Zacisnąłem pięści – miałem za sobą bardzo wiele murzyńskich pokoleń. Umiem jeszcze przyjmować ciosy, ale przyjdzie dzień... kiedy rozliczymy się za nie.

– Jak pan sobie życzy, szeryfie – zgodziłem się spokojnie. – Nie wiem, co powiedziałaaby pani Ebinger, gdyby wolno jej było decydować. Ale wobec tego, że pan tu się znajduje... – Odwróciłem się w stronę mojej pierwszej białej klientki i powiedziałem: – Jeżeli pani zmieni zamiar, jestem do pani dyspozycji. Jeszcze raz składam pani wyrazy współczucia...

Ukloniłem się i skierowałem do wyjścia. Kiedy byłem już na progu, odwróciłem się na chwilę.

– Szeryfie!

– Czego jeszcze? – wrzasnął O'Malley.

– Niech pan pamięta, że ten się śmieje naprawdę, kto się śmieje ostatni.

Skinąłem głową i szybko zamknąłem za sobą drzwi. Przy skrucie zaboląły mnie biodra, przypominając o wielkim sportowym meczu, który rozegrał się przed moim domem kilkanaście godzin temu.

## TIM

Porucznik Trent odprowadził mnie do volkswagena Luizy. Milczał. Ale w milczeniu tym była sympatia. Wyczuwałem, że gdyby zależało to tylko od niego, z pewnością poprosiłby mnie o pomoc. Niestety, był jeszcze ktoś inny. Irlandczyk! Tym bardziej trudny do wyeliminowania, że znajdował się na

liście wyborczej i ostro rozgrywał swoją partię. Żadnych kompromitacji z kolorowymi, gdy „Czarne Pantery” zamordowały kandydata na mera! A skoro Janice Ebinger przekazała mu list, który wczoraj widziałem, sprawa jest chyba oczywista.

Uścisnąłem Trentowi rękę i zająłem miejsce w samochodzie obok mojej sekretarki. Ruszyliśmy w kierunku bramy parkowej.

– No i co? – spytała Luiza, patrząc w lusterko, w którym odbijała się postać obserwującego nas Trenta.

– No i nic, koniec. Wymanewrowano mnie. Pani Ebinger oddała liścik O'Malleyowi. Policja zajmuje się wszystkim i w ten sposób moja pierwsza biała klientka nie była niczym więcej niż efemeryczną zjawą.

– Może to i lepiej – zauważyła Luiza.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Tylko to, że zbyt dobrze pana znam. Denerwuje pana, że został pan wyłączony ze sprawy. Jeśli jednak zechce pan posłuchać mojej rady, to niech pan da lepiej temu spokój i poniecha całej tej sprawy! Nie ma już klientki i nie ma zamówienia. Nikt od pana nie żąda, aby pan działał. Nie powinien pan się mieszać do tej brudnej, politycznej sprawy.

– Ale przecież jeszcze wczoraj wieczorem była pani trochę innego zdania.

– Wczoraj wieczorem – powiedziała – była to zupełnie inna sprawa. Wcale nie podzielałam pańskiego entuzjazmu po wizycie pani Ebinger. Ale klientka jest klientką, a w pańskim zawodzie obowiązuje pewien kodeks honorowy. Proszę mnie zrozumieć, szefie! Dotychczas był pan wzywany po to, aby bronić tych, którzy pana wzywali, aby ocierać się o różnego typu rzezimieszków, nie

mówiąc już o bandzie Ogdena. Ryzykował pan wiele. Udało się panu pokonać wszelkie trudności dzięki pańskiej uczciwości, odwadze i klasie, jaką reprezentuje pan w swoim zawodzie.

Spojrzałem na nią oszołomiony. Była to prawdziwa deklaracja. Jeszcze nigdy Luiza w ten sposób do mnie nie mówiła. Pomyślałem, że niewątpliwie wykorzystwała olbrzymi ruch uliczny, który zmuszał ją do patrzenia przed siebie, aby powiedzieć mi te pochlebne słowa bez konieczności patrzenia mi w oczy.

– Tym razem sprawa jest jednak zupełnie inna. Nie ma pan do czynienia ze zwykłymi rzezimieszkami, ale z samymi podstawami przemocy w tym kraju. Wie pan, co reprezentują „Czarne Pantery”. Nielegalność i śmierć w walce, która nie przynosi chwały. Jestem szczęśliwa, że sprawa ta została zamknięta, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Zatrzymała się na chwilę przed czerwonymi światłami, w odległości dwustu metrów od nadbrzeżnego bulwaru. Wykorzystałem ten krótki przystanek, aby ująć jej delikatną dłoń. Na tle miedzianobrązowej skóry Luizy moja ręka robiła wrażenie czarnej łapy. Byłem wzruszony. Nie bardzo wiedziałem jednak, jak jej to powiedzieć. Tym bardziej że zdawałem sobie sprawę, iż za chwilę sprawię jej przykrość.

– To, co pani mówi, jest zupełnie do rzeczy. Dziękuję pani! – Zanim ruszyła po zmianie światła, obrzuciła mnie niespokojnym spojrzeniem. Czułem, że moja pokora nie bardzo jej się podobała. – Wie pani – podjąłem – nasze zdania różnią się nieco. Wczoraj przyjąłem moją pierwszą białą klientkę. Była to kobieta, która przysłała w sprawie swojego męża. A więc w istocie był to mój pierwszy biały klient. Cały wczorajszy wieczór poświęciłem na przeprowadzenie



małej ankiety na temat tego człowieka.

– No i co?

– Między nami mówiąc, nie był on wcale znakomity. W bezczelnym powołaniu w interesach było z pewnością więcej zręczności niż skrupułów. Ale był to jednak mój klient...

– Wie pan przecież doskonale – zajadle broniła swego stanowiska – że klient jest klientem od chwili podpisania umowy i przekazania zaliczki!

Usiadłem wygodniej i oparłem się o poduszkę siedzenia, gdyż pośladki znów mi zaczęły dokuczać.

– Słusznie pani zauważyła. Zaliczka jest bardzo ważna. Jej przyjęcie zobowiązuje prywatnego detektywa do działania.

– Ale przecież pan jej nie otrzymał! – zaprotestowała.

– Czego pani trzeba więcej? – zapytałem. – Przekazali mi zaliczkę we trójkę! Trzech zbirów, którzy nawet nie dali mi czasu na wystawienie im pokwitowania.

\* \* \*

Przybyliśmy do Wascoe Tower. Luiza poszła do biura, a ja zatrzymałem się po drodze u Tima Fortee. Mój przyjaciel adwokat pracował nad jakimiś aktami, które na mój widok odłożył. Nie wiedział jeszcze o śmierci Arnolda Ebingera. Kiedy mu o tym powiedziałem, nie mógł ochłonąć z wrażenia.

– A, do diabła! – krzyknął. – Więc ta historia z „Czarnymi Panterami” nie była błagą!

Wzruszyłem ramionami.

– Nic jeszcze nie wiem. Wszystko, co posiadam w tej chwili, to fotokopia anonimu, który mógł pochodzić od „Czarnych Panter”. Wydaje mi się, że potrafisz spojrzeć na tę sprawę lepiej niż ja.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Wiem bardzo dobrze, że wśród twoich klientów byli również ludzie oskarżeni o przestępstwa polityczne. Orientuję się też, że byli wśród nich także Murzyni, bojownicy o prawa murzyńskie.
  - Nie jest to moja specjalność, ale rzeczywiście miałem kilka takich spraw.
  - A więc powiedz mi, czy kiedykolwiek słyszałeś o istnieniu w Springville komórki „Czarnych Panter”?
  - Nigdy Wiesz przecież doskonale, że ci ekstremiści działają wyłącznie w wielkich miastach, a więc tam, gdzie występuje biedny, bezrobotny element murzyński, który stanowi dla nich najlepszą pożywkę.
  - No tak. To jest pierwsza sprawa. Dla mnie jest ona zupełnie jasna. Nie widzę powodów, dla których „Czarne Pantery” miałyby nagle wkroczyć w sprawy Springville. Lokalna polityka tego miasta nie ma dla nich specjalnego znaczenia.
  - Powiedziałeś mi wczoraj, że twoja klientka, pani Ebinger, sądzi, iż list, który ci pokazała, nie był pierwszy.
  - To prawda. Ale jest jeszcze drugi fakt: mianowicie to, co spotkało mnie wczoraj wieczorem...
- Opowiedziałem mu szczegółowo o wieczornej napaści na mnie. Widziałem, jak oczy Tima za grubymi szklami okularów krótkowidza stawały się coraz większe. Był wyraźnie zdenerwowany.
- Moimi napastnikami – wyjaśniłem na zakończenie – byli biali. Nie Murzyni. Rozumiałbym, gdyby „Czarne Pantery”, rozwścieczone moją interwencją, skoczyły mi na głowę, aby za pomocą pięści i kastetów wyperswadować śledztwo w ich sprawie. Ale biali... Kim oni byli?

Tim Fortee odsunął od siebie teczki z aktami, potarł nos i podszedł do okna, jakby w ten sposób chciał pomóc swoim myślom. Potem nagle odwrócił się.

– Wy tłumaczenie jest bardzo proste. Cały wieczór myszkowałeś w lokalach kontrolowanych przez Arnolda Ebingera. Prawdopodobnie posiadał on swój system alarmowy i swoją ochronę. To wszystko zagrało chyba w sposób automatyczny i, naturalnie, profilaktycznie.

Kiwnąłem głową na znak zgody.

– I ja tak pomyślałem. Ale musisz przyznać, że ten jego system alarmowy zadziałał piorunująco szybko. Byłem zaledwie kilkanaście minut w jednym lokalu i pół godziny w drugim. Wypiłem kilka kieliszków whisky, a typy oczekiwały mnie już przy drzwiach domu, w którym mieszkam.

– Dowodzi to tylko, że należy być bardzo ostrożnym. Na szczęście z tą sprawą nie wiążą cię żadne zobowiązania. Pani Ebinger wycofała się ze współpracy z tobą i na twoim miejscu...

– Należałoby wszystko rzucić. Wiem. Luiza powiedziała mi to samo. Mówiąc prawdę, nie wiem, czy nie pójde za waszą radą. Chciałbym jednak przyjrzeć się bliżej temu wszystkiemu... Będę cię potrzebował, Tim!

– A cóż ja mogę zrobić? – spytał wzruszając ramionami.

– Chciałbym, abyś jako prawnik troszkę podlubał w interesach Ebingera. Jestem pewien, że miałeś już ku temu okazję podczas jakiegoś procesu. Potrzebne ci to było nawet w sprawach politycznych: ten jegomość był kandydatem na mera. Chodzi mi o to, czy on naprawdę zgłosił formalnie swoją kandydaturę. Rozumiesz, dokąd zmierzam?

– Rozumiem – przytaknął. – Interesuje cię, czy tylko groził, czy

też rzeczywiście działał. A jeżeli działał, to komu przeszkadzał i komu zależało na tym, aby go usunąć raz na zawsze?

– Z tobą naprawdę można się dogadać, Tim – powiedziałem prostując się z grymasem bólu. – Umiesz szybko myśleć.

\* \* \*

Kiedy znów zobaczyłem Luizę, poranek zbliżał się ku końcowi. Było to więc w porze, gdy dziewczyny w biurach pudrują noski przed pójściem na śniadanie.

Rzuciłem okiem na leżącą na biurku, a składającą się z reklam i rachunków pocztę. Wziąłem do ręki mały metalowy krążek, który poprzedniego dnia wyrwałem z ręki jednemu z trzech rzezimieszków.

– Luizo – odezwałem się grzecznie – rozmawiałem z Timem Fortee.

– Nie uwierzę, jeśli pan stwierdzi, że poradził panu pomalować twarz na czerwono i ruszyć na wojenną ścieżkę.

– Nie. Jest tego zdania co i pani, radzi mi zostawić całą sprawę. Być może, posłucham tej rady...

Byłem zadowolony, widząc błyski zadowolenia w jej oczach.

– Dick! – westchnęła. – No, nareszcie rozumuje pan prawidłowo!

Dickiem nazywała mnie tylko przy wielkich okazjach, najczęściej wówczas, gdy niepokoiła się o mnie.

Pogładziłem jej dłoń.

– Zgoda! Dajmy temu spokój – powiedziałem.

– I bez przedwczesnych radości! Nie powiedziałem jeszcze, że skorzystam z tej rady, powiedziałem tylko, że być może. A to różnica. Istnieje jednak warunek.

- Jaki? – spytała wyraźnie zaniepokojona.
- Muszę wiedzieć, kto na mnie wczoraj napadł i dlaczego. Na szczęście posiadam ślad: znaczek tożsamości z numerem. Dzisiejszym pani zadaniem będzie odnalezienie właściciela tej bransoletki. Wydaje mi się, że nie będzie to niemożliwe. Z pewnością mamy jakieś stosunki w biurze do spraw rekrutacji żołnierzy.
- A pan co będzie robił w tym czasie?
- Będę się starał prowadzić śledztwo. Jeżeli nie mogę tego robić w centralnym komisariacie z powodu zapory, jaką jest O'Malley, to uda mi się to z pewnością w redakcji „Citizen” dzięki Stuartowi Rennerowi.
- Dzwonił do pana, kiedy pan był u Tima Fortee. Powiedział, że odezwie się jeszcze raz.
- Wątpię – odpowiedziałem biorąc kapelusz. – Jeżeli jednak uczyni to, proszę mu powiedzieć, że pojechałem do niego.

\* \* \*

Kiedy wszedłem do redakcji, Stuart Renner siedział pochylony nad mokrą odbitką jednej ze stron swego brukowca. Prowadzi rubrykę wiadomości lokalnych, ale nie jest odpowiedzialny za politykę dziennika i jego układ techniczny.

- Jak się masz! – zawołał. – Widziałem cię dziś rano u Ebingera, ale uznałem, że będzie słuszniej nie przeszkadzać ci w dialogu z wdową i przedstawicielami władzy. Jak to się wszystko skończyło?
- Zostałem wyrolowany – oznajmiłem. – Wczoraj, kiedy się z tobą widziałem, byłeś na tyle delikatny – jak zawsze zresztą – że nie stawiałeś mi żadnych pytań. W rzeczywistości Janice Ebinger była

u mnie, aby powierzyć mi sprawę gróźb skierowanych do jej męża.

– Zgodziłeś się przyjąć tę sprawę?

– Miałem dać jej odpowiedź dziś w południe. Ale nastąpiły wydarzenia, które znasz doskonale. Powiedz mi szczerze...

Urwałem w połowie zdania, gdyż właśnie w tym momencie spojrzałem na odbitkę kolumny. Przez całą jej szerokość czernił się olbrzymi tytuł:

*„Mord terrorystów w Springville”*

*„Czarne Pantery” mordują Arnolda Ebingera, kandydata na stanowisko mera i wybitnego obywatela miasta.*

Pośrodku strony widniało zdjęcie ofiary, a po lewej, złożony tłuścą czcionką, artykuł wstępny, w którym była mowa o demokracji, o gwiazdzistym sztandarze, o porządku i cywilizacji zagrożonej przez terrorystów. Jednym słowem – wszyscy diabli z orkiestrą, bębniami i trąbami!

Przeczytałem artykuł. Wydało mi się, że słyszę dudnienie kroków maszerujących batalionów.

– No, no, mój stary! To się wam udało! Podoba mi się to!

Zrobił zawstydzoną minę.

– No, nie chciałbym być na miejscu naczelnego redaktora – powiedział. – Zrozum, gazetę trzeba sprzedąć, a prócz tego ten temat to złoto! Przyznam, że osobiście wolałbym troszkę umiaru w obrzucaniu błotem „Czarnych Panter” i składaniu kwiatów u stóp Ebingera.

– Cóż, nie jesteś przekonany, że Ebinger został zamordowany przez czarnych terrorystów? – spytałem udając zdziwienie.

Jego reakcja na moje słowa bardzo mnie zainteresowała. Stuart Renner był doświadczonym i uczciwym dziennikarzem.

– Nie jestem o niczym przekonany, oprócz tego, że jesteśmy w posiadaniu anonimowego listu oraz tego, że wiemy, iż kariera takiego człowieka jak Ebinger mogła przysporzyć mu wielu wrogów, i to nie tylko wśród Murzynów.

Wziąłem papierosa z leżącego na stole pudełka, zapaliłem go i westchnąłem.

– Stuart, mój przyjacielu! Gdyby wszyscy Amerykanie byli tacy jak ty, wiele spraw potoczyłoby się zupełnie inaczej w tym pięknym kraju.

Po tej dość filozoficznej uwadze zagłębiłem się w prozę mego przyjaciela. Bo artykuł wstępny spreparował wprawdzie redaktor naczelny, lecz opis wydarzenia był dziełem Stuarta, który umiał pracować niezwykle szybko.

Szczegóły dramatu przedstawiały się następująco: Wczoraj Janice Ebinger wyszła z domu o godzinie siedemnastej piętnaście. Załatwiała różne sprawunki w mieście, a następnie udała się do Pinewood, na koktajl wydany przez jedną z jej przyjaciółek, żonę doktora Orchowskiego.

O godzinie szesnastej rozmawiała przez telefon z mężem. Arnold Ebinger miał mieć bardzo zajęty wieczór, gdyż tego właśnie dnia winien był oficjalnie zgłosić swoją kandydaturę w ratuszu.

Była to ostatnia rozmowa małżonków. Janice Ebinger wróciła do domu około godziny dwudziestej. Arnolda nie było. Zjadła kolację sama; obsługiwał jej służący, naturalnie Murzyn. Następnie czekając na męża, oglądała telewizję. O dwudziestej trzeciej Arnolda Ebingera jeszcze nie było w domu. Nie niepokoiło jej to jednak. Pogodziła się z konsekwencjami kariery politycznej męża, konsekwencjami, które zmieniały godziny posiłków i powrotów do domu. Doskonale również zdawała sobie sprawę z tego, że był to dla męża bardzo

ważny wieczór. Położyła się spokojnie spać, wiedząc, że Arnold po powrocie obudzi ją, aby życzyć jej dobrej nocy.

Niepokoić zaczęła się rankiem. Jej zdenerwowanie wzrosło z chwilą, gdy służba zakomunikowała, że pan domu nie powrócił na noc.

W tym miejscu Stuart Renner zacytował jej słowa:

„Nie znam działalności politycznej mego męża – oświadczyła. – Z tego powodu zadzwoniłam do jego biura, aby sekretarka powiedziała mi, co przewidywał terminarz spotkań wyznaczonych na poprzedni dzień. Sekretarki jeszcze nie było. Obiecano mi pozostawić dla niej wiadomość, aby natychmiast po przyjeździe zadzwoniła do mnie. W tym czasie jednak ogrodnik, który rozpoczął pracę o dziewiątej, a zaczął ją od uprzątania zwiędłych liści leżących wokół basenu, znalazł... mego męża”.

W tym miejscu – jak napisał Stuart Renner – pani Ebinger zaczęła szlochać.

\* \* \*

Podniosłem nos znad pachnącej farbą odbitki w chwili, gdy goniec przyniósł z drukarni paczkę świeżych gazet, które już za kilka minut miały znaleźć się w sprzedaży. Było to pierwsze popołudniowe wydanie.

– Bardzo ciekawy jest ten twój artykuł – zauważyłem. – Ale nie piszesz, w jaki sposób Ebinger został zamordowany...

– Rzeczywiście! Musiałem szybko podać pierwsze wiadomości i naturalnie nie miałem czasu czekać na opinię lekarza sądowego. Teraz mam już kilka szczegółów. Po południu będę mógł napisać nowy artykuł, mimo że nie można jeszcze stwierdzić, jakie będą wyniki sekcji.



Wziąłem kolejnego papierosa z jego pudełka.

- Opowiadaj dalej, to naprawdę mnie ciekawi!
- A więc, według pierwszych danych, Ebinger został zaatakowany z tyłu w chwili, gdy wracał do siebie. Ogluszono go za pomocą twardego przedmiotu, prawdopodobnie klucza francuskiego albo pałki, a później wrzucono do basenu, gdzie utonął.

Przesunąłem dłonią po włosach.

- To jasne jak słońce – zauważyłem. – A wszystko to wydarzyło się kiedy?

– Lekarz, na podstawie wstępnych oględzin, był zdania, że minęło około piętnastu godzin od momentu, gdy znalazł się w wodzie. Naturalnie, dopiero sekcja ustali dokładny czas zgonu.

– Twierdzisz, że wyciągnięto go z wody o dziewiątej – zauważyłem z namysłem. – Jeżeli odjąć od tego piętnaście godzin, to znaczy, że wrzucono go do basenu około godziny osiemnastej... To rzeczywiście dziwny zbieg okoliczności!

– Dlaczego? – spytał.

– Dlatego że w tym samym czasie Janice Ebinger znajdowała się w moim biurze, gdzie dzieliła się ze mną swoimi kłopotami.

– Rzeczywiście, to jakiś przedziwny zbieg okoliczności – potwierdził Stuart.

– A poza tym to zupełnie niemożliwe – dodałem.

Spojrzał na mnie zdziwiony, prowokując w ten sposób, abym mu wyjaśnił moje stanowisko.

– A więc słuchaj! Janice dzwoniła do niego około godziny szesnastej. Powiedział jej wówczas, że ma bardzo zajęty wieczór i w związku z tym nie wróci wcześniej. No i zaraz potem, o godzinie osiemnastej ląduje na brzegu swojego basenu w oczekiwaniu, aż go ktoś pozbawi przytomności przez uderzenie twardym narzędziem. Czy nie uważasz, że to bardzo dziwne? Tym bardziej że nikt ze

służby nie widział go powracającego, jeśli dobrze zrozumiałem.

– Twoje rozmowienie jest bardzo ciekawe – zauważył Stuart. – Ale fakt, że powrócił do domu nie zauważony przez nikogo, nie jest czymś nadzwyczajnym. To samo pytanie zadał O'Malley ogrodnikowi, który pełni również funkcję dozorca. Ten człowiek kończy zasadniczo swoją pracę o godzinie siedemnastej. O tej porze powraca do siebie, do małego domku, który prawdopodobnie zauważyłeś z prawej strony bramy. Jego pan, jak tłumaczył O'Malleyowi, przejeżdżał przez bramę tylko wtedy, gdy wracał do domu własnym samochodem. Bardzo często jednak odwozili go jego pracownicy lub też interesanci. Wówczas wchodził przez małą furtkę, która znajduje się w ogrodzeniu po drugiej stronie parku. Przechodził wzdłuż basenu i dostawał się do domu przez drzwi salonu. Oszczędzał sobie w ten sposób drogi przez cały park... Jeszcze jeden ciekawy zbieg okoliczności: wczoraj miał wolny dzień kamerdyner. Wrócił do domu o godzinie dziewiętnastej, aby przygotować kolację. Taki był przebieg wypadków.

– Taaak – mruknąłem. – Wydaje się to bardzo proste... Należałoby tylko dowiedzieć się, czy morderca wykorzystał szczęśliwe zbiegi okoliczności, czy też liczył na nie przy zrealizowaniu swojego zamiaru. Warto by było sprawdzić, kto odwiózł Arnolda Ebingera do domu. Właśnie wczoraj wieczorem.

– W tym kierunku właśnie działa Trent – poinformował mnie Renner. – Ale powiedz mi, czy jak na faceta, którego wyrolowano z interesu, nie za bardzo interesujesz się całą sprawą?

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, widząc jego zaintrygowaną minę.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli! Zostałem odprawiony przez panią Ebinger, która – jak zrozumiałem – wczoraj wieczorem przyszła do mnie, aby prosić o zajęcie się sprawą męża. Ciągle jeszcze nie wiem, co on by myślał o kroku swej żony. Zadaję sobie pytanie: czy pochwaliby ją za to, a jeśli tak – czy sam by mnie nie odprawił? Poza tym wydaje mi się, że O'Malley wywarł ogromny wpływ na Janice Ebinger, aby zaufała wyłącznie policji i odsunęła mnie od sprawy. Nawiasem mówiąc, uważam to za zupełnie normalne; przecież to jego praca. Wreszcie...

– Wreszcie?...

Poprosiłem go o absolutną dyskrecję, tym bardziej że sprawa nie była bezpośrednio związana z morderstwem dokonany na Arnoldzie Ebingerze. Opowiedziałem mu o mojej nocnej przygodzie.

– Rozumiesz chyba dobrze, że nie chcę tej sprawy pozostawić bez dalszego ciągu. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, jeżeli tego typu rzeźmieszkom pozwala się wycofać bez żadnej kary. A prócz tego dla mnie to bardzo ciekawy ślad!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Widzisz, powracam po prostu do tego, o czym mi przed chwilą opowiadałeś. Jest rzeczą zupełnie normalną, że taki dziennik jak twój, patriotyczny, dobrze myślący itd. itd. wznosi sztandar krucjaty przeciwko „Czarnym Panterom”. Ja jednak chciałbym wiedzieć coś więcej. Nie zapominaj o tym, że na mnie napadły białe pantery.

Zrozumiał mnie.

– A teraz informacja za informacją! Powiedz mi, czego właściwie chciała od ciebie Janice Ebinger wczoraj wieczorem.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem przed nim nic do ukrywania. Opowiedziałem mu szczegółowo o wizycie mojej pierwszej

białej klientki, ale w związku z tym, że anonimowy list stał się w tej chwili już własnością publiczną, nie wyjaśniało mu to niczego.

## IRVING

Pożegnałem się ze Stuartem Rennerem przed bramą redakcji i ruszyłem pieszo w kierunku Wascoe Tower. Muszę jednak przyznać bez fałszywego wstydu, że gdybym usłuchał swego wewnętrznego głosu, to szedłbym nie do biura, lecz do domu, aby czym prędzej znaleźć się w łóżku. Tylko w książkach bohaterowie są zawsze pełni sił. Ja natomiast czułem się tak, jakbym przed chwilą został wyrzucony przez betoniarkę, która obracała się przez wiele godzin.

Zacisnąłem zęby i pomyślałem z czułością o aspirynie, która spoczywała w szufladzie mego biurka. Korzystałem z niej po każdym większym pijaństwie, a proszę mi wierzyć, że w tej chwili wolałbym mieć gigantycznego kaca.

Luiza Wright – wzór doskonałych sekretarek – stuknęła szybko na maszynie. Rzuciła na mnie spojrzenie, w którym tliła się iskra triumfu. Wyczuwałem, że ma mi wiele do powiedzenia.

– Dziewczyno droga, przynieś mi szklankę wody i powiedz, co ci leży na sercu.

W spojrzeniu, które mi teraz rzuciła, czaił się gniew. Cóż, pokrzyżowałem jej plany. Usiadłem głęboko w fotelu, zażyłem dwie aspiryny i popiłem je wodą ze szklanki.

– Nie gniewaj się na mnie, Luizo. Ci dranie porządnie mnie zbili i naprawdę źle się czuję. Ale pani chce mi coś powiedzieć? Proszę

bardzo! Czy jest coś nowego?

– Tak, szefie – odpowiedziała. Położyła mały znaczek tożsamości na biurku i rzuciła okiem na kartkę papieru. – Już wiem, czyje to jest. Facet został przyjęty do armii w ośrodku rekrutacyjnym w Kansas City.

Nadstawiłem ucha. Kansas City odległe jest od Springville o trzysta kilometrów. Wielu zbirów i różnych nicponi przybyło ostatnio stamtąd do Springville, aby znaleźć w nim nowe horyzonty czy, jak to się mówi w Ameryce, nowe możliwości.

– Czy zna pani również nazwisko? – spytałem ostrożnie.

– Tak. Mam kuzyna, który jest sierżantem w Kansas City. Poprosiłam go, aby sprawdził. Dzwonił do mnie przed kwadransem. Jest to znaczek tożsamości niejakiego Irvinga Stowe'a, urodzonego w 1945 roku w Kansas City. Został powołany do armii w 1966 roku. Dwa lata był w Wietnamie. W 1969 roku został zdemobilizowany. Mieszkał wówczas w Kansas City. To wszystko, co o nim w tej chwili wiem.

Pukałem piórem w blat biurka. Nie wiem, czy aspiryna tak po-działała, czy też bóg zemsty dodał mi nowych sił – poczułem się świeży.

– Doskonale! Świetnie to zrobiłaś, Luizo. Moje serdeczne gratulacje! Proszę mnie połączyć z oddziałem agencji „Goldberg Associates” w Kansas City.

Muszę wam wytłumaczyć, że my, prywatni detektywi, nie możemy być przecież wszędzie, a nasze wyjazdy są drogie i zabierają czas. Dlatego też mamy tak zwane umowy korespondencyjne z kolegami, względnie z firmami wywiadowczymi w różnych miastach. „Goldberg Associates” to duża firma, która posiada filie w większości

miast na wschodzie. W Springville ich korespondentem jestem ja. W zamian za to mam u nich otwarte konto.

Potrzeba mi było zaledwie pięciu minut, aby uzyskać połączenie. Nie znam osobiście szefa biura w Kansas City, ale wystarczyło, że podałem nazwisko. Natychmiast był do mojej dyspozycji. Poprosiłem go o wszystkie dane dotyczące niejakiego Irvinga Stowe'a i podałem mu numer mego prywatnego telefonu, prosząc go, aby działał szybko i zadzwonił do mnie nawet w nocy.

Mówi się, że zemsta jest daniem, które powinno zjadać się na zimno. Ale proszę mi wierzyć, niezbyt lubię, kiedy danie takie za bardzo stygnie...

\* \* \*

À propos dania – prasa i radio spreparowały jedno z faktu śmierci Arnolda Ebingera.

Luiza położyła mi na biurku ostatni numer „Citizen”. Portret ofiary otoczony był czarną, żałobną ramką, a pod nim widniała deklaracja mera Oscara Riana. Jeżeli wierzyć tej deklaracji, zmarły był uosobieniem wszystkich cnót. Cóż... to zupełnie normalne. Jego śmierć eliminowała z wyścigu do ratusza najgroźniejszego konkurenta. Można go już było przyozdobić teraz w aureolę.

W wiadomościach podanych przez dziennik nie znalazłem żadnych szczegółów prócz tych, które Renner przekazał mi rano. Charakterystyczne jednak, że z każdym wydaniem zmieniał się ton artykułu wstępnego. Czarny terror był demaskowany w coraz donioślejszy sposób. Żądano od władz twardych i zdecydowanych posunięć.

Jeżeli dalej tak będą trąbić i bić w bębny, to najbliższa noc po

tamtej stronie rzeki będzie nocą gorącą.

Włączyłem telewizor. Ta sama melodia! O Ebingerze mówiono na wszystkich falach eteru. Szklany ekran pokazywał przybycie jego córki, Deborah. Wyszła już za męża i nazywa się Lee. Mieszka gdzieś na zachodzie.

Nalałem sobie podwójną whisky i pogрузyłem się w myślach. Gdy ponownie spojrziałem na ekran, zobaczyłem, że program telewizyjny zmienił się. Nie można przecież cały czas karmić widzów osobą Ebingera. Przyszła kolej na western. Później znów Ebinger. Napięcie rosło. Telewizja podała, że w dzielnicach murzyńskich gromadzą się młodzi ludzie. Zmobilizowano silne oddziały policji, które mają zapewnić ład i porządek.

Z uczuciem obrzydzenia wyłączyłem aparat. Włożyłem marynarkę, wzięłem kapelusz i wszedłem do pokoju, w którym urzędowała Luiza.

– Wracam do domu. Chcę być w formie. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli odpocznę. Pragnąłbym, aby pani coś dla mnie zrobiła.

Ta dziewczyna jest prawdziwą doskonałością. Nie skończyłem jeszcze zdania, a już miała w ręku notes i ołówek.

– Chcę, aby pani poszła do Tima Fortee. Bardzo proszę powiedzieć mu, żeby poszperał troszkę w prawniczych aspektach śmierci Ebingera. Ile wynosi jego majątek? Jak wygląda testament? Co się stanie z jego domami towarowymi? Kto dziedziczy itd. Z pewnością ma powiązania z notariatem oraz z biurami radców prawnych. Dobrze by było, gdyby to wszystko mógł przekazać mi rano. Jeśli zaś chodzi o panią, to w wolnej chwili proszę zainteresować się Deborah Lee. Ciekawi mnie, co robi jej mąż. W archiwach redakcji powinny

znaleźć się jakieś wzmianki o jej życiu towarzyskim z okresu panińskiego, o jej małżeństwie, o karierze męża. Rozumie pani, o co mi chodzi? Zrozumiała mnie doskonale. Ze spokojem ruszyłem do domu; byłem pewien, że wszystko zostanie wykonane.

„Ma” Tomkins przyszła przed kolacją. Wymiętosła mnie raz jeszcze i pozostawiła w stanie niemal zupełnej nieprzytomności, a mimo to pełnego sił.

Zapadła noc. Wokół domu panowała cisza. Czułem, że nareszcie wypocznę.

Niestety, o godzinie dwudziestej pierwszej zadzwieczał telefon. Międzymiastowa. Kolega z „Goldberg Associates” dzwonił do mnie z Kansas City.

Trzeba przyznać, że nie brał on pieniędzy za darmo. Włączyłem magnetofon, dzięki czemu nie musiałem robić notatek. Żyjemy wszak w drugiej połowie XX wieku.

Irving Stowe urodził się w Kansas City 15 kwietnia 1945 roku w bardzo skromnej rodzinie. Można nawet stwierdzić, że są to tak zwane sfery bardzo niskie, prawie margines społeczny. Dwa lata nauki w szkole początkowej, a później ulica. Zajmował się wszystkim. Należał do band nicponiów wędrujących po przedmieściach. Był zamieszany w kilka mało znaczących awantur. Powołany do wojska w 1966 roku, znalazł się w piechocie. Służył w Wietnamie. Niczym się specjalnie nie odznaczył. Powrócił w 1969 roku do Kansas City. Często widywano go w salonach gry w bilard. Należał do bandy szulerów. Wynajdywał klientów z pieniędzmi i podstawiał ich zawodowym szulerom oraz graczom w bilard. Otrzymywał pewien procent od wygranej. W 1970 roku był zamieszany w zamach bombowy na bar, którego właściciel nie zgodził się na „ochronę” bandy.



Śledztwo nie zdążyło niczego wykazać, gdyż Irving Stowe opuścił granice stanu. Według ostatnich wiadomości znalazł pracę w Springville.

Zaśmiałem się... Mój kolega sądził zapewne, że to są dla mnie nowiny...

– Wyobrażałem sobie, że tak mniej więcej przedstawia się właśnie jego życiorys. Ale czy ma pan jakiegokolwiek wiadomości, gdzie on się urządził w Springville?

– Nie. Niestety, straciliśmy go z oczu, kiedy opuścił nasze miasto i stan. Mam jednak pewnego rodzaju ślad, który może pana zainteresować. Jest to nazwisko osobnika, który go zaangażował w waszym mieście.

– Słucham!

– To były mieszkaniec Kansas City. Jest troszkę starszy od Stowe'a, ale niewiele więcej wart. Nazywa się Skinny Dombs.

– Dziękuję – powiedziałem podniecony. – Jeżeli będę chciał zamienić kilka słów z przyjacielem Stowe'a, będę wiedział, gdzie go znaleźć. Dziękuję bardzo i proszę obciążyć moje konto rachunkiem.

\* \* \*

Odłożyłem słuchawkę i powróciłem do łóżka. Leżąc z otwartymi oczyma w ciemnościach, oddawałem się rozmyślaniom. Sprawy, które dotąd prowadziłem w Springville, jeszcze nigdy nie zetknęły mnie z białym światem przestępczym. Miałem dość roboty z wszelakiego rodzaju kolorowymi mętami. To, co powiedziałem już przedtem na temat segregacji rasowej w naszym mieście, stosuje się zarówno do ludzi uczciwych, jak i do świata przestępczego. Wprawdzie działalność świata przestępczego białych krzyżuje się niekiedy, a czasami nawet pokrywa z poczynaniami

kolorowych przestępców, jednak granica między nimi istnieje. Skinny Dombs, o którym mówił mi mój korespondent z Kansas City, nie był mi człowiekiem obcym. Znałem go ze słyszenia, a nawet z widzenia, gdyż nieraz spotykałem go w knajpach, do których miał zwyczaj przychodzić. Nie twierdzę, że był on królem podziemia przestępczego, ale że doskonale dawał sobie radę. Prawdę mówiąc, przedsiębiorstwo, które prowadził, mogło egzystować tylko w takiej społeczności jak w Springville.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nad światem przestępczym w wielkich miastach panuje dwóch albo trzech hersztów, których bandy dzielą się różnymi sektorami biznesu: czasami według położenia geograficznego, czasami w zależności od dziedziny gospodarki. Mają one własnych rewolwerowców, własny wywiad, własne organizacje bezpieczeństwa. Dopóki interesy ich nie ocierają się o siebie, dopóty istnieje pewność pokojowej koegzystencji. W każdym razie obowiązuje jedna reguła: w Nowym Jorku, Chicago, w Los Angeles czy też w Houston nie ma miejsca dla pracy indywidualnej, rzemieślniczej.

W Springville natomiast można tak pracować. Miasto nie jest ani tak wielkie, ani tak znaczne, by któraś z poważnych organizacji przestępczych zwróciła na nie uwagę. W podziemiu przestępczym Springville działa pewna ilość drobnych „przemysłowców”, przy czym każdy czyni to na swój sposób.

Jednym z takich właśnie typów był Skinny Dombs. W sposób zupełnie rzemieślniczy podejmował się różnych prac: ochrony, wymierzania kar. Wydaje mi się, że jego działalność była nawet tolerowana; naturalnie dopóty, dopóki nie robił zbyt wiele szumu. No cóż, we wszystkich krajach naszego kontynentu policja umie stać obok ognia. Twierdzi ona, że nigdy nie będzie można zlikwidować całej

bandy, wszystkich rzezimieszków, więc jeśli banda załatwia swoje sprawy między sobą – i to tak, że nie zwraca to uwagi tak zwanych „szacownych obywateli” – niech się dzieje co chce. Zawsze to duża wyręka dla policji.

Jest to trochę podobne, oczywiście w oczach policji, do mojej działalności wśród kolorowych. Z tą różnicą, że ja przestrzegam prawa.

Kilka razy spotkałem na swojej drodze Skinny'ego Dombsa. Wiem doskonale, że pracował on na rachunek nocnych lokali kontrolowanych przez Ebingera. Mogę się też założyć o każdą sumę, że Skinny był jednym z trzech łobuzów, którzy zaatakowali mnie poprzedniego wieczora.

Nie błdziłem już w ciemnościach! Trzymałem w ręku nić. Teraz powinienem iść po niej aż do kłębka,

Zamknąłem oczy i postanowiłem spać. Była godzina dwudziesta druga, godzina, o której pewna kategoria obywateli przygotowuje się do wyjścia na robotę. Myśl ta zaczęła mnie denerwować. Wiedziałem, że nie będę mógł zasnąć. Fizycznie czułem się dobrze. Aspiryna i zabiegi „Ma” Tomkins dały wspaniałe rezultaty.

Żelazo należy kuć, póki jest gorące. Stare to, ale bardzo prawdziwe porzekadło. Zerwałem się z łóżka. Wszedłem do łazienki i wziąłem gorący prysznic. Trwało to dobre dziesięć minut. Wreszcie wytarłem się i ubrałem. Włożyłem krawat i umocowałem pod lewym ramieniem futerał z rewolwerem kaliber 38, na posiadanie którego otrzymałem specjalne pozwolenie.

Było ono przypięte do mojej licencji prywatnego detektywa.

Włożyłem marynarkę i kapelusz.

\* \* \*

Znalazłem go w trzeciej knajpcie. Naprawdę miałem szczęście; nie musiałem nawet do niej wchodzić, zobaczyłem go przez okno. Lokal nazywał się „U Wuja Joe” i mieścił się w suterenie. W połowie była to knajpa, a w połowie sala bilardowa z kilku stołami.

Jeden z nich stał przy oknie. W jasnym świetle żarówki zobaczyłem Skinny'ego Dombsa. Grał z typem dużo niższym i młodszym od niego. Byłem wściekły, że nie udało mi się dokładnie obejrzeć twarzy moich napastników. Wywiadowca z „Goldberg Associates” powiedział mi, że Irving Stowe debiutował w bilardzie. Być może, że to on właśnie w owej chwili grał ze Skinny'm. Pomyślałem, że można by było się o tym z łatwością przekonać, oglądając jego rękę w celu sprawdzenia, czy nie nosi na niej bransoletki z łańcuszkiem. Nie miałem jednak ochoty na obejrzenie jej z bezpośredniej bliskości.

Przez kilka minut obserwowałem grę. Zorientowałem się, że Skinny gra doskonale. Trzeba było widzieć, z jakim impetem zderzały się z sobą różnokolorowe kule, podążając do otworów, do których je kierował. Był to widok niemal fascynujący, ale ponieważ nie zależało mi, aby być zauważonym, odjechałem moim fordem kilkadziesiąt metrów i zacząłem się.

Noc była piękna, ale termometr wykazywał tendencję spadkową. Jest to normalne zjawisko na środkowym zachodzie, gdzie panuje przecież kontynentalny klimat. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, nie mogłem, niestety, zapalić silnika, by ogrzać samochód. Żałowałem, że nie wziąłem z sobą palta.

Miałem jednak szczęście. Skinny Dombs wyszedł z lokalu po

piętnastu minutach. Towarzyszył mu kumpel, prawdopodobnie partner z gry, którą obserwowałem. Przeszedł pod latarnią, co pozwoliło mi zidentyfikować go. Wsiadł do białego oldsmobila. Jego koleś usiadł obok niego. Zakląłem ze złości, gdyż Dombs parkował w kierunku odwrotnym niż ja. Miałem więc wszystkie szanse, aby go zgubić. Nie załamane się jednak. Nim uruchomił silnik, ruszyłem. Zawróciłem w pustej, bocznej uliczce i pojechałem przed siebie powoli, śledząc uważnie w lusterku, co dzieje się za mną.

Zrobiłem słusznie. Skinny nie zwrócił na mnie uwagi. Minął mnie po kilku sekundach, nie darząc ani jednym spojrzeniem mojego skromnego wozu. Jechałem za nim co najmniej pięć minut wzdłuż bulwaru. Znajdowaliśmy się we wschodniej części miasta. Kiedy podjechaliśmy do domów oznaczonych dużymi numerami, oldsmobile skręcił gwałtownie w jedną z uliczek leżących na prawo od bulwaru. Minąłem ją i zatrzymałem się.

Teraz już byłem pewien, że znalazłem mojego faceta, ponieważ bloki na wschodnim skraju Cannon Boulevard oraz niektóre ulice na brzegu rzeki tworzyły jedną z dzielnic o najgorszej reputacji w Springville.

Zamknąłem na klucz drzwi samochodu i ruszyłem pieszo w chłodną noc, trzymając ręce w kieszeniach. Znalazłem biały samochód przed lokalem o nazwie „Daisy”, miejscem spotkań homoseksualistów. Wokół nie było nikogo. Ostrożnie spróbowałem otworzyć lewe tylne drzwi oldsmobila. Samochód nie był zamknięty. Wsunąłem się do środka między przednie i tylne siedzenia. Było to miejsce, w którym musiałem spotkać mojego „klienta”.

Czekałem na niego, rozmyślając. Reputacja i specjalność „Daisy” były powszechnie znane. Nie wiedziałem tylko, czy odnosi się to

również do Skinneho Dombsa. Prawdę mówiąc, zdziwiłoby mnie to.

Gdyby przyjechał tu do jakiejś swojej „narzeczonej”, musiałbym chyba długo czekać. W przeciwnym wypadku – a wydawało mi się, że tak jest właśnie – powinien wyjść dość szybko. Po odwiedzeniu kasy.

\* \* \*

Miałem rację. Była godzina pierwsza w nocy, tę przynajmniej wskazywał mój zegarek, gdy wyszedł z „Daisy”, ciągle w towarzystwie faceta, który mógł być Irvingiem Stowe. Weszli do samochodu i zajęli miejsca na przednich siedzeniach. Prowadził Skinny. Ukryty za siedzeniami, znajdowałem się naprawdę w niezbyt wygodnej pozycji. Stłuczenia odniesione poprzedniej nocy dawały mi się mocno we znaki. Zaciśnąłem zęby, pocieszając się, że nie udajemy się przecież do odległego miasta.

– Pozostaje teraz już tylko „Blue Bell” – zauważył pasażer. – Pojedziemy tam teraz?

– Ty tam pójdziesz – oznajmił Skinny Dombs. – Ja muszę wrócić do chaty. Ktoś na mnie czeka.

– Dziewczyna? – uśmiechnął się młodszy.

– Być może – odpowiedział Dombs nie bez pewnej zarozumiałości.

W kilka chwil później przyhamował. Jego koleś otworzył prawe drzwi.

– W porządku, cześć! To do jutra po południu przy bilardzie?

– W porządku! – potwierdził lakonicznie Skinny Dombs.

Drzwi trzasnęły, a my ruszyliśmy. Mój kierowca dwa razy skrzył

w lewo, wreszcie znalazł się znów na bulwarze i tym razem pojechał w przeciwnym kierunku, na zachód,

Na ulicy panował niewielki ruch. Dombs dodał gazu i osiągnął szybkość sześćdziesięciu mil na godzinę, idealną szybkość, aby mijać zielone światła. Pogwizdywał z cicha, wyraźnie z czegoś zadowolony. Byłem pewien, że myślał o dziewczynie, która na niego czeka. Zrobiło mi się naprawdę przykro na myśl o tym, że będę zmuszony przerwać mu te romantyczne marzenia. Kilka bloków dalej wyciągnąłem ostrożnie mój rewolwer, podniosłem się na kolana i przyłożyłem lufę do czaszki Skinny'ego mówiąc:

– Jest mi bardzo przykro, stary! Są pewne zmiany w programie. Przed miłością trzeba będzie jednak troszkę pomyśleć o wojnie.

Aż podskoczył z wrażenia. Samochód skręcił gwałtownie. Skinny go szybko jednak wyprostował i przesunął lewą ręką po tyle głowy, aby upewnić się co do smutnej rzeczywistości. Wpatrywał się w lusterko. Nie mógł mnie jednak zobaczyć.

– Kim pan jest?

– Ach! – odpowiedziałem. – Jednym z twoich przyjaciół! Masz ich przecież wielu, mój dobry Skinny? Nim zawrzemy bliższą znajomość, skręcisz na lewo. Tylko bez hysterii! Nie będę się ani chwili zastanawiał nad zlikwidowaniem cię!

Nie miał podstaw wątpić w to, że mówię prawdę. Byłem doskonale ustawiony, a poza tym sprzyjały mi okoliczności. O godzinie pierwszej nad ranem nasze spokojne, drobnomieszkańskie miasto zamienia się w małą pustynię. Gdybym chciał wykonać swoją groźbę, z pewnością udałoby mi się to bez szczególnego dla mnie niebezpieczeństwa. Skinny myślał prawdopodobnie w ten sam sposób, gdyż skręcił bez słowa sprzeciwu na południe. Po kilku minutach

znaleźliśmy się w alei Congress Park, który tym jest dla Springville, czym Lasek Buloński dla Paryża. Kazałem mu się zatrzymać na jednym z rogów. Lewą ręką opuściłem szybę tylnych drzwi, aby mieć go cały czas na celu.

– Wyłaż, Skinny! Za chwilę przyjdę. Podnieś ręce do góry!

Ten rodzaj zbirów nie odznacza się zbytnią odwagą. A zresztą, cóż innego mógł zrobić? Wsiadł, zatrzasnął za sobą drzwi i na mój rozkaz zatrzymał się, ciągle odwrócony plecami, w odległości czterech kroków ode mnie. Wsiadłem z samochodu i zrewidowałem mojego przeciwnika bardzo starannie. Odebrałem mu rewolwer, który nosił w kieszeni pałta. Rzuciłem go w krzaki, najdalej jak tylko mogłem.

– A teraz możesz się odwrócić – powiedziałem.

Zsunąłem kapelusz na tył głowy. Noc była wystarczająco jasna, aby mnie od razu poznał. Twarz mu zbladła. Słyszałem, jak dzwoniły mu zęby ze strachu. Trzymałem go przed sobą z rewolwerem wycelowanym w jego brzuch.

– Czego chcesz? – wykrztusił wreszcie. – Nie znam cię!

Zaśmiałem się.

– Z pewnością nie znałeś mnie do wczorajszego wieczora. Ale wczoraj zawarliśmy znajomość. Szkoda, że nie jesteśmy teraz w komplecie i że po drodze zostawiłeś swego małego przyjaciela Stowe'a...

Wiedział, co go czeka. Czuł się skazany na śmierć. Nawet nie próbował zaprzeczyć.

– Słuchaj, czarnuchu – powiedział przerażony. – Nic do ciebie nie mam. Wczoraj wieczorem wykonywaliś tylko czyjeś polecenie. Nie chcieliśmy ci zrobić nic złego! Mieliśmy jedynie nastraszyć cię, abyś nie wtrącał się do nie swoich spraw.



Bydlak! Nie chcieli mi wyrządzić krzywdy. Jeszcze teraz czuję ból, który nie pozwala mi oddychać! Nie chciał mi zrobić nic złego! Poczekaj, łajdaku! Starałem się nadać mojemu głosowi najbardziej zimny i bezwzględny ton. Dotknąłem cyngla. Skinny Dombs wiedział, co to znaczy. Zauważył ruch, który był równoczesny z wyrokiem śmierci. Wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście.

– Nie! Nie! – błagał. – Przysięgam ci, że mówię prawdę! Chodziło tylko o to, żeby cię przestraszyć!

– Założmy, że ci wierzę – powiedziałem już bardziej pojednawczym tonem. – Ale zastanówmy się, czy wolno ci wierzyć. Kto ci wydał polecenie? Dla kogo pracowałeś ty i twoi koledzy?

– Jeżeli ci powiem... nie zastrzelisz mnie?

– Cóż, o tym się przekonasz. Nie znajdujesz się w tej chwili w sytuacji, która dopuszczałaby przetarg. Jedno mogę ci obiecać: jeżeli mi nie powiesz, zastrzelę cię. Jest to tak pewne, jak to, że dwa razy dwa jest cztery.

Przełknąłem z wysiłkiem ślinę. W półmroku widziałem ruch jabłka Adama. Był to miękki facet, zdolny do powiedzenia wszystkiego.

– To był pan Ebinger – powiedział.

Zdziwiło mnie to do tego stopnia, że nie zmieniając położenia rewolweru skierowanego w przeciwnika, podrapałem się w nos lewą ręką.

– Często pracujesz dla Ebingera? – spytałem.

– Tak... Regularnie. Zawsze wzywa mnie i moich chłopców, abyśmy utrzymywali porządek w jego zakładach.

Utrzymywanie porządku... Daję słowo, doskonałe określenie! W każdym razie zdziwiło mnie, że człowiek taki jak Arnold Ebinger zadawał się z typem w rodzaju Skinny'ego Dombsa.

– Czy to sam Ebinger wydaje ci polecenia?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie! – odpowiedział. – To Pokay Jones.

Zacząłem powoli rozumieć. Pokay Jones, antypatyczny wielki facet, był dyrektorem „Seniority”. Słyszałem, że był podobno zarządcą lemoniadowych interesów Ebingera. Było to więc dość prawdopodobne.

– A więc to Pokay polecił ci wczoraj udzielić mi lekcji?

– Nie – zaprotestował. – Wczoraj wydał mi to polecenie osobiście Ebinger. Dzwonił do mnie przed siódmą wieczorem, kiedy grałem w bilard „U Wuja Joe”. Powiedział, że mam ci dać taką szkołę, abyś już nigdy więcej nie pakował swego czarnego nocha w jego sprawy. Tak powiedział dosłownie.

– A tyś naturalnie posłuchał. Dać szkołę Murzynowi – to przecież głupstwo. Czy dobrze znasz Ebingera?.

Wzruszył ramionami.

– Widziałem go wszystkiego dwa razy, gdy przychodził do „Seniority”, kiedy ja tam byłem. Nawet z nim nie rozmawiałem.

Postąpiłem krok naprzód, ciągle z wyciągniętym rewolwerem. Skinny Dombs drżał jak liść.

– Nie... nie! – błagał. – Przysięgam ci, że nie chcieliśmy cię zabić! Chcieliśmy cię tylko przestraszyć... jak powiedział Ebinger. Spytaj Stowe'a!

Spytaj...

Chciał prawdopodobnie powiedzieć: spytaj Ebingera, ale przypomniał sobie, że on już nie żyje. Wiedział też, że również on, Skinny, umrze. Może nawet myślał, że to ja załatwiłem Ebingera nad basenem. Zrobiłem znów dwa kroki, tak jak bym chciał strzelać bezpośrednio dotykając jego ciała. Widziałem krople potu na jego wykrzywionej strachem twarzy., Trzęsły mu się nogi. Czułem, że za

chwilę upadnie przede mną na kolana.

– Nie... nie zabijaj mnie – skomlał bez żadnego wstydu.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Nie mam najmniejszego zamiaru zabijać cię, ty nędzny głupcze! – powiedziałem. – Chcę ci tylko zbić mordę.

Mówiąc to wsunąłem rewolwer do futerału, a Skinny'ego poczęstowałem lewym prostym i jeszcze kilkoma bolesnymi ciosami. Chciałem, żeby zaczął walczyć, żeby się bronił. W ciągu paru chwil zrozumiał, że nie grozi mu już śmierć, że ma, być może, pewne szanse na zwycięstwo.

Wówczas zacząłem walczyć naprawdę. Przydała mi się wspaniała szkoła walki, którą przeszedłem w policji w Filadelfii. Trwało to zaledwie pięć minut. Skinny Dombs błagał mnie, błyskając resztkami zębów, abym dał mu spokój. To mi wystarczyło.

Wsiadłem do oldsmobila i ruszyłem w kierunku miejsca, gdzie pozostawiłem swojego forda. Pomyślałem, że Skinny wróci do miasta pieszo albo autostopem. Cóż mnie to zresztą mogło obchodzić. Byłem wykończony. Dałem mu taką szkołę, że wszystko bolało mnie jeszcze bardziej niż po wczorajszym wieczorze.

## LINUS

Ocknąłem się o dziewiątej trzydzieści w katastrofalnym stanie fizycznym, ale absolutnie uzdrowiony psychicznie. Obudziła mnie „Ma” Tomkins, którą zamówiłem na tę godzinę. Nim oddałem się w ręce tej góry mięsa, zadzwoniłem do

biura, aby uspokoić Luiżę. Powiedziałem jej, że wszystko w porządku i że prawdopodobnie zobaczy mnie około południa świeżego jak noworodka.

Odpowiedziała mi, że nie pali się, że wykorzystała cały wolny czas i że Tim Fortee ma mi wiele do zakomunikowania. Byłem zadowolony. Z trwogą tylko przyglądałem się dobierającym mi się do skóry łapom „Ma”, która w dziesięć minut później przeniosła mnie niczym małe dziecko do łazienki, ustawiła pod prysznicem i zajęła się „biczowaniem”.

O jedenastej byłem zupełnie odrodzonym człowiekiem. W telewizji o tej porze nadawano dziennik. Przekręciłem gałkę i usłyszałem, że dzieje się to, czego się obawiałem.

Podczas gdy na lewym brzegu rzeki załatwiałem spokojnie swoje drobne sprawy, prawy brzeg przeżywał nową gorącą noc. Oskarżenia rzucone przez prasę na „Czarne Pantery” z powodu zamordowania Arnolda Ebingera rozpętały gniew młodych w murzyńskiej dzielnicy. Na ulicach spontanicznie tworzyły się bandy obrzucające kamieniami samochody policyjne. Szeryf zmobilizował siły porządkowe (podczas moich przygód ze Skinnym Dombsem nie zauważyłem po tej stronie rzeki ani jednego patrolu policyjnego). Naturalnie doszło znów do poważnych starć. Bilans, jeśli wierzyć dziennikowi telewizyjnemu, był naprawdę tragiczny: młoda dziewczyna zabita przez zabłąkaną kulę, dobry tuzin – jeśli nie liczyć lżej poturbowanych – ciężko rannych, kilkanaście splądrowanych i podpalonych sklepów oraz stu pięćdziesięciu aresztowanych.

Do tego trzeba jeszcze dodać, że wieści z innych miast również nie były zbyt wesołe. Wypadki w Springville wywołały rezonans

w wielkich metropoliach, gdzie „Czarna Siła” jest doskonale zorganizowana. W naszym mieście tego rodzaju zajścia wybuchają na ogół spontanicznie, ale w Chicago, Jersey City czy Newark działają organizacje, dla których taka okazja jest niebywałą gratką.

Ubrałem się, zapaliłem papierosa i zamyślony zszedłem do garażu, aby wziąć samochód i udać się do biura. Cóż, nie będę ukrywał, że nie bardzo podobał mi się obrót, jaki przybrały sprawy.

Proszę myśleć razem ze mną. Wszystko zaczęło się od tego, że Ebinger kandydował w wyborach. Nie podobało się to „Czarnym Panterom”, które wysłały mu kilka listów z pogróżkami, a wreszcie zabiły go, gdy upierał się przy swoim zamiarze.

Doskonale! Do tego miejsca wszystko jest jasne. Ale proszę mi wytłumaczyć, dlaczego „Czarne Pantery” godziły właśnie w Ebingera? Jest to przecież organizacja terrorystyczna, która sprzeciwia się wszystkiemu, poczynając od konstytucji i organizacji życia politycznego w Stanach Zjednoczonych. Czego by więc szukały „Czarne Pantery” w wyborach w Springville? Przecież nie kandyduje żaden kolorowy... Dla Murzynów w ogóle, a dla „Czarnych Panter” w szczególności jest absolutnie obojętne, kto będzie merem – Rian czy Ebinger. W każdym wypadku będzie to biały.

Mimo to te groźby miały jednak miejsce, i tego nie da się ukryć. Dowodem niepokój pani Ebinger, która – w nadziei, że jar czarny detektyw, potrafię jej w jakiś sposób pomóc – przyniosła mi ostatni otrzymany przez jej męża list.

Zacząłem zbierać informacje o tym, któremu grożono. Nie podobało się to właśnie jemu i spowodowało piorunującą reakcję. Tego samego wieczora rozkazał, aby nauczono mnie moresu. Na koniec

pogróżki skierowane do niego zostały wykonane i... exit, panie Ebinger!

Prasa natychmiast wybuchła. Była to okazja do szerokiej antymurzyńskiej kampanii. Rozgorzała walka rasowa. Jest to tym bardziej dziwne, że Springville należy do tych miast w Stanach Zjednoczonych, w których współżycie ras przebiegało dotychczas w miarę pomyślnie.

Kiedy dojechałem do biura, prawie uwierzyłem, że była to prowokacja wrogów Ameryki, zdecydowanych – wszelkimi środkami i za wszelką cenę – na zatrucie stosunków między społecznościami.

\* \* \*

Była za kwadrans dwunasta, kiedy wszedłem do pokoju Luizy Wright. Oczy jej świeciły z zadowolenia. Nie chciałem jej psuć humoru. Poprosiłem ją do siebie. Kiedy obejrzała mnie od stóp do głowy, z wyraźną ulgą wyciągnęła notes z kieszeni i powiedziała:

– Myślę, że pan Fortee wykonał zadanie, którym go pan obarczył. Ja natomiast zajmowałam się państwem Lee. Według danych archiwum redakcyjnego „Citizen” Deborah Ebinger wyszła za mąż z wielką pompą 8 czerwca 1968 roku. Poślubiła potomka wielkiego rodu z południa, niejakiego Marvinia Lee.

– Tak – przerwałem. – Przypominam sobie tę sprawę. Byłem już wówczas w Springville. Dzienniki i telewizja narobiły wtedy wiele hałasu. Był to związek parweniuszki z wielką arystokratyczną rodziną. Rodzina Lee ma się za potomków kolonistów przybyłych na pokładzie „Mayflower”.

– No, prawie – zauważyła poważnie Luiza. – Wie pan o tym, że

plantatorzy z Luizjany i z innych południowych stanów od czasu, kiedy Margaret Mitchell opowiedziała w „Przeminęło z wiatrem”, jak to zostali pobici przez Jankesów, ciągle są otoczeni nimbem pewnego romantyzmu.

– Niech pani nie mówi tego Murzynowi – roześmiałem się – lecz powie, czemuż to rodzina Lee z południa żyje w Kalifornii niczym wulgarnie gwiazdy ekranu?

– Po prostu dlatego, że ród ten doznał wielu zawodów. Pozbawieni fortuny, posłuchali rady Horacego Greeleya: „Jedź na zachód, młody człowieku”. Dwóm lub trzem generacjom powiodło się, a potem znów klęska. Według informacji, których udzieliła mi archiwistka „Citizen”, Marvin Lee jest przystojny, mało tego, piękny niczym Bóg. Celem tego mariażu było pozłocenie za dolary papy Ebingera wyblakłego herbu rodziny Lee.

– Ładna mentalność.

– Jeżeli chce pan znać wszystkie plotki, które zamieszczała wówczas prasa, małżeństwo to nie przyniosło młodym szczęścia. Marvin Lee roztrwonił posag żony przy stołach karcianych i z dziewczętami podejrzanej konduity. Teraz zamierzali żyć na koszt ojca Deborah.

– Co dowodzi – zauważyłem sentencjonalnie – że dobro źle zdobyte nie przynosi korzyści. Nawet jeśli nabytek jest młodym człowiekiem z doskonałej rodziny. W każdym razie, Luizo, dziękuję. To była dobra robota. Gratuluję.

Była szczęśliwa.

– Pan Fortee również pracował – zauważyła skromnie – i chce pana zobaczyć, aby przekazać informacje, o które go pan prosił.

Rzuciłem okiem na zegar stojący na biurku.

– Jest właściwie pora obiadowa. Niech pani zadzwoni do Tima i uprzedzi go, że wstąpię do niego.

\* \* \*

W małym barze, w którym zazwyczaj wspólnie jadaliliśmy, udało nam się znaleźć odosobniony i spokojny stolik. Mimo to Tim zaczekał z przekazaniem mi zdobytych informacji do momentu, aż kelner oddali się.

– Sprawdzenie dyspozycji w testamencie Arnolda Ebingera nie sprawiło mi wiele trudności.

– Tim mówił ściszym głosem. – Testament został złożony u jego notariusza i jak najbardziej przepisowo zarejestrowany. Sporządzony był w 1963 roku.

Zwróciłem uwagę na datę.

– To rok, w którym ożenił się z Janice, prawda?

– Dokładnie. Musiało to mieć związek z tą sprawą, gdyż zgodnie z tym dokumentem całą fortunę, za wyjątkiem drobnych legatów, pozostawił swojej córce.

Oniemiałem z wrażenia.

– To nie do wiary! Pozbawia żonę wszystkiego w tym samym czasie, kiedy bierze z nią ślub?

Przyjaciel uspokoił mnie:

– Ja też tak pomyślałem w pierwszej chwili.

Ale stary Ebinger wiedział co robi. Żenił się z dziewczyną, która była w wieku jego córki. To bardzo niebezpieczna sprawa. Aby zapewnić jednej i drugiej stronie przyszłość, zarezerwował swój majątek dla córki, a na korzyść Janice ubezpieczył się na życie na sumę stu tysięcy dolarów.

Przez chwilę pomyślałem, jak ogromną wartość przedstawia sto tysięcy dolarów. Ja na przykład przestaję liczyć, kiedy dochodzę do



dziesięciu tysięcy. Sto tysięcy czy milion – to dla mnie już wszystko jedno.

– W każdym razie – zauważyłem – musi być olbrzymia różnica między stu tysiącami dolarów z polisy ubezpieczeniowej a majątkiem Ebingera.

– W tym miejscu muszę ci sprawić niespodziankę. Istnieje wprawdzie różnica, ale wcale nie taka wielka, jak sobie wyobrażasz. Jak wiesz, mam doskonałe stosunki w środowisku adwokatów, zarówno tych do spraw karnych, jak i cywilnych. Dzięki temu dowiedziałem się, że sytuacja finansowa Arnolda Ebingera wcale nie była taka różowa, jak powszechnie uważano.

– Cooo? – byłem zupełnie oszołomiony.

– Tak, tak, mój drogi! Domy towarowe istnieją rzeczywiście. Ale żeby je wy lansować, Ebinger poświęcił wszystko. Dlaczego? Dlatego że uruchamiając swój interes w Springville, wszedł w konflikt z wielkim koncernem, który postanowił złamać mu kark. Został zmuszony do pracy z coraz to mniejszym zyskiem, wreszcie do sprzedaży ze stratą. Doszedłem nawet do wniosku, że zapuszczając się w świat nocnych lokali, w świat przestępców, powrócił do swoich dawnych upodobań po to tylko, aby móc prowadzić walkę o supermarkety.

– Jednak w końcu zwyciężył, prawda?

Tim Fortee skinął potakująco głową.

– Masz rację – powiedział. – Tylko że stało się to dopiero teraz. Wielki koncern pozwolił mu egzystować. W chwili obecnej Arnold Ebinger, jeśli chodzi o dziedzictwo, posiada majątek w granicach czterystu do pięciuset tysięcy dolarów.

Muszę przyznać, że mnie wystarczyłoby to zupełnie. Inna sprawa, kiedy mówi się o milionach. Wówczas suma ta wywołuje wrażenie podobne te mu, jakie sprawia zimny tusz.

Odsunąłem talerz i zapaliłem papierosa.

– Lepiej, że tak się stało. Będę mniej żałować.

– Mniej żałować? – zdziwił się Tim Fortee patrząc na mnie poważnie spoza grubych szkieł okularów. – Dlaczego? Nie interesuje cię więcej ta sprawa?

– Nie – odpowiedziałem kategorycznie. – Rzucam sprawę Ebingera, jego żony i okoliczności jego śmierci. Zrozum, w całej tej sprawie nie ma już klienta. Nie widzę powodów, dla których miałbym się wtrącać.

Szeroki uśmiech rozjaśnił dobrą twarz Tima.

– Szczeniaku... – powiedział. Nazywa mnie szczeniakiem, gdyż ukończył uniwersytet dwa lata przede mną. – Szczeniaku, to najlepsza wiadomość, jaką mogłeś mi zakomunikować. Radziłem ci zachować ostrożność i byłem naprawdę zaniepokojony twoim uporem. Tym bardziej że zaledwie przedwczoraj otrzymałeś zaliczkę w... naturze.

– To prawda – odpowiedziałem z humorem. – Ale wczoraj wieczorem, o czym jeszcze nie wiesz, zwróciłem tę zaliczkę, dodając do niej procenty.

\* \* \*

Kiedy Luiza dowiedziała się o moim zamiarze zrezygnowania ze sprawy Ebingera, była tak szczęśliwa, że miała ochotę mnie uściskać. Nie chciałem być dla niej niemiły i pozwoliłem się ucałować, co zresztą nie było nieprzyjemne.

Popołudnie spędziliśmy na załatwianiu rachunków i korespondencji, która nagromadziła się, gdy zajmowałem się Ogdenem i jego bandą.

Czas mijał nam w doskonałym nastroju. W to popołudnie indiańskiego lata słońce przesunęło się powoli nad Wascoe Tower, kierując

się na zachód, nad prerię, gdzie ciągle jeszcze galopują *jack rabbits* i wyją kojoty, ale gdzie już Greyhoundsy (firma autobusowa, której znakiem jest chart) zastąpiły dyliżanse. Greyhoundsy, na które się nie napada.

Mówię o tym wszystkim, abyście wiedzieli, że odnosiłem wrażenie, iż przeżywam niezwykle cenne chwile. Nie byłoby ono zresztą tak wyraźne, gdybym od czasu do czasu nie słuchał radia. Sprawa Ebingera miała olbrzymie, nieoczekiwane następstwa. Sytuacja stała się coraz bardziej napięta. Poważne zamieszki wybuchły wieczorem w Filadelfii, w mieście, które doskonale znałem. Był to bardzo zły przykład dja Springville, które uważając się za powód tego całego napięcia, będzie się czuło zobowiązane do następnej gorącej nocy.

Podszedłem do okna i spojrzałem na tamtą stronę rzeki. Gdyby choć zmienił się kierunek wiatru i zaczął padać deszcz, zmusiłoby to ludzi do siedzenia w domu.

Postanowiłem pójść z Luizą na kieliszek do jakiegoś modnego lokalu. Naturalnie, powiecie mi, że nie należy tego robić, kiedy jest się szefem tak pięknej dziewczyny. Może sobie przecież wyobrazić nie wiadomo co... Zwykle zaczyna się od jednego cinzano, a kończy nie wiadomo w jakim łóżku – zauważcie jednak, że między jej a moim mieliśmy wybór raczej ograniczony. Odpowiem na to, że jesteście ogarnięci obsesją i zepsuci. Istnieje koleżeństwo pomiędzy mężczyzną a kobietą, zwłaszcza jeśli nie może być inaczej.

Właśnie gdy chciałem ją zaprosić na drinka, Luiza połączyła mnie z miastem. I któż był po drugiej stronie? Pastor Borden. Naturalnie, nazwisko to nic wam nie mówi, ale w Springville wszyscy znają pastora Linusa Bordena. Zresztą nie tylko w Springville, także w wielu stanach USA.

Jest to człowiek, którego oddziaływanie na innych może być porównane do tego, jakie wywierał Martin King. W sprawach Murzynów jest on nawet bardziej zaangażowany, ale mniej „delikatny” od Kinga. To prawda, że od czasu zamordowania Martina Luthera Kinga w 1968 roku sytuacja rozwinęła się zupełnie inaczej i z pewnością nie w dobrym kierunku. Jestem przekonany, że gdyby dziś żył pastor King, zbliżyłby się do ekstremistów ruchu.

– Co słysząc, ojczu? – spytałem, mile połączony faktem, że zwraca się do mnie taka „osobistość”.

– Dzień dobry, panie Benson – powiedział. – Cieszę się, że pana zastałem, ponieważ chciałbym się z panem zobaczyć.

– Jestem do pańskiej dyspozycji, ojczu. Zna pan mój adres. Czy chodzi o sprawę zawodową?

Zadałem to pytanie, gdyż często odwiedzali mnie duchowni w różnych sprawach, pragnąc uniknąć interwencji policji.

– Tak, chodzi o sprawy zawodowe – potwierdził z pewnym wahaniem. – Jeżeli to panu nie przeszkadza, bardzo bym się ucieszył, gdyby pan zechciał przyjechać do mnie.

– Do pana do domu?

– Nie. Do kościoła. Do świątyni Świętych Dnia Ostatniego przy 14. Zachodniej Ulicy. Jeżeli jest pan teraz wolny, prosiłbym o jak najszybsze przybycie.

Zastanawiałem się przez chwilę. Chciałem przecież sprawić Luizie prawdziwe święto tego wieczora. Nie mam nic przeciwko pastrowi Bordenowi, ale jego atrakcyjność w porównaniu z piękną dziewczyną... Cóż jednak robić, obowiązek przede wszystkim! Detektyw tak jak lekarz: musi przybyć wówczas, kiedy jest potrzebny.

– Dobrze, ojczu. Będę u pana w ciągu kwadransa. Czy to panu odpowiada?

– Doskonale, czekam.

Mimo wszystko Luiza zwyciężyła. Nie mogłem zdecydować się na zrezygnowanie z przyjemności wypicia kilku kieliszków w jej towarzystwie. Wychodząc spytałem ją:

– Czy pani zanotowała rozmowę?

– Nie udzielił mi pan żadnych przeciwwskazań...

– Słusznie! Wydaje mi się, że sprawa z pastorem Bordenem nie zajmie mi więcej niż godzinę. Zamknij pani biuro, pójdź do domu i włóż tę śliczną beżową suknię, w której jest pani tak do twarzy. O dwudziestej wpadnę po panią i zjemy razem kolację. Zgoda?

Zauważyłem błysk w jej oczach i rumieniec na brązowej twarzy. Była szczęśliwa. Co do tego nie mogło być wątpliwości.

– Według rozkazu, szefie! – odpowiedziała z radością.

\* \* \*

Zaparkowałem samochód na 14 Zachodniej Ulicy, w pobliżu świątyni. Był to typowy, amerykański kościół metodystów, taki jak tysiące innych w całym kraju. Na małym klombie umieszczono tablicę z napisem: *„Kościół Świętych Dnia Ostatniego. Nabożeństwa w niedzielę o godzinie dziesiątej i osiemnastej. Modlitwy i medytacje – wórki i piątki o dwudziestej trzydzięci. Myślcie o swoim zbawieniu, słuchajcie słów Jezusa”*.

Na dzisiaj więc spokój, bo jest czwartek, prawie osiemnasta trzydzięci. Nad Springville zapada zmierzch.

Kiedy wysiadłem z samochodu, skrzywiłem się. Ciągle jeszcze bolały mnie wszystkie kości.

Wszedłem przez małe drzwi umieszczone w prawym skrzydle gmachu i natychmiast natknąłem się na pastora Bordena, który mnie

tu oczekiwał. Przedstawiam go wam: Jest oczywiście Murzynem. Ciemniejszy ode mnie. Ma długą twarz o delikatnych rysach. Nosi okulary bez oprawy. To one sprawiają, że przychodzi na myśl lekarza, z którym nie ma żartów. W rzeczywistości cieszy się opinią wspaniałego człowieka, a jego odwaga jako bojownika o prawa cywilne Murzynów jest szeroko znana i uznawana nawet przez białych.

– Jestem panu bardzo wdzięczny za przybycie, panie Benson. Proszę za mną. Chcę panu wytłumaczyć, o co chodzi.

Poprowadził mnie przez pogrążony w półmroku kościół. W pobliżu ambony, z której pastor przemawia do swych owieczek, wieszane były numery pieśni z ostatniej niedzieli, choć niewykluczone że są one przeznaczone już na następną. Minęliśmy główną nawę. Z lewej strony zamajaczyły kontury małej kapliczki, w której Borden odprawiał modły, gromadzące zazwyczaj tylko niewielkie grono wiernych. Było tam jeszcze ciemniej niż w całym kościele. W kącie zauważyłem jegomościa siedzącego na krześle, a potem nagle za moimi plecami wyczułem obecność drugiego, i to z wycelowanym we mnie rewolwerem. W moim zawodzie nie trzeba widzieć, żeby wiedzieć. Takie rzeczy po prostu się czuje

Przyznam szczerze, że zrobiło mi się głupio. Pozwolić się ukatrupić w kościele, do którego zostało się wprowadzonym przez pastora, to z pewnością przeczy zdrowemu rozsądkowi! Chciałem o tym powiedzieć Bordenowi, ale ten uprzedził mnie:

– Niech się pan niczego nie obawia, panie Benson. W domu bożym nie może spotkać pana żadne nieszczęście. Proszę mi wybaczyć, że to, co pan widzi, na pierwszy rzut oka stwarza wrażenie zasadzki, ale tak się złożyło, że ci panowie z wielu przyczyn muszą zachować absolutną anonimowość.

Siedzący na krześle człowiek nie poruszył się. Za sobą słyszałem oddech drugiego. Sprawiał wrażenie osoby, która ma zadyszkę. Usiadłem na jednym z wolnych krzeseł. Pastor zrobił to samo. W pozycji stojącej pozostał tylko człowiek wartujący we wnęce drzwi łączących kaplicę z głównym korpusem świątyni.

– Panie Benson – odezwał się nieznajomy – był pan zamieszany w śmierć Arnolda Ebingera.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Nie rozróżniałem rysów mego rozmówcy. Widziałem tylko jego masywną sylwetkę. Mimo to nie miałem żadnej wątpliwości, że ten człowiek jest Murzynem. Głos Murzynów jest bardzo charakterystyczny, zawsze przypomina odrobinę głos Armstronga.

– Zamieszany... to zbyt wiele powiedziane – sprostowałem od razu. – Powiedzmy, że jego żona przyszła do mnie w dniu jego śmierci, to znaczy przedwczoraj.

– Pokazała panu list z pogrózkami „Czarnych Panter”.

– Właśnie – odpowiedziałem.

Sięgnąłem ręką do kieszeni, wyciągnąłem paczkę papierosów, ale nagle przypomniałem sobie, że jestem w kościele. Powstrzymałem się od palenia.

– Czy pan zgodził się pracować dla pani Ebinger?

– Miałem udzielić jej odpowiedzi następnego dnia po zastanowieniu się nad całą sprawą. Tymczasem jednak mąż jej już nie żył.

– Udzielił jej pan jednak odpowiedzi?

– Tak.

– Pozytywnej czy negatywnej?

– Pozytywnej.

Pytania tego typu denerwowały mnie. Jeżeli wyobrażał sobie, że będę krążył wokół tematu, to się pomylił. Gwizdnę na to, co

pomyślał o moim systemie pracy.

– Dlaczego udzielił pan odpowiedzi pozytywnej? Czy nie bał się pan natknąć na „Czarne Pantery?”

No nie, za kogo właściwie on się uważa?

– Chwileczkę – powiedziałem. – Moje decyzje zawodowe nigdy nie są dyktowane przez tego rodzaju zastrzeżenia. Gdyby tak było, to zajmowałbym się już dawno sprzedażą fistaszków. Wydaje mi się, że ani dziś, ani jutro „Czarne Pantery” nie będą mi mówić, co mam robić, a czego nie robić. Niech pan to sobie dobrze zanotuje w pamięci. – Usłyszałem, jak pilnujący mnie z tyłu człowiek podskoczył. Mój rozmówca uspokoił go jednak gestem. Wówczas zacząłem mówić dalej: – Postanowiłem przyjąć propozycję pani Ebinger, gdyż tego samego wieczora, kiedy złożyła mi wizytę, zostałem napadnięty przez bandę złożoną z trzech rzeźmieszków, którzy czekali na mnie przy bramie mego domu. Nienawidzę takich spraw, dlatego chciałem wiedzieć, co się za tym kryje. Niestety, tak się złożyło, że Arnold Ebinger już nie żył, a wdowa po nim nie potrzebowała moich usług.

– Czy to ona panu o tym powiedziała?

– Tak. Było to jednak zupełnie niepotrzebne. W pokoju obecni byli szeryf O'Malley i porucznik Trent, którzy natychmiast to potwierdzili.

– Nie myślał pan o tym, aby kontynuować sprawę na własny rachunek?

Głos stawał się coraz bardziej nalegający, a jednocześnie coraz bardziej ironiczny. Szczerze mówiąc, miałem już tego dosyć.

– Tak – odpowiedziałem. – Aż do wczorajszego wieczora. Ale wobec tego, że miałem okazję zwrócić to bicie z nadwyżką, doszedłem do wniosku, iż jestem skwitowany i przeszedłem nad całą



sprawą do porządku dziennego. Nie wiem, co pan sobie wyobraża, ale ja nie pracuję z miłości do sztuki. Mam zawód. Wykonuję go, kiedy mam klienta. W tym przypadku sprawa jest jasna: nie ma klienta, nie ma długu.

Nastąpiła cisza. Typ przeżuwał i przetrawiał to wszystko, co mu przekazałem. Zupełnie odprężony, czekałem spokojnie. Zadawałem sobie tylko pytanie, kim ten człowiek może być. Byłem gotów założyć się o kolację, którą miałem zjeść razem z Luizą, że jest to jeden z działających w ukryciu przywódców „Czarnych Panter”.

– Chcę panu zadać jeszcze dwa pytania, panie Benson – odezwał się do mnie. – Naturalnie, nie musi pan na nie odpowiadać.

– Cóż pan sobie wyobraża? Nie mam niczego do ukrycia.

– A więc dobrze. Przede wszystkim ludzie, którzy pana pobili. Czy to byli biali czy czarni?

– Biali. Trzech drobnych opryszków z Kansas City. Zidentyfikowałem ich i stłukłem głowę ich szefowi. Mieli mi „wytłumaczyć”, bym przestał interesować się Ebingerem.

– Moje drugie pytanie ma charakter bardziej subiektywny – powiedział tajemniczy Murzyn, wyraźnie zadowolony. – Widział pan ów anonimowy list, czy uważa pan, że „Czarne Pantery” są odpowiedzialne za śmierć Arnolda Ebingerera?

Odpowiedziałem bez namysłu:

– Nie, nie myślę tak. Musiałbym panu bardzo długo tłumaczyć, dlaczego tak sądzę; krótko mówiąc, czuję jakąś kombinację kryjącą się za tym morderstwem.

– Czy chciałby pan ją wyjaśnić? – spytał tonem już zupełnie zadowolonym.

– Proszę posłuchać, szanowny panie – powiedziałem skandując

sylaby. – Podobnie jak każdy kolorowy jestem również zwolennikiem równych praw obywatelskich i wszystkiego, co z tego wypływa. Nie podobają mi się jednak pewne metody i nie wtrącam się z zasady do polityki. Chciałbym wyjaśnić całą tę sprawę, gdyby zlecił mi to jakiś klient w sposób oficjalny. W każdym razie podkreślam, że nie poszukiwałem niczego innego niż prawdy.

Czekałem, że wybuchnie, ale w tym momencie głos zabrał ojciec Borden.

– Nikt nie żąda od pana niczego więcej, panie Benson – powiedział. – Musi pan tylko zrozumieć, że obrót, jaki przybrały wypadki, napięcie rasowe, rosnące z godziny na godzinę, słusznie niepokoi ludzi odpowiedzialnych za czarną społeczność. Pragniemy wykazać, że „Czarne Pantery” nie mają nic wspólnego z zabójstwem Arnolda Ebingera. Jeżeli pan się zgodzi, wspólnota metodystów gotowa jest zlecić panu tę misję na warunkach, jakie pan przedstawi. Jestem upoważniony, aby wręczyć panu pierwszy czek, nawet w tej chwili. Czy pan się zgadza?

– Owszem, ale nie na tych warunkach – odpowiedziałem. – Jestem gotów do poszukiwań mordercy Arnolda Ebingera bez względu na to, kim on jest, białym czy czarnym. A to jest wielka różnica.

– Nie bawmy się w grę słów, Borden – przerwał mój anonimowy klient. – Dla nas ta sprawa wygląda tak samo. Proszę ją zlecić panu Bensonowi...

\* \* \*

Kiedy w kwadrans później opuszczałem kościół, miałem akurat tyle czasu, by pojechać po Luizę. Czułem, że

nie będzie zbyt zadowolona, kiedy się dowie, że w związku ze sprawą Ebingera znów wstąpiłem na ścieżkę wojenną.

Cóż jednak robić. Etyka zawodowa obowiązuje... W mojej kieszeni jako zaliczka spoczął czek na pięćset dolarów.

Nieznamy Murzyn i jego asystent zniknęli dyskretnie, podczas gdy wypełniałem dla pastora Linusa Bordena jedną z umów, których blankiety in blanco zawsze przy sobie noszę.

## LUCIUS

Naturalnie, nie pomyliłem się twierdząc, że zarówno Luiza Wright, jak i Tim Fortee będą poruszeni, kiedy dowiedzą się, że ponownie zająłem się sprawą Ebingera. Jeżeli chodzi o Luizę, potrzebowałem użyć całej swojej elokwencji, aby przekonać ją, że musiałem znów wziąć rzecz całą w swoje ręce. Dużo spokojniej przyjął tę wiadomość mój przyjaciel Tim. Kiedy opowiedziałem mu wszystko przez telefon, zgodził się ze mną, że należy działać bardzo szybko.

Nie potraficie sobie nawet wyobrazić, co działo się tej nocy w mieście. Proszę mi wierzyć, pałki policyjne nie próżnowały! Naturalnie, moi kolorowi bracia nie pozostali dłużni. Bilans: setka nowych aresztowań, prasa spuszczone z łańcucha i domagająca się głów, policja zapewniająca, że wśród podejrzanych znajdują się mordercy Arnolda Ebingera, wrzenie, które szybko ogarnęło inne miasta, i perspektywa tego, co się będzie działo podczas pogrzebu młodej dziewczyny, zabitej poprzedniego dnia.

Tim Fortee był zadowolony, że przedstawiciele „Czarnych Panter” zapewnili sobie moje usługi, aby znaleźć prawdziwego mordercę. Dla niego nie ulegało wątpliwości, że u pastora Bordena spotkałem kogoś z przywódców ekstremistycznego ruchu. Z faktu tego wynioskował, że „Czarne Pantery” nie są zainteresowane w tej chwili w awanturach w Springville. Zresztą, rozumując logicznie, należy przypuszczać, że nie zapuścili jeszcze zbyt mocno korzeni w naszym mieście i każdy przejaw gwałtowności byłby przedwczesny.

Tak więc po nitce do kłębka, od dedukcji racjonalnej przez dedukcję kartezyjską Tim Fortee doszedł do wniosku, że jego obowiązkiem jako obywatela, jest pomóc mi w tej sprawie. Prawdę mówiąc oczekiwałem tego.

Rankiem udałem się do centralnego komisariatu policji. Jak w wielu miastach amerykańskich, tak i w Springville wszystkie służby administracyjne miasta zgrupowane są w jednym gmachu. Nazywa się to „Civic Centre”. Policjanci zajmują trzy pierwsze piętra, a na czwartym znajdują się biura prokuratora okręgowego.

Interesowało mnie naturalnie, jak wygląda śledztwo w sprawie śmierci Ebingera i jakie jego elementy znajdują się w rękach policji. Spytałem o to sierżanta Murphy'ego, jednego z wszechmocnych w biurze szeryfa, człowieka, który brał udział w pierwszych przesłuchaniach. Zazwyczaj facet ten był bardzo ludzki. Stawiałem mu kielicha, a on nigdy nie wahał się pociągnąć w moim towarzystwie, mimo że jest Irlandczykiem, a w dodatku absolutnym rudzielcem. Tego ranka odniosłem jednak wrażenie, że rozmawiam z ostrygą, i to w dodatku z ostrygą, która stara się wyskoczyć ze swojej skorupy, jakby ta była dla niej zbyt ciasna. No cóż... z pewnością przyznacie,

że już samo takie widowisko warte było fatygi!

Zaczynałem nawet zastanawiać się, czy chłopcy z ekipy O'Malleya nie otrzymali polecenia, aby trzymać język za zębami, kiedy zjawił się w biurze porucznik Trent.

Zatrzymał się gwałtownie, a minę miał taką, jakby na poręczy własnego fotela spostrzegł skorpiona.

– Co pan tu robi, Benson? – warknął niczym niemiecki owczarek, nad którego budą widnieje napis: „zły pies”.

Powiedziałem mu, że przyszedłem po informacje i że bardzo chciałbym wiedzieć, jak daleko posunął się już w sprawie Ebingera, gdyż to, co podaje prasa, radio i telewizja, to raczej niewiele.

Spojrzał na mnie tak, jakby mnie chciał udusić.

– Niech pan posłucha, Benson – powiedział bezbarwnym głosem. – Załatwiliśmy problem raz na zawsze przedwczoraj. Pani Ebinger powiedziała panu w obecności szeryfa, że nic już ją z panem nie łączy. Jest już i tak godne pożalowania, że pokazała panu ten przeklęty, anonimowy list, zamiast przynieść go natychmiast do nas. Gdyby tak zrobiła, jej mąż pozostałby prawdopodobnie przy życiu.

Uniosłem brwi i spojrzałem na niego pytająco.

– Czy to jest pana zdanie, Trent – spytałem niewinnym głosem – czy też powtarza mi pan to, co powiedział szeryf do wdowy?

Trent odprężył się troszkę.

– Rzeczywiście, szeryf powiedział to do pani Ebinger – potwierdził. – Wydaje mi się jednak, że ma on rację, mimo iż ja osobiście rozumiem, dlaczego pani Ebinger udała się do pana. Mogła sobie wyobrazić, że w obliczu groźby czarnych ekstremistów kolorowy detektyw osiągnie dużo więcej od oficjalnej policji.

– A czy pan jest tego samego zdania?

– Moje zdanie nie ma znaczenia – odpowiedział sucho Trent. – Ebinger nie żyje, wdowa po nim już pana nie potrzebuje, a pan nie ma tu nic do roboty. Nie ma pan ani klienta, ani umowy.

Muszę wam wytłumaczyć znaczenie uwagi porucznika Trenta. W tym stanie my, detektywi prywatni, mamy określony status. Jeśli w wyniku śledztwa przeprowadzonego w naszej sprawie dochodzi do wydania licencji, jesteśmy w jakiś sposób akredytowani przy policji. Oznacza to, że jeśli wolny obywatel postanowił zwrócić się do nas o pomoc, podpisał z nami umowę i przekazał zaliczkę, policja w miarę możliwości musi ułatwić nam działalność.

I dlatego też Trent oniemiał, kiedy oświadczyłem, patrząc mu prosto w oczy:

– Myli się pan, poruczniku. Mam klienta i umowę dotyczącą tej sprawy. Nie chodzi już o panią Ebinger. Umowę podpisała wspólnota parafialna Kościoła Świętych Dnia Ostatniego.

Spojrzał na mnie niepewnym wzrokiem.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Wyciągnąłem z kieszeni fotokopię umowy podpisanej z pastorem Bordenem, pokazałem mu ją i powiedziałem:

– Jest to wyraz całkiem usprawiedliwionej troski ze strony rady tej parafii. Znajdujemy się wobec bardzo poważnego konfliktu rasowego. Młoda dziewczyna straciła już życie, a liczba rannych osiągnęła setki. Dlaczego? Ponieważ prasa, radio i telewizja rozpały potężny ogień na podstawie zwykłego anonimowego listu. Jest sprawą zupełnie normalną, że kolorowi obywatele, świadomi swojej odpowiedzialności, pragną dojść prawdy.

Porucznik Trent stał się ze złości purpurowy jak homar. Zdziwiło

mnie to, gdyż zazwyczaj starał się on układać stosunki policji ze mną najlepiej jak mógł. Był bardziej wyrozumiały niż jego szef, szeryf O'Malley. W tej chwili jednak wyglądało na to, że wybuchnie niczym bomba.

– Niech pan posłucha, Benson. Zawsze byliśmy wobec pana w porządku. Ale przysięgam, że jeżeli wbił pan sobie do głowy, iż uda się panu wykręcić z tej całej sprawy „Czarne Pantery”, to naprawdę nawarzy pan sobie piwa.

Zaczął się ze złości jąkać. Zdenerwowało mnie to. Teraz i ja z kolei uderzyłem w wysokie tony:

– Zabraniam panu snucia obraźliwych przypuszczeń – wrzasnąłem. – Zostałem upoważniony przez radę parafii, aby wykryć prawdę, bez względu na to, jaka ona będzie. Jeżeli uczyniły to „Czarne Pantery”, to będę pierwszym człowiekiem, który to ogłosi publicznie. Jeżeli dokonał tego Murzyn, wydam go w ręce sprawiedliwości, tak jak każdego Amerykanina. Jeżeli chce pan przeciwstawić się mojej działalności, musi pan przedtem zmienić status prywatnych detektywów.

Zacisnął pięści. Drżał cały. Ten facet skończy w ataku apopleksji! Na szczęście znalazł sposób na wtrącenie logicznego argumentu:

– I wydaje się panu, że osiągnie pan to, czego nie uda się policji? Co pana upoważnia do takiej pewności siebie?

– Moja przeszłość – odpowiedziałem mu. – Moje cztery lata, które spędziłem na pracy w tym mieście, i ilość spraw, które rozwiązałem przy waszej – i bez waszej – współpracy. Temu nie może pan zaprzeczyć.

Siedzący w kącie sierżant Murphy, wielkie, ważące około stu kilogramów chłopisko, wyglądał tak, jakby próbował zamienić się w

maleńkiego człowieczka, który mógłby zmieścić się pod stołem. Trent oparł się o biurko i nabrał w płuca powietrza. Ten człowiek umie jednak nad sobą zapanować.

– Zna mnie pan, Benson. Ceniłem pana zawsze i zawsze panu pomagałem. Ale tu trzeba będzie jeszcze przekonać prokuratora okręgowego i szeryfa. A przysięgam, to nie będzie łatwe.

– Dlaczego? – spytałem niewinnym głosem. – Nie mam zamiaru przeszkadzać w śledztwie. Chcę tylko wnieść swój skromny udział w wyjaśnieniu sprawy. Muszę panu powiedzieć szczerze, że wszystko, czego pragnę i czego pragną moi zleceniodawcy, to abyście wy pierwsi poznali prawdę, gdyż dla wszystkich jest to sprawa bardzo pilna. Im szybciej morderca Arnolda Ebingera zostanie zdemaskowany, tym wcześniej będziemy mieli spokój.

– Mówi pan tak dlatego, ponieważ jest pan przekonany, że to nie Murzyn zamordował Ebingera?

– Nic takiego nie powiedziałem. Zapewniam natomiast, że jeśli uczynił to Murzyn, wtedy Murzyni staną przed faktem dokonanym i będą musieli się z tym pogodzić. A wówczas, być może, moje osobiste poręczenie będzie panu potrzebne.

Spojrzał na mnie uważnie, zastanowił się przez chwilę i powiedział:

– Być może, ma pan rację. Co chce pan wiedzieć?

Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i wytarłem czoło. Czuję się tak, jak żołnierz piechoty morskiej, który po ciężkiej walce zatknął sztandar na Iwo Jima (wszyscy prawdopodobnie widzieliśmy to sławne zdjęcie).

– Przede wszystkim chciałbym znać wyniki autopsji. W jaki sposób zginął Ebinger?



– Sekcja potwierdziła nasze przypuszczenia. Był uderzony w tył głowy tępym narzędziem. Stracił przytomność. Następnie wrzucono go do basenu i tam utonął.

– Czy uderzenie w tył głowy było śmiertelne?

Porucznik Trent zawahał się przez chwilę, ale wiedział, że nie wolno mu odmówić odpowiedzi.

– Nie – stwierdził. – Cios mógł tylko oszołomić go na pewien czas.

– Wyklucza się więc możliwość, że Ebinger został uderzony gdzie indziej, a później przetransportowany do domu i tam wrzucony do basenu. Świetnie! Czy sekcja zwłok pozwala dokładnie określić godzinę śmierci?

– Nawet dość dokładnie. Lekarz sądowy sądzi, że Ebinger zmarł między godziną osiemną a osiemną trzydzieści.

– Zgoda. A jeśli chodzi o anonimowy list, co sądzą o nim eksperci?

Trent wzruszył ramionami.

– Załamują ręce. List był pisany na maszynie produkowanej w olbrzymich ilościach w latach 1960–1965. W Stanach Zjednoczonych sprzedano setki tysięcy tego typu maszyn. W tej sytuacji poszukiwanie maszyny, na której napisano anonim, to to samo, co szukanie igły w stogu siana.

Wyciągnąłem z kieszeni paczkę papierosów. Zapaliliśmy. Wziąłem mój kapelusz. W chwili kiedy chciałem wyjść, Trent zawołał:

– Benson, widzi pan, że jestem z panem szczerzy. Oczekuję wzajemności. Mam nadzieję, że mnie pan nie oszukał.

– Dałem panu słowo – odpowiedziałem poważnie. – Jeżeli natknę się na coś ważnego, natychmiast pana zawiadomię.

\* \* \*

Pozostałą część przedpołudnia spędziłem na włóczeniu się po okolicy biur Arnolda Ebingera, mieszczących się w największym z trzech domów towarowych należących do tej firmy. Rozmawiałem z wieloma osobami. Zjadłem nawet na miejscu śniadanie.

Później wyruszyłem w kierunku willi Ebingera. Uważając, aby niczym nie zaniepokoić Janice, ustawiłem się przy bocznym wejściu i przekonałem dyżurującego policjanta o konieczności podejścia do basenu.

Po południu pojawiłem się we własnym biurze i wykorzystując to, że Tim miał trochę wolnego czasu, zorganizowałem konferencję z udziałem jego i Luizy.

– W sumie – powiedziałem po zdaniu im relacji z dzisiejszego dnia – każdy mógł napisać taki list anonimowy, jaki pokazała mi Janice, prócz „Czarnych Panter”, gdyż to oni właśnie płacą mi za znalezienie winnego. A ponadto stwierdzono, że Ebinger został pozbawiony przytomności w pobliżu swojego basenu. Oznacza to, że sprawcy znali jego zwyczaje i wiedzieli o tym, iż czasami wraca do siebie, korzystając z bocznej furtki w murze.

– Czy ktokolwiek mógł wiedzieć o tym, że tego wieczora powróci o osiemnastej sam i skorzysta z bocznego wejścia? – spytała Luiza.

Spojrzałem na nią. Tim Fortee zauważył z uśmiechem:

– To naprawdę dobre pytanie.

– Tak – powiedziałem po namyśle. – Tego rzeczywiście nie można było przewidzieć. Jeśli nie miał spotkań zajmujących mu cały dzień, lubił pojawiać się nagle w swoich domach towarowych. Po

takich inspekcjach zazwyczaj powracał do biura albo od razu szedł do domu. Na przykład we wtorek, w dniu, w którym został zamordowany, jego pracownicy w biurze nie mogli wiedzieć, że będzie wracał do domu między godziną osiemną a osiemną trzydziści.

– To nas do niczego nie prowadzi – stwierdził Tim. – Wydaje mi się, że słuszniej byłoby sporządzić listę tych, którzy mogliby być zainteresowani w usunięciu Ebingera. Listę tych, którzy skorzystali by ze zbrodni. Rozumiesz, o co mi chodzi...

Tak, wiedziałem... Uważam, że to strata czasu. W przypadku Ebingera, jego nocnych knajp i spelunek trudno powiedzieć, komu zależało na jego śmierci. Nie chciałem jednak drażnić Tima, bardzo słabego detektywa, ale doskonałego adwokata.

– Na pierwszym miejscu wśród tych, którym zbrodnia przyniosłaby zysk, należy umieścić Deborah Lee, dziedziczącą majątek swego ojca.

– I Janice – dodał Tim Fortee. – Zainkasuje sto tysięcy dolarów z polisy ubezpieczeniowej.

– Zgoda – potwierdziłem – ale w tej sytuacji traci ona dużo więcej niż zyskuje. Bardziej była zainteresowana tym, aby zachować przy życiu męża, który opłacał wszystkie jej zachcianki, niż otrzymać jednorazowo sto tysięcy dolarów. Poza tym nie zapominaj, że miała olbrzymią szansę, aby stać się pierwszą damą w Springville.

– À propos – przerwała Luiza – czy cios, który otrzymał Arnold Ebinger mógł być zadany przez kobietę?

– To jest także dobre pytanie! – stwierdziłem śmiejąc się. – Przyznaję, że nie pomyślałem o tym, żeby zadać je Trentowi, ale według protokołu autopsji kobieta ta musiałaby być bardzo silna.

Domyśliłem się, dokąd zmierza moja czarująca sekretarka. Nie nawidziła pani Ebinger od chwili, gdy ta przekroczyła próg mego

biura. Postanowiłem się zabawić.

– Nie zapominajcie, że protokół autopsji jest formalny – powiedziałem. – Ebinger został zamordowany między godziną osiemną a osiemną trzydziści. Janice przybyła do mojego biura na krótko przed godziną osiemną. Odległość od ich willi do tego miejsca to dobre dwadzieścia minut jazdy samochodem. Wyjechała stąd o godzinie osiemnastej dwadzieścia pięć i wiemy, że była obecna na przyjęciu w mieście. Spudłowałaś, dziecinko! – Żeby ją jednak pocieszyć, powiedziałem: – Ale oboje macie rację! Klasyczna metoda polega na tym, aby szukać tych, którzy korzystają na morderstwie. Myślę, że zrobiliście wszystko, aby zebrać maksimum wiadomości o całej rodzinie, rozpoczynając naturalnie od państwa Lee.

– Naturalnie – odpowiedziała Luiza. – W związku z tym, że ci ludzie mieszkają na zachodzie, przekazałam instrukcje do „Pacific Agency”.

Dla waszej wiadomości: „Pacific” jest tym samym dla zachodu, czym „Goldberg Associates” dla wybrzeży atlantyckich.

\* \* \*

Po południu nic się nie kleiło. Pogrzeb Arnolda Ebingera, naszego wspańiałego ziomka, który chciał, abyśmy uczynili mu zaszczyt i wybrali na mera, przewidziany był na piątek. Oznaczało to, że napięcie jeszcze wzrośnie. Chłopcy z telewizji przyczyniali się do tego w sposób zdecydowany, przechodząc od reportaży do wywiadów, a na małym ekranie puszył się mer Rian, który – zapewniam was – przeżył swoje ciężkie chwile, bo administracja w Springville nie jest mimo wszystko wzorcowa, i Ebinger, gdyby chciał, niewątpliwie mógł narobić niezłego zamieszania.

Teraz Rian nie musiał się już obawiać. Śmierć Ebingera nastąpiła zbyt późno, aby inny kandydat mógł rozpocząć kampanię, toteż aktualny mer stał się mocny. Naturalnie, pozwoliło mu to na wygłaszanie długich tyrad na cześć zmarłego i potępienie tych, którzy uśmiercając Arnolda Ebingera nożem w plecy, zadali cios amerykańskiej demokracji.

Reporterzy telewizji nie lubią przenosić się z miejsca na miejsce, a wobec tego, że prokurator okręgu oraz szeryf urzędowali w tym samym co i mer budynku, postarali się wykorzystać ten fakt bez reszty.

Prokurator nazywa się Carry Mitchell i jako niesłychanie przystojny mężczyzna, cieszy się ogromną popularnością w Springville. Nie powinno to was tak dziwić, bowiem gdy wśród wyborców większość stanowią kobiety, to zawsze decyduje uroda... Cóż, nie wolno było udzielać kobietom prawa głosu.

Ja uważam, że jest troszkę za młody – liczy sobie zaledwie trzydzieści pięć lat. Osobiście wolałbym widzieć na tym stanowisku starszego człowieka. No, ale trzeba przyznać, że jest to uczciwy, inteligentny i ludzki typ. Oświadczenie, które złożył przed kamerami telewizji, brzmiało jasno: „Sprawiedliwości stanie się zadość. Nie powstrzyma jej żaden nacisk. Mordercy Arnolda Ebingera zostaną ukarani”.

Naturalnie, i mnie na niczym innym nie zależało. Ale trzeba przedtem dostać ich w swoje ręce! Szeryf O'Malley nie wątpił w to ani przez chwilę. Wrzeszczał do mikrofonów: „Mamy ich! Jestem osobiście przeświadczony, że mordercy Arnolda Ebingera, naszego szanownego współobywatela, znajdują się między agitatorami, których aresztowaliśmy w czasie zamieszek podczas dwóch ostatnich nocy. Ponad stu mamy za kratkami! Są to specjaliści od zadawania gwałtu i działalności wywrotowej. Nie zapominajcie, że „Czarne

Pantery” podpisały się pod morderstwem, wysyłając do Arnolda Ebingera listy z pogrózkami mającymi na celu zmuszenie go do wycofania się z kampanii wyborczej. Nic jednak nie mogło go powstrzymać od tego, co uważał za swój obowiązek...” I tak dalej, i tak dalej, w kółko to samo.

Na wszelki wypadek podłączyłem mój magnetofon do telewizora i nagrałem oświadczenie szeryfa. Mogło ono któregoś dnia drogo go kosztować, naturalnie jeżeli...

Muszę wam powiedzieć, co myślę o grubym O'Malleyu. Jest to cielsko nadmuchane przez wiatr, absolutne zero! Jego wielkim szczęściem jest to, że ma dobrych pracowników. Nie wyobrażajcie sobie, że O'Malley jest człowiekiem, który kieruje wydziałem kryminalnym. To robi porucznik Trent. Jediną pozytywną cechą O'Malleya jest to, że umie ufać swoim podwładnym, którzy są dużo inteligentniejsi od niego.

Przyznam szczerze, że wyszedłem ze swego biura w podłym nastroju. Prowadzić sprawę w takim klimacie, twarzą w twarz z wrogością zadeklarowaną przez cały właściwie aparat policyjny to naprawdę nie jest proste! Na wszelki wypadek postanowiłem spędzić wieczór po tamtej stronie rzeki, aby skontaktować się z moimi kolorowymi informatorami. Z pewnością opowiedzą mi o tych, których policja zatrzymała. Zanim przejdę do ataku, muszę się przygotować do walki obronnej.

Jadąc do murzyńskiej dzielnicy, znalazłem się w pobliżu willi Ebingera. Brama była otwarta. Policjant w mundurze asystował dozorczy pełniącemu straż. W pobliżu stał wóz patrolowy. Na terenie posiadłości parkowały samochody, ustawione wzdłuż ganku. Zwłoki, jak każe amerykański zwyczaj, zostały już przetransportowane do

domu pogrzebowego w mieście, natomiast żona i córka zmarłego powinny w tym czasie przebywać w domu z rodziną i przyjaciółmi.

Zatrzymałem się i pozostawiłem samochód trochę na uboczu. Pieszko obszedłem dom od strony małej, znajdującej się na tyłach posiadłości, uliczki. Podeszedłem do furtki, przez którą we wtorek wszedł Arnold Ebinger. Na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Furtka była zamknięta na klucz. Zmarszczyłem czoło i zastanowiłem się, czy jest to normalne. Jednym z pierwszych punktów, które musiałem wyjaśnić, było: czy przedwczoraj o godzinie osiemnastej boczna furtka była zamknięta na klucz, czy też otwarta?

\* \* \*

Wieczór spędzony w różnych lokalach murzyńskiej dzielnicy nie przyniósł niczego nowego. Złościło mnie to. Brak mi było zbyt wielu elementów, abym mógł zbudować jakąkolwiek teorię. A to, co wiedziałem, z trudem przychodziło mi złożyć w jakąś jedną całość.

Była godzina druga nad ranem. Wstałem, nie mogłem spać. Zaplikowałem sobie większą ilość whisky i zacząłem grzebać w bibliotece w poszukiwaniu jakiegoś kryminału, którego dotąd jeszcze przez przypadek nie przeczytałem. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Była to międzymiastowa. Wzywano mnie z Palm Springs. Telefonistka kazała mi uzbroić się w cierpliwość.

Uzbroić się w cierpliwość... Łatwo powiedzieć! Palm Springs w Kalifornii to miejscowość, gdzie mieszkają Deborah Lee i jej mąż Marvin.

Mój rozmówca przedstawił się: Morris Malher, szef oddziału „Pacific Agency” w Palm Springs.

– Panie Benson – powiedział po zwyczajowym powitaniu – przeprowadziłem dochodzenie, którego zażądało moje biuro w Los Angeles i wysłałem pierwszy raport.

– Czy może mi pan podać jego treść?

– Naturalnie. Osoba, którą się pan interesuje, jest praktycznie bez grosza. Można nawet powiedzieć, że od kilku miesięcy żyje z pożyczek. Ale nie z tej przyczyny dzwonię do pana o tej godzinie.

– A więc dlaczego? – spytałem zaintrygowany.

– Osoba ta odbyła krótką podróż. Wyjechała we wtorek rano, a powróciła następnego dnia po południu.

– Czy pan wie, dokąd się udała?

– Tak, panie Benson. Do Springville!

## MARVIN

Przyznam, że zaniemówiłem. Ze zdziwieniem oglądałem biały aparat telefoniczny, który dostarczył mi tę niewiarygodną nowinę. Po tamtej stronie linii – cisza. Morris Malher zdawał sobie doskonale sprawę, że muszę mieć czas, aby oswoić się z tą wiadomością. Czekał więc cierpliwie, aż minie szok. Było mu wszystko jedno, koszt rozmowy telefonicznej zostanie włączony do mego rachunku. Wreszcie wyjąkałem:

– Czy jest pan zupełnie pewien?

– Jak najbardziej, panie Benson! Pan Lee opuścił Palm Springs samolotem. Był to lot numer 614 linii „United Air Lines” Chicago via Springville. Na listę pasażerów wpisał się jako Le Roy. Wolałem do pana zadzwonić, gdyż orientuję się, że otrzyma pan mój raport dopiero jutro albo pojutrze. A wiem, że pan Lee ma być dziś w



Springville. Nie mam na ten temat żadnych wątpliwości, tym bardziej że jego żona jest córką Arnolda Ebingera, którego śmierć wywołała tyle hałasu.

– I którego pogrzeb odbędzie się dziś po południu. Dziękuję panu, Malher. Zadziałał pan naprawdę szybko. Może pan liczyć na to, że powiem pańskim szefom, co o tym myślę.

Podziękował mi. Odłożyłem słuchawkę. Nalałem sobie kieliszek whisky i zacząłem rozmyślać. Szukać tych, którzy zyskują na morderstwie... To było zbyt proste, ale mogło okazać się prawdopodobne. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli chcę wygrać moją kartę, muszę działać przez zaskoczenie, i to natychmiast. Dziś albo nigdy! Powiedziałem dziś, bo była już trzecia rano.

Wróciłem do łóżka. Rozsądek kazał mi usnąć.

Budzik, nastawiony na ósmą rano, ledwie mnie zbudził.

\* \* \*

Rozpocząłem dzień od wizyty w redakcji „Citizen”. Stuart Renner był już na miejscu. Wiedziałem, że miał dyżur do drugiej nad ranem. Ten człowiek chyba w ogóle teraz nie sypia! Ale cóż, śmierć Arnolda Ebingera była dla miejscowego pisma tak wielkim smakołykiem, że nie należało się dziwić tej pełnej mobilizacji i spędzaniem w redakcji godzinom dodatkowym.

Rozmawialiśmy o ceremonii pogrzebowej. Oczekiwano, że zjawi się wiele ludzi. Gubernator stanu obiecał uczestniczyć w pogrzebie. Nie był to z jego strony, jak mi wytłumaczył mój przyjaciel, gest polityczny, ale pretekst, który wykorzystał, aby przybyć do miasta i osobiście zorientować się w sytuacji panującej w Springville. Niestety, sprawy nie układały się dobrze. Cała dzielnica po drugiej stronie

rzeki znajdowała się praktycznie w stanie oblężenia. W nocy przybyły posiłki gwardii narodowej. Ci chłopcy lubią bić Murzynów. Większość z nich nie ukrywa nawet, że to ich ulubione ćwiczenie.

Jeśli chodzi o rodzinę zmarłego, to uczestniczyć będzie w ceremonii w komplecie. Kuzyni i bratankowie Arnolda Ebingera przybyli już z Chicago. Marvin Lee, jego zięć, oczekiwany jest dziś rano. Jego żona, Deborah, przyleciała przedwczoraj, nazajutrz po śmierci ojca.

Po rozmowie z Rennerem udałem się do biura „United Air Lines”. Tam sprawdziłem informacje podane mi przez Malhera i stwierdziłem, że obywatel noszący nazwisko Le Roy rzeczywiście odleciał samolotem ze Springville do Los Angeles przez Palm Springs w środę. Podczas tej podróży Marvin Lee musiał się minąć ze swą żoną wysoko w powietrzu! Szlaki ich krzyżowały się. On udawała się do Springville, a on stąd powracał. Po spędzeniu prawie całej doby w naszym mieście, doby, w czasie której został uziemiony Arnold Ebinger.

Dokładnie przestudiowałem rozkład lotów „United Air Lines”. Zrobiłem kilka notatek. Potem pojechałem do biura, aby przejrzeć z Luizą bieżącą korespondencję, i znów znalazłem się na lotnisku. Pogrzeb miał się odbyć o godzinie piętnastej, Marvin Lee mógł przybyć lotem 532 o godzinie dwunastej piętnaście.

Nietrudno było to odgadnąć. Jedną z pierwszych osób, które spotkałem w poczekalni lotniska, była pani Lee oczekująca swego małżonka. Widziałem ją na ekranie telewizyjnym. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to ona – jej zdjęcie ukazało się w prasie. Nie sprawiała wrażenia córki, która rozpacza po swoim ukochanym ojcu.

Pani Lee, ubrana w bardzo gustowny, ciemnogrnatowy kostium,

który musiał kosztować pokaźną sumę, była niezwykle piękną kobietą. Kiedy głośniki zapowiedziały przylot samolotu z Los Angeles, skierowała się do hali dla przylatujących. Po chwili widziałem, jak witała męża. Nie trzeba być wielkim psychologiem, aby zrozumieć, dlaczego córka takiego osobnika, jakim był Ebinger, mogła zakochać się w takim ptaszku. Marvin Lee był typowym przedstawicielem odchodzącej epoki: wysoki i chudy, o pociągłej twarzy, otoczonej krótką, czarną brodą, która podkreślała zarówno delikatność rysów, jak i bladość cery. Zacierała też nieprzyjemną miękkość podbródka. Ciemne oczy rzucały przenikliwe spojrzenia spod gęstych brwi.

Deborah podeszła do niego, zanim zdążyłem interweniować. Uścisnęła go, a potem wzięła pod rękę i z niezwykłym ożywieniem zaczęła mu coś opowiadać. Widziałem, jak błyszczały jej oczy. Założyłem, że informowała go o testamencie ojca oraz o tym, jak piękne stanie się teraz ich życie.

Słuchał jej z widoczną nonszalancją, ale nie ulegało wątpliwości, że to się jej w nim właśnie podoba. Prawdopodobnie w ten sposób zwracał się do wszystkich kobiet.

Przyszła po niego sama. Trzymając się pod rękę skierowali się w stronę czerwonego samochodu, który był własnością Janice. Niestety, mogłem co najwyżej podążyć za nimi. Wiedziałem, że w tych warunkach będę mógł zaczepić obywatela Lee nie wcześniej niż wieczorem, względnie następnego dnia. Moje pojawienie się teraz w willi Ebingerów byłoby raczej źle widziane.

Jechałem więc za małym sportowym samochodem i... okazało się, że miałem trochę szczęścia. Deborah nie wiozła swego męża do ojcowskiej willi, lecz bezpośrednio do domu pogrzebowego, gdzie

orszak żałobny powinien się zebrać dopiero za jakieś trzy godziny. Rozumiałem, że to tylko zwykły konwenans skłonił zięcia, aby natychmiast po przyjeździe do Springville pochylił się nad trumną zmarłego.

Wszedłem do kaplicy, depcząc im niemal po piętach. Trumna stała pośrodku sali w kształcie rotundy, wśród masy kwiatów i wieńców. Jej wieko nie było jeszcze zamknięte, bowiem jak każe zwyczaj w Ameryce, biorący udział w uroczystościach pogrzebowych powinni obejrzeć dobrą pracę specjalistów od balsamowania oraz makijażu.

Ebinger spoczywał na swoim ostatnim łożu, znakomicie wykoszczonym, podobnie zresztą jak i za życia. Twarz mimo zgasłych, przykrytych okularami oczu miał twardą. W pomieszczeniu unosił się ten szczególny zapach wędnących kwiatów, palących się świec oraz kadzideł – smutny i słodki obraz śmierci, jedyny, jaki Amerykanie pragnęliby widzieć. Na prawo, przy wejściu, umieszczono na stoliku księgę kondolencyjną. Kilka osób stało obok. Rozstąpiły się one z szacunkiem, kiedy poznały Deborah i jej męża.

Marvin Lee i jego małżonka stanęli sami przed katafalkiem. Właściciel zakładu pogrzebowego, mały, łysy, ubrany na czarno człowieczek, zbliżył się do Deborah, aby uzgodnić z nią kilka szczegółów. Wykorzystałem ten moment i postanowiłem zagadnąć Marviną.

– Panie Lee – powiedziałem – nazywam się Benson. Richard Benson. Jestem prywatnym detektywem i bardzo chciałbym odbyć z panem krótką rozmowę.

Aż podskoczył, gdy zauważył, że jestem przedstawicielem kolorowej części społeczeństwa. Ton jego stał się natychmiast wyniosły.

– Nie znam pana! – odezwał się. – I nie mam nic do powiedzenia!

Naturalnie nie przejąłem się tym zbyt.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziałem. – Być może, pomyliłem nazwisko. Ale rozmowa z panem Le Royem również by mi bardzo odpowiadała. Pozwoli pan, że przejdziemy do małego salonu zarezerwowanego dla rodziny?...

\* \* \*

Mówiłem już, że miał bladą cerę, ale teraz odniosłem wrażenie, że stał się szary. Podążył za mną bez słowa dyskusji do małego saloniku, gdzie rodziny przejmują najbliższych. Starał się ciągle zachować twarz.

– Zgodziłem się z panem rozmawiać, bo pan mnie o to prosił – powiedział. – Ale powtarzam panu, że nie znam go i nie mam mu nic do powiedzenia.

– Obawiam się, że oba pańskie twierdzenia nie są zupełnie trafne. Zna mnie pan, ponieważ się przedstawiłem, i prawdopodobnie ma mi pan wiele do powiedzenia... Na przykład na temat pańskiej wizyty w Springville we wtorek i w środę.

Cios był trafny. Raczej upadł, niż usiadł w głębokim krześle.

– Czego pan chce? – spytał nagle brutalnie. – Próbuje mnie pan szantażować?

Teraz przyszyła kolej na moją ostrą replikę.

– Obawiam się, panie Lee – powiedziałem tonem oficjalnym – że użył pan niezbyt szczęśliwego określenia. Powiedziałem już panu, że jestem prywatnym detektywem. A oto moja licencja. Wie pan chyba dobrze, że otrzymanie jej uwarunkowane jest pewną... uczciwością.

– A więc proszę mi powiedzieć, dlaczego interesuje pana to, co robi mój mąż? Nie został pan zaangażowany przez żadnego z członków rodziny, jak mi wiadomo?

Odwrociłem się. Do małego salonu weszła, zamykając za sobą drzwi, Deborah Lee. Była uosobieniem nienawiści. Usiłowała potraktować mnie tak, jak niegdyś plantator traktował swojego niewolnika. Myślę, że na moim miejscu odczuwalibyście nieprzepartą ochotę stłuczenia jej. Jednak my, Murzyni, przez wiele pokoleń uczyliśmy się panowania nad sobą.

– Pani również się myli. Macocha pani przysłała do mnie po poradę, ale ponieważ tymczasem jej mąż zmarł, nie uważała za stosowne powierzyć mi kontynuowanie śledztwa.

– A więc – odezwał się z kolei Marvin Lee – cała ta sprawa już pana nie obchodzi!

– Myli się pan... – powiedziałem. Kiedy chcę, umiem także mówić tonem nie znoszącym sprzeciwu. A ten potomek zmęczonych arystokratów zaczął mi już działać na nerwy. – Nie wiem, czy pan czyta gazety. Ale anonimowy list „Czarnych Panter” i to wszystko, co na ten temat napisała prasa lokalna, spowodowało godną pożałowania reakcję. W dzielnicy murzyńskiej jest już jeden zabity, trzydziestu rannych oraz wrzenie, które rośnie z godziny na godzinę.

Deborah Lee wzruszyła ramionami, aby pokazać, że nic ją nie obchodzi, co dzieje się po drugiej stronie rzeki.

– Ja wiem, że pani niewiele sobie z tego robi – powiedziałem głosem drżącym od gniewu – ale najwyższe władze stanu niepokoją się tym, co się dzieje. Zatroskani są również wszyscy odpowiedzialni za czarną społeczność. Dlatego też zapewнили sobie moje usługi. Chcą, abym ujawnił wszystkie szczegóły dotyczące śmierci pani ojca

oraz znalazł morderców. Głosem pełnym pogardy spytała:

– Prawdopodobnie ani przez chwilę nie myśli pan, że mój ojciec został zabity przez „Czarne Pantery”?

Drodzy przyjaciele, miałem naprawdę już tego dosyć! Ogarnęła mnie wściekłość.

– Ani przez chwilę tak nie myślę, proszę pani – odpowiedziałem ze złośliwością. – „Czarne Pantery” nic nie zyskują ani na śmierci pani ojca, ani na dziedzictwie po nim! A to, niestety, odnosi się do niektórych członków jego rodziny.

Marvin Lee podniósł się z godnością.

– Co pan próbuje insynuować? – spytał głuchym głosem.

W tym miejscu, kupić nie kupić, zablefowałem:

– Ja nic nie insynuuję! Twierdzą tylko, że we wtorek o godzinie jedenastej trzydzieści na lotnisku w Palm Springs zajął pan miejsce w samolocie, do Springville przybył pan o godzinie szesnastej, w domu swego teścia był pan o godzinie, w której został on zamordowany, a do siebie do domu wyjechał pan następnego dnia! Czy w dalszym ciągu uważa pan, że to insynuacje?

Marvin Lee upadł na swoje krzesło. Deborah w zamyśleniu wyjęła z torebki papierosnicę i papierosa. Odruchowo wydobyłem swoją zapalniczkę, pochyliła się i z bliska spojrzała mi prosto w oczy.

– O co panu właściwie chodzi, panie Benson? – spytała.

Czułem, że tym razem muszę uzbroić się w cierpliwość, gdyż trzymam ręką za dobry koniec nitki.

– Proszę posłuchać, pani Lee – powiedziałem. – Ja niczego od nikogo nie chcę i nie robię niczego, co wykraczałoby poza wykonywanie

mego zawodu. Jest rzeczą oczywistą, że Arnold Ebinger nie został zamordowany przez „Czarne Pantery”, ale mogę dowieść tego tylko wówczas, kiedy dostarczę policji prawdziwego mordercę. To wszystko, proszę pani.

Palila papierosa w jakimś groźnym milczeniu. Spojrzenie, którym mnie obrzuciła, miało w sobie jad. Było tak samo niebezpieczne jak spojrzenie żmii.

– Czy pan próbuje dowieść, że mój mąż jest tym mordercą?

Ton jej głosu był lodowaty. A na dodatek naładowany wszystkimi groźbami, jakie biały burżua może zgromadzić przeciw Murzynowi. Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego pragnie pani imputować mi jakieś insynuacje? Staram się podsumować fakty. Powtarzam, że pan Lee znajdował się w domu pani ojca w momencie, gdy ten został pozbawiony przytomności i wrzucony do basenu. Wiem również, że pan Lee ma w tej chwili poważne trudności natury finansowej, a więc w konsekwencji mógł dokonać czynu, który nas interesuje.

Słowo wam daję, że wyglądało to zupełnie idiotycznie, ale w tej samej chwili romantyczny pseudobohater zaczął szlochać, chowając twarz w ręce. Jego żona zachowywała się w dalszym ciągu jak obrażona królowa. Cóż, popełniłem mały błąd psychologiczny, mówiąc że państwo Lee mają trudności finansowe. Już ich nie mieli. Teraz, gdy Deborah dziedziczy, sytuacja uległa zmianie. Zresztą był to drobny, nic nie znaczący błąd.

Czułem, że mój cios był trafny. Deborah stała pośrodku salonu pogrzebowego, nastroszona i blada jak śmierć.

– Ile pan chce? – zapytała. – Nie wiem, w jaki sposób odkrył



pan, że Marv był w Springville. Jestem jednak pewna, że ma pan zamiar spieniężyć tę informację. Ile?

Mój Boże, jak ona potrafi obrażać! Zdawałem sobie sprawę, że powinienem być jej wymierzyć ze dwa siarczyste policzki i opuścić pole walki, ale dwie sprawy powstrzymały mnie od tego kroku. Przede wszystkim czułem doskonale, że pani Lee – mimo swoich dumnych słów – jest bliska prostracji. Załamie się tak samo jak jej mąż, to nie ulega wątpliwości. Poza tym nie miałem zamiaru dzielić się całą tą historią z policją. Prowadziłem śledztwo na swój sposób. Naturalnie, chciałem współpracować z O'Malleyem, Trentem i prokuratorem okręgowym, ale postanowiłem dostarczyć im towar w bardzo ładnym opakowaniu, z różowym liścikiem oraz tak kompletny, aby nie podlegał żadnym dyskusjom. A w tym wypadku czas jeszcze nie nadszedł. Zdecydował blef, który przyniósł mi zwycięstwo, ale nie było to przecież jeszcze zwycięstwo pełne.

Zbliżała się godzina trzynasta. Przedsiębiorca pogrzebowy zajrzał do salonu, ale zobaczywszy łkającego Marvina, wycofał się na palcach, nie chcąc mącić synowskiego bólu.

– Cała tragedia polega na tym – odezwałem się do Deborah– iż nie jest pani w stanie zrozumieć, że chodzą jeszcze po szerokim świecie uczciwi ludzie. Jesteście tak zepsuci przez pieniądze, zarówno pani, jak i pani podobni, że nie potraficie sobie nic wyobrazić poza wszelkiego rodzaju świństwami! Przecież ja nie twierdzę, że pani mąż zabił swego teścia. Mówię tylko, że znajdował się w pobliżu willi wówczas, kiedy tamten został zamordowany. W tych warunkach może mieć wiele ciekawych informacji na temat zbrodni. Niczego innego od niego nie wymagam.

Moja uwaga dotarła do Marvinina Lee. Podniósł głowę. Oczy miał czerwone.

– Nie posiadam żadnej informacji, która mogłaby w czymkolwiek panu pomóc – powiedział. – Przysięgam!

– A mimo to był pan w domu swego teścia w godzinie zbrodni. Przyszedł pan, aby wyciągnąć teściowi z kieszeni trochę pieniędzy, prawda?

– Czy zawiadomi pan policję, kiedy panu wszystko powiem?

– Nie! Nic nie mów! – krzyknęła Deborah.

– Wszystko, co mogę panu obiecać, Marvin – oświadczyłem zdecydowanym tonem – to to, że nie będę próbował stwarzać panu zbędnych trudności. Proszę mi opowiedzieć całą historię. W przeciwieństwie do tego, co myśli pańska żona, twierdzą, że można mi ufać. Ma pan na to słowo Murzyna. Zapewniam pana, że jeśli to, co mi pan opowie, nie ma zasadniczej wartości dla śledztwa, które prowadzi porucznik Trent, zachowam wszystko dla siebie. Jeżeli dojdę do wniosku jednak, że są to informacje zasadnicze, będę musiał przekazać je policji. Jest to mój obywatelski obowiązek.

– A jeżeli mój mąż odmówi powiedzenia panu czegokolwiek?

– W tym wypadku nie będę miał naturalnie wyboru. Udam się wprost do wydziału zabójstw.

Marvin Lee wzruszył ramionami.

– Widzisz więc – powiedział do swojej żony ze smutnym uśmiechem – ja również nie mam żadnego wyboru.

\* \* \*

– Znajdowałem się, o czym pan się zresztą dowiedział, w bardzo trudnej sytuacji. Grożono mi nawet sprawą

sądową. Mogła uratować mnie tylko natychmiastowa pomoc. Pomyślałem o teściu. Nie chciałem do niego pisać, aby się z nim umówić, gdyż prawdopodobnie domyśliłby się, po co chcę się z nim zobaczyć. Zdecydowałem się pojechać do niego bez zapowiedzi.

– Czy pańska żona wiedziała o tym?

– Tak – odpowiedziała Deborah. – Marv pojechał za moją zgodą.

Skinąłem głową i znów zwróciłem się do niego:

– Zakupił pan bilet lotniczy na nazwisko Le Roy?

– Tak. Nie chciałem, aby moi wierzyciele dowiedzieli się o podróży. Mogliby pomyśleć, że uciekam. Na liniach krajowych nie wymaga się dowodów tożsamości, toteż wypisałem pierwsze nazwisko, które mi wpadło do głowy.

– Wylądował pan w Springville o szesnastej?

– Byłem w mieście około godziny szesnastej trzydzieści. Marzyłem o tym, aby spotkać mego teścia samego i porozmawiać z nim w cztery oczy. Nie chciałem widzieć się z nim w biurze, bo tam byli sekretarze, ani w domu, z powodu Janice. Udałem się na wszelki wypadek pod jego biuro, aby spotkać go, gdy będzie wychodził. Rzeczywiście, wyszedł około godziny siedemnastej piętnaście. Na nieszczęście towarzyszyli mu dwaj jego współpracownicy, którzy razem z nim wsiedli do samochodu. Pomyślałem sobie, że chce pewnie odwiedzić jedno ze swoich przedsiębiorstw, a potem wróci do siebie. Nie miałem samochodu, aby jechać za nim. Zatrzymałem taksówkę i kazałem się zawieźć do jego domu.

– O której godzinie pan tam przyjechał?

– Kilka minut przed osiemnastą.

– Co pan robił?

– Zatrzymałem się na ulicy w pobliżu bramy wjazdowej.

Przechadzałem się chwilę, wreszcie usiadłem na ławce. Jednym słowem, czekałem.

– Moment. Czekał pan przed bramą wejściową? Nie podszedł pan do bocznej furtki?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie byłem aż tak blisko z moim teściem – wytłumaczył. – Składaliśmy mu wizyty wyłącznie z okazji świąt. Nie wiedziałem, że taka furtka istnieje, a tym bardziej że on z niej korzysta. W oczekiwaniu na Arnolda kilka razy przechodziłem obok małej uliczki, która okrąża posiadłość, ale ani razu nie przyszło mi na myśl, aby nią pójść.

Byłem pewien, że ten idiota mówił mi prawdę.

– Ile czasu pozostawał pan przed wejściem? – spytałem.

– Cały wieczór. Wiele razy chciałem odejść, ale zawsze mówiłem sobie: nie rób tego! Mógł wrócić lada chwila, a przecież już tak długo czekałem. Po godzinie dwudziestej zobaczyłem wracającą swoim sportowym samochodem moją macochę, Janice. Potem dozorca, który jest również ogrodnikiem, zamknął bramę. Wówczas zrozumiałem, że Arnold Ebinger nie wróci tego wieczora do domu. Pomyślałem sobie, że może istnieją jakieś niesnaski między nim a Janice i że, być może, posiada on w mieście garsonierę. Poczekalem jeszcze około pół godziny. Było mi zimno. Postanowiłem odłożyć sprawę do następnego dnia i odwiedzić go w biurze. Wróciłem do miasta i wzięłem pokój w hotelu „Central” na nazwisko Le Roy. Może pan sprawdzić. Następnego dnia rano, kiedy chciałem udać się do biura Arnolda, usłyszałem przez radio...

– O czym pan wówczas pomyślał?

– Ogarnęła mnie panika. Doszedłem do tych samych wniosków

co i pan: znajdowałem się na miejscu i miałem powód... Wówczas wsiadłem do pierwszego samolotu, aby powrócić do domu. Czy pan mi wierzy, panie Benson?

Żona usiadła obok niego.

Minę miałem taką, jaką widuje się u zawodowych graczy w pokera. Chociaż byłem przekonany o jego prawdomówności, nie miałem ochoty powiedzieć mu, iż nie wątpię w jego słowa. Przecież gdyby zamordował Ebingera, nie czekałby z odjazdem do następnego dnia. Dowodem jego niewinności jest rozkład lotów: tego samego wieczora miał samolot do Los Angeles o dwudziestej piętnaście, a następny około północy. W tej sytuacji spędzenie nocy w Springville byłoby oczywistym szaleństwem.

– Czy jest pan pewien – zapytałem – że nie zauważył pan niczego anormalnego? Proszę mnie dobrze zrozumieć: w odległości stu metrów od pana zamordowano pańskiego teścia!

– Naprawdę nie mogę panu pomóc – odpowiedział. – Myślałem, że nikt mi nie zechce uwierzyć. Dlatego tak się denerwowałem.

– Panie Benson – wtrąciła Deborah – czy pan w dalszym ciągu ma zamiar udać się do wydziału zabójstw?

– O tym pomówimy później. W tej chwili są sprawy ważniejsze. Za niecałą godzinę rozpoczynają się uroczystości pogrzebowe...

## THOMAS

Jeżeli mam być szczery, to pogrzeb Arnol-  
da Ebingera był uroczystością niezwykle udaną. Napisano już całe  
tomy o wielkiej amerykańskiej sztuce chowania nieboszczyków i

trzeba przyznać, że jeśli chodzi o pogrzeby, to my tu, w Stanach, jesteście naprawdę mistrzami w ich organizacji. Nie wolno również zapominać, że przedsiębiorstwa pogrzebowe tworzą jedną z czołowych gałęzi przemysłu narodowego.

Nieboszczyka balsamuje się, robi mu się – niczym starej kokocie – makijaż. Także w sensie moralnym. Arnold Ebinger bynajmniej nie był świętym. Prowadził homerycką wojnę o swoje domy towarowe. Prawdopodobnie skończyłaby się ona niepowodzeniem, gdyby nie zaczął szukać dodatkowych dochodów w handlu lemoniadą i ułatwianiu życia amatorom przelotnych kontaktów erotycznych. Jak po nitce do kłębka doszedł do polityki, gdyż to był przecież najlepszy sposób kontrolowania tego „równoległego” sektora jego działalności.

Wydaje się wam, że to zetknięcie się Ebingera ze światkiem przestępczym choć trochę przyciemniło czystość jego obrazu w oczach współobywateli? Ależ skąd! Całe Springville jak jeden mąż zjawiało się na pogrzebie. Mer, senator, gubernator, szeryf i prokurator okręgowy. Nikogo nie zabrakło. Zjawiły się najciemniejsze elementy, naturalnie o białej skórze. Nic w tym zresztą dziwnego, „gniew ludu” został przecież umiejętnie podsycony przez radio, prasę i telewizję, które były święcie przekonane, że odpowiedzialność za tę wielką żałobę ponoszą „Czarne Pantery”. Każde przemówienie wygłoszone nad trumną wskazywało winnych i każde słowo było celne. Zaiste, nie bardzo przyjemnie było tego dnia obnosić po mieście swoją czarną skórę!

Mimo wszystko byłem na miejscu. Stałem niedaleko grupy oficerów policji. Celowo stanąłem w tłumie dziennikarzy, aby nie stracić ani jednego słowa z wygłaszanych przemówień. Po błogosławieństwie

pastora, zatrudnionego w przedsiębiorstwie pogrzebowym, po różnych protokolarnych ceregielach osób oficjalnych, co naturalnie trwało ponad godzinę, uformował się orszak limuzyn, aby towarzyszyć zmarłemu w jego ostatniej drodze. Obie kobiety znajdujące się na czele orszaku – wdowa Janice, oraz córka, Deborah – trzymały się za ręce, jak dwie kochające się i wzajemnie podtrzymujące się na duchu w momencie wielkiego cierpienia siostry. Zastanawiałem się, o czym one właściwie mogły w takiej chwili myśleć. Deborah nie musiała posypywać głowy popiołem! Była warta pół miliona dolarów. Ale być może, naturalny sentyment córki do ojca sprawił, że od czasu do czasu w jej oczach pokazywały się łzy.

O wiele gorzej przedstawiała się sytuacja Janice. Zgoda, że zakład ubezpieczeniowy wypłaci jej sto tysięcy dolarów. Ale dla takiej dziewczyny jak ona, przyzwyczajonej do życia na szerokiej stopie, co zapewniał jej Ebinger, suma ta nie była zapewne tym, o czym marzyła. Zastanawiałem się, czy znała testament swego męża, oraz nad tym, jakie uczucia żywiła dla swojej pasierbicy. Widziałem, jak wsiadły do limuzyny, prześliczne w swoich czarnych toaletach. Ale miał szczęście kochany Arnoldzik!...

Marvin Lee jak prawdziwy arystokrata, szanujący ból swoich najbliższych, zamknął za nimi drzwi i zajął miejsce obok kierowcy. Pomyślałem również o nim. Jeśliby nawet planował uśmiercenie Arnolda Ebingera, musiałby mieć pewność, że jego podróż pozostanie dla wszystkich całkowitą tajemnicą, a ogłupieni przez historię z „Czarnymi Panterami” chłopcy z wydziału zabójstw nigdy nie zainteresują się życiem Deborah i jej męża.

Przypuśćmy, że Lee mnie oszukał, że rzeczywiście zabił swojego

teścia i pozostał w Springville na noc z jakiegoś bliżej nie znanego mi powodu. Musiałby wobec tego brać udział w wysyłce anonimu, który przyniosła mi Janice. To zupełnie jasne! Miałem więc nowe zajęcie na tapecie! Należało pójść śladem maszyny do pisania i ewentualnie dopiero wówczas wyłączyć ze sprawy Marviną Lee.

Pozostałem moźnych Springville w chwili, gdy wsiadali do swoich pojazdów, by zająć miejsce w orszaku, i powróciłem do biura.

Tego wieczora zatrzymałem Luizę do godziny dziewiętnastej. Czułem, że prowadzone przeze mnie śledztwo zaczęło ją pasjonować. Kiedy się z nią żegnałem, poleciłem, aby załatwiła mi bilet do Palm Springs. Miałem zamiar połączyć wokół spraw Marviną Lee i jego pięknej małżonki.

Byłem już w drzwiach, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Był to Stuart Renner.

– Dick! – odezwał się podnieconym głosem. – Szeryf O'Malley wezwał dziennikarzy na godzinę dwudziestą. Ma być konferencja prasowa. Zdaje się, że dobrze zrobisz, jeśli wstąpisz po mnie. To może cię zainteresować.

– Czy wiesz, co będzie tematem konferencji?

– Nie. Tak się jednak składa, że mam kilka pomysłów. Przyjeżdżaj!

\* \* \*

Na dziesięć minut przed konferencją prasową znaleźliśmy się wszyscy w małej „paradnej” salce centralnego komisariatu. Muszę wam wytłumaczyć, że te „parady” – to defilady podejrzanych, organizowane przez policjantów w celu identyfikacji. Ustawia się faceta między anonimowymi osobnikami i obywatel,



któremu ukradziono portfel, czy dziewczyna, którą poturbowano gdzieś za miastem, lub też młody człowiek, któremu zaproponowano po zawyżonej cenie porcję heroiny czy marihuany, przechodzą, aby wskazać winnego. Sala wyposażona jest w baterię reflektorów umieszczonych przed niewielką estradą. Z tego względu nadaje się wyjątkowo do składania komunikatów dla prasy, której przedstawiciele tym razem zjawili się w komplecie.

Punktualnie o godzinie dwudziestej szeryf Thomas O'Malley wpłynął na salę, wycierając zroszone potem czoło. Estrada zatrzeszczała pod jego ciężarem. Towarzyszył mu porucznik Trent oraz dwóch detektywów z wydziału zabójstw. Przygotowano dla nich krzesła.

Szeryf O'Malley zaatakował prosto z mostu, ale z bardzo kwaśną miną. Sprawiał wrażenie człowieka, który wprawdzie wolałby znajdować się gdzie indziej, ale skoro już musi przez to przejść, woli jak najszybciej pozbyć się całej historii.

– Panie i panowie! – oznajmił. – Pozwoliłem sobie was zaprosić w dzień pogrzebu naszego czcigodnego współobywatela, Arnolda Ebingera, aby zakomunikować, że wydział zabójstw dokonał po południu dwóch aresztowań, a aresztowani zostali doprowadzeni do prokuratora w celu oskarżenia ich o dokonanie morderstwa z premedytacją!

Na sali zapanowało ogólne poruszenie. Dziewczyna reprezentująca jedną z agencji prasowych zaczęła przeskakiwać przez krzesła, aby jak najszybciej dotrzeć do telefonu i przekazać tę informację swojemu szefowi. Narobiła wrzasku, gdyż ktoś próbował ją zatrzymać. Trzaskały aparaty fotograficzne. Zaszumiały kamery filmowe i telewizyjne.

Trent starał się uspokoić tłum, aby umożliwić swemu szefowi

kontynuowanie przemówienia. Spostrzegł mnie, kiedy wchodził na estradę. Nie zauważyłem jednak na jego twarzy żadnej reakcji. Pochyliłem się do ucha Stuarta Rennera i podpowiedziałem mu pytanie, na które chciałem uzyskać odpowiedź.

– Szeryfie – krzyknął ze swego miejsca – czy obaj podejrzani są członkami ruchu „Czarnych Panter”?

O'Malley był zadowolony z tego pytania. Odpowiedź na nie umożliwiła mu osiągnięcie niebywałego efektu.

– Nie – odpowiedział. – To nie są kolorowi. To dwoje młodych ludzi. Białych. Chłopiec i dziewczyna.

Moi drodzy przyjaciele... bardzo chciałbym, abyście mogli przy tym asystować. Odnosiło się wrażenie, że lada chwila sala wybuchnie, że rozleci się pod wpływem potężnej eksplozji. Dziennikarze dosłownie bili się o to, aby dotrzeć do telefonu. Reporterzy radiowi darli się do swych mikrofonów.

Wreszcie wszystko uspokoiło się i O'Malley z napuszczoną powagą kontynuował:

– Świadek, który zjawił się w ostatniej chwili, pozwolił porucznikowi Trentowi i jego ludziom zidentyfikować oboje podejrzanych. Czatowali oni na swoją ofiarę przez trzy dni. We wtorek pan Ebinger wrócił do domu korzystając z bocznej furtki. Nie przepuścili takiej okazji... Resztę znacie.

– Ale to przecież niemożliwe, to nie do wiary! – zawołał specjalny wysłannik wielkiego dziennika z Chicago. – Kim są ci młodzi ludzie? Czy to hippisi? Czy mieli powód do dokonania takiego czynu? Czy jest to mord rytualny? Czy seksualny?

Nie zdziwiła mnie jego dociekliwość. Wiecie, jak to bywa – specjalny wysłannik, który wsiądzie wieczorem w samolot, absolutnie nie obawia się zadawania pytań, które mogą wywołać burzę.

O'Malley podniósł obie ręce niby indiański czarownik.

– Rozumiem waszą niecierpliwość – powiedział. – Jeżeli zachowacie chwilę ciszy, porucznik Trent opowie wam o aresztowanych i okolicznościach aresztowania.

– To bardzo proste – stwierdził szef wydziału zabójstw. – W czasie skrupulatnego śledztwa, które prowadziliśmy, Murzyn, ogrodnik z sąsiedniej posiadłości, zawiadomił nas, że widział tych dwoje młodych ludzi. Czekali oni na Ebingera w sobotę i poniedziałek obok bocznej furtki. Mógł zaobserwować ich zachowanie, mimo że ukrywali się w krzakach. W sobotę i poniedziałek zrezygnowali ze swojego planu, gdyż Arnold Ebinger wracał do domu w towarzystwie. Ale wiemy, że we wtorek wysiadł w pobliżu bocznej furtki z samochodu prowadzonego przez jednego ze swoich współpracowników. Oszczędzę wam olbrzymiej ilości informacji, które musielibyśmy zebrać, aby odnaleźć tych młodych ludzi. Ich rysopisy podał nam ogrodnik. Chodzi tu o mechanika samochodowego, liczącego sobie dziewiętnaście lat, niejakiego Michaela Dolana, i jego przyjaciółkę, Debbie Simons, zaledwie siedemnastoletnią dziewczynę. Przyznali się oni do tego, że czekali na Arnolda Ebingera przez trzy dni przed jego domem.

– Czy przyznali się do morderstwa? – spytała reporterka, która właśnie wróciła od telefonu.

Trent pozwolił odpowiedzieć O'Malleyowi. Po krótkim wahaniu oświadczył on:

– Nie, ale prawdopodobnie przyznają się. Muszę wam powiedzieć, że ci młodzi ludzie mieli powód do popełnienia takiego czynu. Debbie pracowała w jednym z domów towarowych należących do Ebingera. Została zwolniona za niegrzeczne odnoszenie się do

klientów. W towarzystwie swego narzeczonego chciała na ten temat porozmawiać z Ebingerem. Łatwo sobie wyobrazić, że we wtorek wieczorem, kiedy go spotkali, doszło między nimi do wymiany zdań, która zakończyła się tak fatalnie. Michael Dolan jest człowiekiem gwałtownym. Był już karany za bójki i ciężkie pobicie. We wtorek uderzył Ebingera, a następnie myśląc, że go zabił, razem ze swoją narzeczoną zepchnął go do basenu.

Wybuchła nowa burza komentarzy. Trzeba przyznać, że chłopcy z prasy rzadko mieli taką gratkę.

– Myślę, że pan nam ich pokaże – odezwał się głośno Stuart Renner.

– Naturalnie – odpowiedział gruby szeryf. – Ale nie dziś wieczorem, gdyż w tej chwili trwa jeszcze przesłuchanie. Właściwie zamierzaliśmy podać wam tę nowinę dopiero jutro. Biorąc jednak pod uwagę sytuację, jaka zaistniała w mieście, uważaliśmy za słuszną jak najszybciej powiadomić społeczeństwo Springville i całych Stanów Zjednoczonych o tym, że nasz współobywatel, Arnold Ebinger, nie został zamordowany przez Murzynów.

No cóż... Nie można wyjaśnić sprawy z większą szczerością albo raczej... prostotą. Zobaczyłem, że Trent spojrzał na mnie uważnie. Interesowała go moja reakcja. Być może myślał, że wygłoszę coś w rodzaju: doskonale, przyjaciele, wszystko jest dobre, co się dobrze kończy! Ebinger został zdmuchnięty przez dwoje białych rzeźmieszków, którzy byli na tyle bezczelni, że wysłali list anonimowy, aby przerzucić całą winę na Murzynów! Ale na szczęście policja jest czujna, a sprawiedliwość nie jest ślepa! W naszym pięknym kraju, moi bracia, nie ma różnic rasowych w obliczu kary.

Ciekawe, co wy o tym myślicie? Ja uważam, że takie tłumaczenie jest prawdziwą bombą!

Sala powoli opustoszała. Gruby szeryf wycofał się wraz ze swoim orszakiem. Stuart Renner spieszył do redakcji; mój stary przyjaciel był wyraźnie zadowolony.

– Dick – odezwał się do mnie. – Miałeś rację! Ta historia z „Czarnymi Panterami” była naprawdę dęta. Janice Ebinger przeraziła się. Zresztą doskonale ją rozumiem. Ale to właśnie dołało oliwy do ognia. Gdyby zachowała ten przeklęty list dla siebie, z pewnością nie mielibyśmy owych trzech dni niepokoju, które mogły się jeszcze gorzej skończyć!

Powiedział mi to w drodze do redakcji, która mieściła się w pobliżu komisariatu. Rozumiem go doskonale. Nowina o aresztowaniu dwojga domniemanych morderców o białej skórze powinna zmniejszyć napięcie po tamtej stronie rzeki. Ja jednak nie byłem tego zupełnie pewien.

– Być może, że i w taki sposób można patrzeć na tę całą sprawę – powiedziałem. – Ale to nie Janice należy winić, że nie zachowała tajemnicy listu. Wydaje mi się, że postąpiła słusznie, oddając go policji. To O'Malley i Trent powinni prowadzić śledztwo, nie informując o niczym nikogo. Stwierdzono zabójstwo ważnej osobistości i od razu, już w pierwszej chwili, znaleziono kozła ofiarnego: „Czarne Pantery”. Nic dziwnego, że potem sprawy potoczyły się źle. Czarnych ogarnął gniew. Rozpoczęło się wrzenie w mieście, a później trzy dni niepokoju z interwencją gwardii narodowej itd. Wreszcie policja wyciąga ze swego kapelusza drugą zmianę winnych, dla odmiiany autentycznych białych, aby sprawę definitywnie załatwić.

– Zgadza się – przytaknął Renner – że O'Malley nie wykazał zbyt wielkiego sprytu w tej sprawie. Najważniejsze jednak, że wszystko się jakoś układa.

– I właśnie, mój drogi – przerwałem – to mnie denerwuje. Zdziwiający zbieg okoliczności. Muszę mu się bliżej przyjrzeć.

Stuart Renner wzruszył ramionami i wszedł razem ze mną do gmachu redakcji.

– Nie podniecaj się – zauważył spokojnie. – Aby mieć dostęp do źródeł policyjnych, musisz mieć klienta. A jestem pewien, że parafia Świętych Dnia Ostatniego nie jest już zainteresowana, aby ci w dalszym ciągu płacić.

Zatrzymałem się jak wryty. Zupełnie nie pomyślałem o takim aspekcie sprawy. Zastanowiłem się chwilę i powiedziałem:

– Tak myślisz? No cóż, zobaczymy. Pójdę z tobą do twego gabinetu i jeśli pozwolisz, zadzwonię od ciebie.

\* \* \*

Straciłem wiele czasu, aby znaleźć Linusa Bordena. Z początku natrafiłem na wikarego, który mi powiedział, że pastor jest u siebie w domu. Natomiast w domu jakaś kobieta przysięgała mi, że jest jeszcze w kościele. Zadzwoniłem więc jeszcze raz do parafii. Tym razem telefon był zajęty. Przeczekałem kilka minut, podczas których Stuart pisał na maszynie z szybkością pospiesznego pociągu. Wreszcie udało mi się połączyć z pastorem.

– Ach, to pan, panie Benson! – odezwał się do mnie. – Właśnie próbowałem pana odnaleźć. Dzwoniłem do pana, ale nie zastałem pana w biurze.

Czułem coś niedobrego.

– A co mi pan chciał powiedzieć, pastorze? – spytałem.

– No właśnie, może nie orientuje się pan jeszcze, ale słyszałem o tym przez radio. Mordercy Arnolda Ebingera zostali aresztowani...

– Tak? – powiedziałem jakby od niechcenia. – I co?

Pytanie moje spowodowało, że zamilkł. Czulem, że się denerwuje.

– Ale... – wymamrotał. – Wydaje mi się, że oznacza to, iż pańskie zadanie zostało wykonane... że pańska misja jest zakończona... Naturalnie, wszelkie koszty i honoraria zostaną uregulowane! Proszę przysłać rachunek...

– Pastorze – powiedziałem spokojnym tonem – czy wydaje się panu, że moja misja została zakończona, ponieważ „Czarne Pantery” nie wchodzi już w rachubę?

Poczułem instynktownie, że zachnął się. Pytanie dotknęło go.

– Nie bardzo podoba mi się ta uwaga, panie Benson – zauważył oschłym tonem. – Był pan zaangażowany przez parafię Świętych Dnia Ostatniego, aby odnaleźć morderców Arnolda Ebingera. Mordercy ci zostali ujęci przez policję i w ten sposób uważam, że pańska misja nie ma już właściwie żadnego sensu.

– Chce pan przez to powiedzieć, pastorze, że fakt, iż wspomniani mordercy są przedstawicielami białej rasy, bardzo pana urządza, prawda?

Prawdopodobnie zaapelował do swojej chrześcijańskiej dobroci i do ewangelicznej cierpliwości, bo odpowiedział słodko, choć stanowczo:

– Nieprzeniknione są wyroki Boga, panie Benson. Musi pan wiedzieć, że tak samo jak wszyscy kolorowi w tym mieście cieszą się, iż mordu nie dokonał nikt z naszych. I nic na to nie poradzę.

– Zgoda, pastorze! – odpowiedziałem. – Zapomina pan jednak o tym, że zaangażował mnie pan, abym odkrył prawdę...

Celowo cedziłem słowo po słowie. Zapanowała cisza. Poczułem, że Borden zaniepokoił się.

– Słusznie, ma pan rację, panie Benson – powiedział wreszcie. – A czy pan nie uważa, że pańska misja została zakończona?

– Nic jeszcze nie wiem. Muszę to sprawdzić. W tej chwili wiem tyle samo co i pan. Znam tylko pierwsze oświadczenie szeryfa, który przecież popełnił kapitalne głupstwo, oskarżając „Czarne Pantery” na podstawie zwykłego anonimu.

Znów zapanowała długa cisza. Wreszcie po tamtej stronie drutu rozległo się ciężkie westchnienie.

– Rozumiem, co pan chce powiedzieć, panie Benson – zaczął powoli Borden. – Ale proszę zrozumieć, że my nie mamy powodu, aby wątpić w słowa szefa policji. Jeśli chodzi o nas, jesteśmy usatysfakcjonowani i otrzymałem polecenie parafii, aby zakończyć naszą umowę. Naturalnie, prowizja w wysokości pięciuset dolarów, którą panu obiecaliśmy, jest jak najbardziej ważna.

Przerwałem mu brutalnie.

– Zadziwia mnie pan, pastorze! – powiedziałem głośno. – Miał pan tak samo mało powodów, aby nie wierzyć słowom szeryfa czterdzieści osiem godzin temu, a mimo to przyszedł pan do mnie i zażądał, żebym podważył tezę O'Malleya. Teraz dziwnym zbiegiem okoliczności każde jego słowo jest dla pana tak święte i niepodważalne jak słowa Ewangelii. To zbyt proste! Ja nie jestem duchownym; i dlatego proszę nie zapominać, że zaangażował mnie pan w celu odkrycia prawdy dotyczącej morderstwa Arnolda Ebingera. Będę uważał moją misję za zakończoną wówczas, kiedy przekonam się, że sprawiedliwość tego kraju rzeczywiście wyjaśniła tę sprawę. Może pan to przekazać swoim owieczkom i dodać, że aż do tej chwili kontrakt,



honoraria oraz koszty są ciągle otwarte i ciągle się liczą!

Linus Borden przeraził się:

– Ależ, panie Benson, po co podważać konkluzje policji? Wyobraźmy sobie, że pan odnajdzie...

– Murzyna w miejsce dwóch białych, prawda? To chce pan chyba powiedzieć? Pastorze, przecież pragnie pan prawdy! I będzie pan miał tę prawdę, bez względu na to, czy będzie się ona panu podobała czy też nie!

Gwałtownym ruchem położyłem słuchawkę na widełki. Nie znoszę nieuczciwości. Wyciągnąłem paczkę papierosów. Stuart Renner podniósł oczy znad maszyny do pisania i z zachwytem zauważył:

– Ależ, mój drogi... masz niebywały dar zjednywania sobie przyjaciół! Jeśli w przyszłości otworzę biuro reklamowe, wierząc mi, że pomyślę o tobie!

Wzruszyłem ramionami i wyszedłem.

## SAM

Możecie mi wierzyć albo nie, ale w ciągu dwóch dni, które nastąpiły, młodzi ludzie ciągle jeszcze nie przyznawali się do winy, mimo – że jak doszły mnie słuchy – O'Malley, Trent i ich pomocnicy napocili się setnie. Proszę sobie wyobrazić, mieli w swoich rękach dwóch winowajców! Mieli w rękę złoto bardziej błyszczące od „Czarnych Panter”! Dlaczego? Ponieważ w wyniku aresztowania Debbie Simons i Michaela Dolana prawy brzeg Springville wyraźnie się uspokoił. Z chwilą gdy zamordowanie

Arnolda Ebingera przechodziło do historii porachunków białych ludzi, moich kolorowych braci nie obchodziło to już zupełnie.

Naturalnie, to jest jeden z punktów widzenia. Jeśli ci dobrzy ludzie czują się przede wszystkim Murzynami, a później dopiero Amerykanami, możecie nad nimi po prostu ubolewać. „Wszystko jest, jak jest” – jak powiedział pewien Europejczyk, który w swoim czasie narobił wiele szumu.

Ja natomiast pracowałem jak dziki. Chcecie mnie spytać dlaczego? Sam sobie zadawałem to pytanie. Ta para młodych ludzi, których nie znałem i których los absolutnie mnie nie obchodził... A jednak!

Uczepiłem się całej sprawy przede wszystkim z powodu tajemniczego jegomościa, z którym spotkałem się w kościele Świętych Dnia Ostatniego. Nienawidzę ludzi przybierających pozę tajemniczości. Prócz tego nie bardzo podobało mi się, że zostałem potraktowany przez kongregację jak zwykły służący, którego można zwolnić pod byle pretekstem.

Dodajcie do tego wszystkiego jeszcze instynkt. Tych dwoje szczeniaków spadło jak z nieba, aby załatwić sprawy mera Riana i szeryfa O'Malleya, którzy zaczęli budzić już zbyt wielkie zainteresowanie gubernatora i władz federalnych. A przecież orientujecie się doskonale, że tajemnica wszelkich osiągnięć w polityce prowincjonalnej leży w tym, aby nie powstawało zbyt wiele huraganów, które mogłyby za wysoko podnieść falę.

Wreszcie ostatni ciężarek, który przechylił szalę wagi, to fakt, że zatrzymani ciągle nie przyznawali się do winy. Miałem już zaszczyt zakomunikować państwu, że służyłem trzy lata w policji w Filadelfii. Przyznanie się winnych jest celem wszystkich policjantów, gdyż

w myśl prawa jest ono najważniejszym dowodem; nie ma innego tak przekonywującego, jak właśnie ten. Każdy dobry policjant robi wszystko, aby to osiągnąć. A kiedy mówię, że robi wszystko... Jeśli Michael Dolan i Debbie Simons nie przyznali się do winy po czterdziestu ośmiu godzinach... rozmowy z porucznikiem Luciušem Trentem, to znaczy, że albo są uparci jak osły... albo też nie są winni.

Taki był tok mojego rozumowania i dlatego ruszałem się jak w ukropie, niezupełnie licząc się ze zdaniem Luizy, która mając nadzieję, że w końcu wpadnę w pułapkę małżeńską, wołałaby, abym poświęcał się pracom bardziej rentownym.

Zbadać przeszłość dwójga oskarżonych jest dużo łatwiej, niż pakować palce w sprawę rodziny Ebinger, Lee i spółki.

Dom towarowy w Leavenworth – to ten, w którym pracowała w dziale perfumerii Debbie Simons. Widziałem wczoraj jej kierowniczkę. Nazywa się Hatty Mayer. To duża, tęga kobieta około pięćdziesiątki. Jej przodkowie musieli być Niemcami. Ona sama uważa się niemal za Helenę Rubinstein. Być może dlatego, że sprzedaje tanie dezodoranty w Prisunicu.

– Mała Debbie – powiedziała mi – nie jest złą dziewczyną. Jest taka jak wszystkie; brak jej znajomości *savoir vivre*'u i... pieniędzy. Zaczęła kraść: to flakonik perfum, to pudełko pudru, które następnie sprzedawała po niższej cenie koleżankom.

– Czy te... przywłaszczenia stanowiły w sumie pokaźną kwotę? – spytałem spokojnie.

Pani Mayer wzruszyła ramionami, których nie powstydziliby się zapaśnik.

– Maksimum ze sto dolarów – odpowiedziała. – Rozumie pan chyba, że nie mogłam zmyć jej tylko głowy i zatuszować całość

sprawy. Odpowiadam za ten dział i zależy mi na posadzie. W moim wieku niełatwo otrzymać pracę. Chyba że... – dodała przeciągając ręką po włosach – że zostałabym call girl. Jednym słowem, byłam zmuszona zameldować o tym dyrekcji.

– Czy dyrekcja złożyła skargę?

– Ależ po co! – zawołała pani Mayer. – Gra niewarta była świeczki. Po prostu zwolniono ją. Powiem panu, że nie sprawiło mi to przyjemności. Mała Debbie była najprzyzwoitszą ze wszystkich moich młodych sprzedawczyń.

Podziękowałem grzecznie kierownicze działu i skierowałem swojego forda na wschód, w rejon, gdzie mieszczą się warsztaty i niewielkie fabryczki. Znalazłem wreszcie szopę, która stanowiła mieszkanie rodziny Simonsów. Kiedy zobaczyłem barak, doszedłem do wniosku, że w Stanach lepiej być względnie sytuowanym Murzynem niż biednym białym. Nie była to dzielnica nędzy, ale pod każdym względem bardzo ją przypominała. Pełno tu rachitycznych dzieciaków i pseudokowbojów na motocyklach, niechętnie patrzących na Murzynów, którzy są lepiej odziani niż mieszkańcy tego rejonu miasta.

Dom młodego Dolana był taki, jak i cała dzielnica. Od domu jego młodej przyjaciółki dzieliły go dwie ulice, wyboiste i usłane rozmaitymi odpadkami.

Do stacji obsługi, w której pracował Dolan, dojechałem szosą wiodącą do Lincoln. Poczekalem chwilę, aż właściciel, gruby, wyblakły facet, wciśnięty w biały poplamiony kombinezon, skończy wymianę niezbyt delikatnych dowcipów z kierowcami ciężarówek. Nim zaczął rozmawiać z Murzynem, splunął na wszelki wypadek ostentacyjnie. Mimo to nie odmówił mi udzielenia informacji.

– Mike? No cóż... to porządny chłopak. Pracował tutaj jakieś dwa lata. Nalewał benzynę, zmieniał olej i zaczynał już zabierać się do silnika. Nie był bardziej leniwy niż inni. Zastanawiam się, co go zmusiło do tego, aby stuknąć starego Ebingera. Ale z tymi młodymi nigdy nic nie wiadomo. Wszyscy są trochę zwariowani. Niekiedy wystarczy im wypalić papieros z marihuaną...

Zaciekawiło mnie to.

– A więc chce pan mi powiedzieć, że zażywał narkotyki?

– Ależ nie! – wycofał się natychmiast. – Ja naprawdę nic nie wiem. Zawsze widziałem, że pali camele. Powiedziałem tylko tak, generalnie, o młodych ludziach...

– No, tak, naturalnie! A dziewczyna? Czy ją pan zna?

– Widziałem ją dwa razy, wówczas kiedy ją tu przyprowadził. Mike kupił sobie samochód. To ja umożliwiłem mu tę okazję: stary pontiac, ale bardzo dobrze jeszcze chodził, a kosztował dosłownie grosze. Był szczęśliwy, że mógł nim obwozić swoją dziewczynę. Wszyscy młodzi są tacy sami!

– A jak ona wyglądała, ta dziewczyna? – spytałem.

– Bardzo ładna i doskonale zbudowana. Byłem zdziwiony, kiedy dowiedziałem się dziś z prasy, że ma zaledwie siedemnaście lat. Dawałem jej co najmniej dwadzieścia. W każdym razie była to jego stała dziewczyna; widać to było po ich zachowaniu. Sprawiali wrażenie pary małżeńskiej.

– Czy zdziwiło pana, że oskarżono ich o morderstwo?

Jegomość zmiękł od razu.

– Wie pan... nie uwierzyłbym... ale jak już panu mówiłem, nigdy nie wiadomo, co ci młodzi mogą zdziałać...

Byłem zawiedziony opuszczając tłściocha.

\* \* \*

Świadkiem z ostatniej chwili był Samuel Briggs, Murzyn liczący sobie sześćdziesiąt lat. Włosy miał zupełnie siwe i mocno skręcone, nos płaski, bardzo afrykański. Przewracał ze strachu oczyma, jakby obawiał się gniewu bożego.

Znalazłem go za gęstym zagajnikiem rododendronów, w ogrodzie posesji będącej jakby kopią posiadłości Ebingera. Główne wyjście z niej prowadziło na ulicę Achison, a boczne – na Brendan Way. Ojciec Sam, pielęgnując swoje kwiaty, mógł od czasu do czasu rzucić okiem na boczną bramę ogrodu Ebingera. I robił to.

Poszło mi z nim o wiele prościej niż z właścicielem stacji obsługi samochodów. No, cóż... dwóm Murzynom łatwiej się jest dogadać...

– Proszę mi powiedzieć, co działo się we wtorek, w dniu morderstwa. – Pytanie to poprzedziłem dłuższą rozmową na różne tematy, aby wzbudzić w nim zaufanie.

Staruszek, który wyglądał, jakby go żywcem wyjęto z chaty Wuja Toma, położył sekator, zatopił ręce w wielkich kieszeniach kombinezonu i, dając wam słowo, z siedem razy obrócił językiem w ustach, nim ostrożnie wypowiedział słowo.

– We wtorek? Nic nie widziałem.

– Uwaga, dziadku! – przerwałem mu. – Spróbujmy się dogadać. Co pan robił we wtorek między osiemną a osiemną trzydzieści?

Przerażony, zrobił wielkie oczy, jakbym oskarżał go o morderstwo. Przełknął ślinę i jednym tchem powiedział:

– W garażu, po drugiej stronie domu, reperowałem maszynę do strzyżenia trawy.

Teraz ja zrobiłem wielkie oczy, jakbym się zastanawiał, kto tu jest tym obrzydliwym kłamcą.

– A więc co to za historia z tym świadectwem z ostatniej chwili?

Staruszek poczuł się mocno urażony. Nie chciał, by uważano go za „lewego” świadka.

– To żadna historia, proszę pana! – odezwał się z oburzeniem w głosie. – Ja naprawdę widziałem tych młodych ludzi.

– Ale chyba nie we wtorek?

– Nie, nie widziałem ich we wtorek – przyznał. – Ale widziałem ich w sobotę oraz w poniedziałek. Czatowali razem przy wejściu do posiadłości Ebingera.

Teraz już nic nie rozumiałem. Przyznam się, że zaczęła ogarniać mnie wściekłość.

– A więc – powiedziałem – co pana skłoniło, aby pójść i opowiedzieć policji o tej całej historii, jeżeli nie miała ona żadnego bezpośredniego związku z morderstwem?

Zauważyłem, że stary Samuel poczuł się nieswojo. Miał świadomość, że oskarżę go o to, iż jest głupim donosicielem, a może nawet jeszcze czymś gorszym!

– Ja, proszę pana? Ależ ja przecież nigdzie nie poszedłem, aby to opowiedzieć! To ten policjant, który prowadzi śledztwo! Wysoki, chudy blondyn...

Rozpoznałem portret porucznika Luciusa Trenta, ale nic mi to nie tłumaczyło.

– Zgoda, dziadku, ale jeżeli nie opowiadał pan porucznikowi Trentowi o tej dwójce młodych ludzi, to skąd on o nich wie? Nie mógł ich przecież sam sobie wymyślić...

– Ten porucznik Trent, jak go pan nazywa, przeprowadził dokładne śledztwo. Wypytywał wszystkich ludzi z okolicy. Zarówno właścicieli, jak i służbę domową. Rozmawiał ze wszystkimi i wszystkich pytał. Mnie zapytał, czy nie widziałem we wtorek około godziny osiemnastej dwojga młodych ludzi: chłopca i dziewczyny czekających na pana Ebingera. Spytał mnie więc o to, co usłyszał od innych świadków. Naturalnie odpowiedziałem mu, że nie widziałem pary młodych we wtorek, gdyż rozbierałem w garażu maszynę do strzyżenia trawy, ale widziałem ich w sobotę i w poniedziałek.

Czułem, że tracę panowanie nad sobą. Z trudem powstrzymałem się, aby nie zaaplikować kilku mocniejszych policzków temu starcowi Zacisnąłem pięści. Wiedziałem, że jeśli okażę złość, nic z niego nie wyciągnę.

– A więc – spytałem – co pan dokładnie widział w sobotę i w poniedziałek?

– W sobotę czyściłem rododendrony, właśnie te, a w poniedziałek okopywałem cyprysy kalifornijskie. Trzeba to robić o tej porze roku...

– Wiem, wiem – odpowiedziałem mu najspokojniej, jak tylko umiałem. – Ale co właściwie robiło tych dwoje młodych ludzi w tym samym czasie?

– W sobotę czekali troszkę dalej, na rogu Brendan Way i Achison. Przypuszczam, że czekali na pana Ebingera. Ale w sobotę powrócił on samochodem prowadzonym przez kierowcę i wjechał na teren posiadłości przez główną bramę. Widziałem, jak chłopiec i dziewczyna odeszli. Rozmawiali ze sobą. Gestykulowali. W poniedziałek znów przyszli. Na krótko przed godziną osiemną. Stali za krzakiem, po tamtej stronie ulicy. Czekali. Pan Ebinger powrócił o osiemnastej trzydzieści, też samochodem, ale prowadzonym przez



innego człowieka. Znam go z widzenia, chyba u niego pracował. Tym razem samochód zatrzymał się przy bocznej furtce. Widziałem, że młodzi zbliżyli się, jakby chcieli porozmawiać z panem Ebingerem. On wysiadł jednak ze swoim towarzyszem, otworzył furtkę własnym kluczem i weszli razem do ogrodu. Młodzi zatrzymali się i przez chwilę patrzyli na furtkę, która zamknęła się za panem Ebingerem i jego towarzyszem, a potem poszli – tak samo jak w sobotę – pieszo, ale tym razem już nie gestykulowali.

\* \* \*

Niczego więcej nie mogłem dowiedzieć się od starego Briggsa. Wyobrażam sobie, w jakim on był nastroju. W głębi duszy prawdopodobnie był zadowolony. Przecież dla niego nie ulegało wątpliwości, że ta para młodych ludzi popełniła zły uczynek. Załatwili starego Ebingera. Prawdziwą łaską Boga jest fakt, że nie zrobił tego Murzyn. Wszak ma się i tak zbyt wiele kłopotów. Tak, stary Sam jest dobrym Murzynem. Nigdy nie wyrządził krzywdy nawet musze.

Naturalnie, mając do dyspozycji tylu współpracowników, Trent musiał mieć informację o obecności Michaela Dolana i Debbie Simons w okolicach domu Ebingera. Wobec tego proszę postawić się na jego miejscu. Wystarczyło dodać dwa do dwóch i wynik był gotowy.

I to właśnie pozwoliło mu na doprowadzenie obojga młodych do takiego stanu, że przyznali się, iż byli w okolicach domu Ebingera również we wtorek. Ale stary Samuel Briggs nie widział ich tego wieczora. Zaprzeczają jak oszaleli, że zamordowali Arnolda Ebingerę, a mimo to siedzą w błocie aż po szyję. Policja ma motyw przestępstwa, i to motyw jak złoto, nie do zbiccia: Debbie została wyrzucona

z domu towarowego Ebingera. Czekali na niego trzy dni pod rząd, aby się zemścić. Premedytacja czynu została podkreślona przez wysłanie anonimowego listu sygnowanego podpisem „Czarnych Panter”

Prawdopodobnie powiecie mi, że to wszystko jest pięknym spletem najróżniejszych przypuszczeń, ale przecież nie ma ani dowodu, ani przyznania się do winy.

Odpowiem na to: Dowód przy nastrojach i stanie napięcia, jaki panował w Springville, można oddać do przechowalni... Ta para młodych o białej skórze jest podarkiem opatrności. Pojawiła się ona w odpowiedniej chwili, aby ugasić pożar, który buszował po drugiej stronie rzeki. Dla sądu przysięgłych wystarczą poszlaki i przypuszczenia, gdyż naprawdę, drodzy przyjaciele, w okolicznościach, które nas interesują, sytuacja biednego białego jest jeszcze gorsza niż sytuacja biednego Murzyna.

Jednym słowem, z takimi poszlakami Mike Dolan dojrzał do celi śmierci i kilkudziesięciu litrów trującego gazu w komorze, a jego mała przyjaciółka – do dożywotniego więzienia. Nie mówię już o tym, że Trent i jego chłopcy są zdolni zmusić ich do przyznania się.

Natomiast ja, wasz sługa, Dick Benson, nie mam właściwie w tym wszystkim nic do roboty. Jako kolorowy, cieszę się zupełnie tak samo jak stary Briggs, że jest to zbrodnia wyłącznie białych. Niech więc młoda para radzi sobie ze sprawiedliwością jak może, naturalnie, jeżeli są winni... Być może, środowisko, z którego pochodzą, stanie się okolicznością łagodzącą.

A jeżeli nie są winni?

No cóż, jeżeli nawet, umyвам ręce. W tej dziwnej historii moja pierwsza biała klientka wymknęła mi się. Następny klient poprosił

mnie, uprzejmie ofiarowując pięćset dolarów zaliczki, abym zostawił sprawę. Ten człowiek był zadowolony. Nie mogę być przecież bardziej papieski od tych, którzy mi płacą! Pastor Borden zapłacił mi za to, bym ujawnił prawdę o morderstwie Arnolda Ebingera, ale pod warunkiem, że czynu tego dokonał biały. Każdy ma swoją prawdę, jak to zwykł mówić któryś tam z wielkich europejskich pisarzy. W chwili, kiedy prawda Bordena ujrzała światło dzienne, wszystko inne było dla niego nieważne.

Wykorzystałem czerwone światła, aby zapalić papierosa i przez chwilę odpocząć. Oparłem głowę o podgłówek. Naturalnie, byłoby ideałem, gdyby prawda pastora Bordena zgadzała się z moją prawdą, a więc prawdziwą prawdą. Czyż można jednak wymagać aż tak wiele? Chyba tylko wówczas, gdy się jest wariatem. Takim jak ja.

Kiedy nacisnąłem hamulec przed wejściem do centralnego komisarjatu, miałem wrażenie, że mój samochód skierował się tam sam, bez mojej woli.

## **MIKE, DEBBIE**

– Cóż pana obchodzą protokoły przesłuchania? – wrzasnął porucznik Trent. – Cóż one pana obchodzą? Przede wszystkim nie reprezentuje pan już żadnego klienta i nie podpisywał pan żadnej umowy w tej sprawie. A więc: do widzenia! Nie mamy o czym mówić!

Przyznam się, że oniemiałem. Porucznik Trent zaprezentował nowe, nie znane mi dotąd oblicze! Zawsze uważałem go za człowieka grzecznego i za realistę, ale przyjęcie, które mi zgotował, zadziwiło mnie. Pomyślałem, że został całkowicie opanowany przez

O'Malleya, mera, gubernatora i całą klikę notablów naszego czci-  
godnego kraju.

Stałem się nagle maleńki i zbyt skromniutki, aby móc zaprote-  
stować.

– Proszę mi wybaczyć, poruczniku, ale ciągle jeszcze reprezen-  
tuję klienta. Jest nim pastor Borden występujący w imieniu parafii  
Świętych Dnia Ostatniego.

Oficer policji, nastroszony, usiadł na brzegu biurka. Właśnie za-  
palał papierosa i jego zapalniczka znieruchomiała w powietrzu ni-  
czym miniatura Posągu Wolności.

– A więc pastor Borden? – spytał. – Cóż on ma z tą całą sprawą  
wspólnego?

– Ależ niewiele, poruczniku – starałem się tłumaczyć z anielską  
cierpliwością. – Polecił mi tylko, abym wyjaśnił sprawę morderstwa  
dokonanego na Arnoldzie Ebingerze, abym znalazł prawdę...

Porucznik zrobił się najpierw czerwony, potem czerwień przeszła  
w fiolet. Było to bardzo widowiskowe, nie wiem jednak, co by o tym  
pomyślał jego lekarz. W każdym razie świadczy to, że porucznik nie  
dożyje chyba późnej starości.

– Czy pan próbuje nam wmówić, że my nie szukamy prawdy?  
My?! – Zakrztusił się, a potem z ogromnym wysiłkiem zamilkł.

Bez trudu domyśliłem się, że słowa, których nie zdążył wypowie-  
dzieć, miały brzmieć: „Ty wstrętny czarnuchu”. Zachowałem jednak  
zimną krew. W grzeczny sposób zaprotestowałem:

– Nie rozumiem pańskiego wybuchu, poruczniku. Pastor Borden  
i parafia Świętych Dnia Ostatniego poprosili mnie, abym odkrył  
prawdę. Przed zamknięciem sprawy i wysłaniem rachunku muszę  
napisać raport. Dlatego też przyszedłem do pana prosić o pokazanie  
mi protokołów przesłuchań, abym mógł spełnić swój obowiązek

w należyty sposób. I to wszystko. Nie mamy o co drzeć z sobą kotów.

I znów stałem się świadkiem ciekawego widowiska. Rozwiązał krawat, odpiął guzik kołnierzyka koszuli i zaczął głośno oddychać. Wielkie krople potu pojawiły się na jego skroniach. Ścisnął rękami blat biurka. Jego palce zrobiły się białe. Prawdopodobnie w ten sposób starał się pohamować. Kiedy zaczął mówić, odniosłem wrażenie, że mam przed sobą tonącego.

– Doskonale rozumiem, Benson. Ale gwarantuję panu, że ta para młodych absolutnie nie ma szans. Morderstwo z premedytacją. Obmyślili skok. To typowi hippisi.

– Czy przyznali się? – spytałem głosem niewiniątka.

– Nie – zaprzeczył. – Ale to kwestia godzin. Przyznali się już do obecności na miejscu zbrodni. Przyznali się, że czekali na Ebingera przez trzy dni. A więc... naprawdę nie trzeba mieć dyplomu uniwersyteckiego, aby wyciągnąć z tego odpowiedni wniosek.

Wydawało się, że odzyskuje kontrolę nad sobą, a przy tej okazji świat i życie zaczynają mu się znów podobać. Odlepił się od swego biurka, położył mi rękę na ramieniu i popchnął grzecznie w stronę wyjścia.

– Proszę mnie zrozumieć, Benson – powiedział tonem prawie serdecznym. – Rozumiem pańskie skrupuły, świadczą one o panu bardzo dobrze. Stara się pan dać klientowi wszystko, za co ten panu zapłacił. Rozumiem również skrupuły pastora Bordena. To duchowny – przedstawiciel kościoła. Szanuję go i podziwiam. Ale w tym wypadku może mu pan powiedzieć, że powinien spać spokojnie, a panu z czystym sumieniem wypłacić honorarium. To nie jest pomyłka sądowa. Do widzenia, Benson! Zawsze będę się cieszył, jeśli spotkam pana w okolicy.

\* \* \*

Siedziałem w gabinecie Tima Fortee, głęboko wciśnięty w jego najlepszy fotel. W ten fotel, w którym starał się zazwyczaj uspić przeciwnika, jeśli udało mu się przyprowadzić go aż tutaj. Tim wyciągnął butelkę najlepszego, co najmniej dziesięcioletniego burbonu.

– W sumie – stwierdził z uśmiechem – pozwoliłeś się otumanić porucznikowi Trentowi jak głupiec.

– No tak... – przyznałem – zgoda. Bo choć wyszedłem z komisariatu ze wszystkimi szykanami, prawie z honorami wojskowymi, pozwoliłem wystawić się na dudka. Nie rozumiem jednak, dlaczego doprowadziłem go do szału, kiedy poprosiłem o protokoły przesłuchań. Chcesz, abym ci powiedział, co myślę? A więc dobrze! Oni ciągle jeszcze znajdują się w zerowym punkcie tej sprawy. Ruszyli pełnym gazem po śladach kombinacji z „Czarnymi Panterami”. Kiedy jednak spostrzegli, do czego to może doprowadzić po drugiej stronie rzeki, zadowolili się pierwszymi domniemanymi winnymi, wybierając oczywiście takich, którzy mieli białą skórę. Chodziło po prostu o uspokojenie kolorowego społeczeństwa.

Tim pociągnął z kieliszka i poprawił mnie:

– Chcesz powiedzieć, że zrezygnowali z prawdziwego śledztwa... Możesz być pewien, że wszyscy zaczęli naciskać O'Malleya i porucznika Trenta: stary Rian, który umiera z chęci, aby powtórnie być wybranym podczas najbliższych wyborów, gubernator, który nie chce żadnych tego rodzaju historii, i senator, dla którego jest to również niewygodne; nie mówię już o władzach federalnych! Skompromitowany w tej całej sprawie jest właściwie tylko O'Malley, który

uważał, że przyduszenie Murzynów odniosłoby dobry skutek podczas kampanii wyborczej. I dlatego Trent był taki zdenerwowany. Teoria Tima była do przyjęcia, a nawet do tego stopnia ewidentna, że poczułem się nieswojo.

– No tak, mój drogi. Ja jednak nie tylko chciałbym obejrzeć protokoły przesłuchań, pragnąłbym również osobiście zetknąć się z tą młodą parą.

Mój przyjaciel adwokat rzucił na mnie zaniepokojone spojrzenie.

– Chyba nie myślisz, że są niewinni? Przecież to wszystko jest jasne jak woda źródłana! Mała Debbie poskarżyła się swojemu chłopakowi, jak z nią postąpiła firma, a Mike udał się do starego, aby wyjaśnić sprawę. Dyskusja potoczyła się prawdopodobnie w złym kierunku. Wówczas Mike uderzył Ebingera, a potem oboje wrzucili ciało do basenu. To bardzo proste.

– Strasznie proste – zgodziłem się. – Pozostaje tylko wyjaśnić kilka drobnych szczegółów.

– Na przykład?

– Dlaczego ta para młodych ludzi, która – sądząc po środowisku, w jakim przebywa – nie grzeszy zbytnim intelektem, musiała koniecznie pisać listy, podpisane w dodatku przez „Czarne Pantery”, jeśli miała zamiar tylko przedyskutować całą sprawę z Ebingerem? Jeżeli natomiast, jak zapewniał Trent, cały zamach był skrupulatnie przygotowany, co mogłoby wytłumaczyć wspomniane listy, dlaczego czekali w sposób ostentacyjny na Ebingera w sobotę i poniedziałek poprzedzający morderstwo? Wreszcie, dlaczego Ebinger wprowadził ich do ogrodu swojej willi, używając w tym celu bocznej furki, którą otworzył własnym kluczem? Sprawdziłem, że furka była zazwyczaj zamknięta, a stary Sam Briggs potwierdził mi,

że w poniedziałek Ebinger otwierał furtkę kluczem. Oto, mój drogi, pytania, które bardzo chciałbym zadać osobiście obojgu oskarżonym.

– Doskonale cię pojmuję – powiedział Fortee nie patrząc mi w oczy. – Nie rozumiem jednak, po co łamiesz sobie głowę nad tą całą sprawą. Trent dał ci wyraźnie do zrozumienia, żebyś się usunął, a parafię Świętych Dnia Ostatniego wszystko to przestało już obchodzić. W każdym razie teraz nie możesz już nic zrobić.

– Masz rację, zgadzam się z tobą. Jest jednak ktoś, kto mógłby mi pomóc. Ktoś, kto mógłby przeczytać protokoły przesłuchań. Ktoś, kto mógłby złożyć wizytę Mikowi Dolanowi i Debbie Simons...

- Ach tak! – odezwał się z widoczną niechęcią. – A kto to taki?
- Ich obrońca!

\* \* \*

I tak to się zaczęło. Przez następne trzy dni miałem wiele trudności, aby skoncentrować się nad moją codzienną pracą. Nie zwracałem nawet uwagi na eleganckie stroje Luizy. Sekretarka patrzyła na mnie z coraz większym niepokojem. Wierzcie mi, że mocno się tamtego dnia napracowałem, by Tim Fortee zgodził się na obronę domniemanych morderców Ebingera. Ustąpił tylko na moją prośbę i tylko dlatego, że uważał się za mego prawdziwego przyjaciela. Nie spytał nawet, kto mu za to zapłaci. Wyjaśniłem mu, że jeśli dojdziemy prawdy za pośrednictwem oskarżonych, Święci Dnia Ostatniego otrzymają i raport, i rachunek. Zrealizują go bez protestu, tym bardziej że jest to jedna z najbogatszych parafii w naszym mieście.



Mike Dolan i Debbie Simons nie mieli jeszcze obrońcy. Trudno się temu dziwić; byli bez pieniędzy. Tim Fortee nie miał więc żadnych przeszkód w objęciu tej funkcji. Władze zachęcały go do tego, uważając, że z kolorowym obrońcą nie będzie żadnych kłopotów i żadnych komplikacji. Wychodzono z założenia, że Murzyn jako adwokat nie będzie mógł radzić swoim klientom, aby twierdzili przed sądem, że są niewinni.

Przechadzałem się po gabinecie niczym tygrys po klatce. Było już późne popołudnie. Promienie słońca z trudem przebijały się przez chmury. Indiańskie lato zbliżało się ku końcowi, rankiem padał nawet deszcz, pierwszy raz od wielu tygodni.

Właśnie o tej porze Tim po raz pierwszy miał spotkać się ze swoimi klientami. Miał ich zobaczyć w celach, które mieszczą się w podziemiach centralnego komisariatu i w których trzyma się oskarżonych aż do ich osądzenia. Po wyroku odsyła się ich do więzienia stanowego.

Luiza weszła bez pukania, meldując, że zakończyła swoją pracę, oraz pytając, czy jest mi jeszcze potrzebna. Kiedy powiedziałem jej, że nie, wysunęła się z gabinetu obrażona, ale pełna godności.

Zapalałem któregoś tam z kolei papierosa, gdy wreszcie nadszedł Tim. Usiadł w fotelu i bez słowa przyjął ode mnie kieliszek starego burbonu.

- No i cóż?... Widziałeś ich?
- Naturalnie – odparł. – Przecież po to tam poszedłem. Przejrzałem także protokoły przesłuchań, które w porównaniu z tym, co opowiedziała mi ta młoda para, dosłownie nic nie znaczą.
- Widziałeś ich razem?
- Tak. Przeprowadzono ich z cel do małej rozmównicy.
- Jakie zrobili na tobie wrażenie?

– Raczej dobre. Ale wydaje mi się, że sąd będzie innego zdania. On, w skórzanej kurtce, z długimi, jasnymi włosami i z brudnymi paznokciami, nie wywrze zbyt miłego wrażenia. Dziewczyna jest śliczna, ale jak na szanującą się osobę nosi za krótką spódniczkę. Wygląda nazbyt wyzywająco. Wiesz, co mam na myśli?

Przytaknąłem. Ten opis pozwolił mi uplastyczyć sobie ich obraz, który w pewnym stopniu zasugerowały zdjęcia zamieszczone w gazetach.

– A więc dlaczego na tobie wywarli dobre wrażenie? – spytałem.

– Trudno mi to wytłumaczyć... Przede wszystkim mają charaktery. Trzeba było zobaczyć ich twarze, kiedy przekonali się, że ich obrońca jest Murzynem! Nie przejąłem się tym oczywiście. Wiesz, że jestem do tego przyzwyczajony. Dość szybko zresztą przełamałem tę ich wrogość. Muszę stwierdzić, że ich stosunek do siebie jest wzruszający, pełen miłości i tkliwości. Mike zdolny jest do wszystkiego, aby tylko obronić małą.

Uśmiechnąłem się, ale w głębi duszy bawiłem się setnie. Tim Fortee był zawsze sentymentalny. Wiedziałem już teraz, że pójdzie na całego i zaangażuje się bez reszty w tę sprawę.

– Powiedz mi, jaka jest ich wersja wydarzeń? – spytałem prowadząc go na ziemię.

– Wydaje mi się, że młodzi trzymają się jednej wersji, i nikt ich z tego nie zbije. Mija już tydzień, a Trent i jego koledzy łamią sobie na nich zęby. Debbie twierdzi, że nic nie ukradła w domu towarowym. Mówi, że to kierowniczką działu, Mayer, robiła kombinacje z flakonami perfum, a na nią zrzuciła podejrzenie wówczas, gdy kradzieże zostały zauważone. Straciła pracę i z taką opinią trudno jej będzie znaleźć inną. Opowiedziała o tym Mike'owi, który zdecydował,

że powinni porozmawiać z Arnoldem Ebingerem. Postanowili czekać na Ebingera przy drzwiach jego domu, a następnie, kiedy będzie powracał z biura, opowiedzieć mu całą historię. Poszli tam w piątek, gdyż tego dnia Mike miał wolny dzień.

– Nie wiedziałem, że byli tam w piątek. Stary Briggs nic mi o tym nie mówił.

– I nie mógł nic powiedzieć, gdyż ich nie widział. Czekali przy głównym wejściu i dopiero tam zauważyli, że Ebinger wysiadł z samochodu swego znajomego obok bocznej furtki. W ten sposób nie doszło do spotkania. Powrócili więc w sobotę i stanęli na rogu obu ulic. Wówczas zobaczył ich ogrodnik. Ale tego dnia Ebinger wjechał na teren posiadłości własnym samochodem, nie zatrzymując się. I znów nie doszło do spotkania. Dla dwojga młodych ludzi kwestia porozmawiania z Ebingerem miała tak wielkie znaczenie, że przyszli jeszcze raz, w poniedziałek.

– To zostało stwierdzone przez ogrodnika.

– Tak, tego wieczora Ebingera odwiózł do domu Pokay Jones, który zajmuje się sprzedażą lemoniady. Zatrzymał wprawdzie samochód przed boczną furtką, ale Ebinger wprowadził go do posiadłości. W tej sytuacji i to długie oczekiwanie na nic się młodym zdało.

– Stary Sam twierdzi, że byli ukryci za krzakiem.

– Tak było. Ale z drugiej strony Pokay Jones potwierdził, że wszedł razem z Ebingerem na teren posiadłości. Jednym słowem, Mike i Debbie przyszli jeszcze raz we wtorek. I wówczas spotkali się z Ebingerem.

– I co się wtedy stało?

– Twierdzą – odpowiedział ostrożnie Tim – że Ebinger przybył samochodem z człowiekiem, który wysadził go niedaleko bocznej

furtki. Rozmawiali przez kilka minut, po czym samochód odjechał. Ebinger został sam na chodniku. Człowiekiem tym był Cyril Budenko, dyrektor supermarketu przy 8 Ulicy. Potwierdził on ten fakt. W chwili, gdy Arnold Ebinger wyjmował klucz z kieszeni, młodzi ludzie zbliżyli się do niego. W pierwszej chwili, jak mi oświadczył Mike, przestraszył się. Ale chłopak uspokoił go, przedstawił się oraz przedstawił Debbie. Mała zreferowała Ebingerowi swoją sprawę w kilku zdaniach. Trwało to nie więcej niż jakieś dwie minuty.

Nie muszę podkreślać, że słuchałem mego przyjaciela bardzo uważnie.

– A jak zareagował Ebinger? – spytałem.

– Zmarszczył brwi i powiedział, że cała ta historia bardzo mu się nie podoba. Poprosił Debbie, by przyszła do niego nazajutrz rano do biura, dodając przy tym, że wezwie Mayer i przeprowadzi konfrontację. Mike twierdzi, że nie domagali się niczego więcej. Podziękowali Ebingerowi, pożegnali się i poszli do miejsca, w którym zaparkowany był samochód Mike'a. W tym samym czasie Ebinger otworzył kluczem boczną furtkę i wszedł na teren posiadłości.

– A listy? Czy pytałeś ich o listy?

– Naturalnie – odpowiedział Tim Fortee. – Ale oni zaprzeczają. Usłyszeli o tych listach – tak samo jak wszyscy – następnego dnia po wizycie u Ebingera. I wierzyli – tak samo jak wszyscy – że „Czarne Pantery” rzeczywiście zlikwidowały starego. Debbie była niepokieszona, że nie będzie mogła dowieść swojej niewinności... No, ale to przecież w niczym nie zmienia faktu. Wydaje mi się, że listy „Czarnych Panter” nie są znów aż takie ważne.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– A więc... czego ci jeszcze trzeba? Przecież to jest podstawą w całej sprawie! – wrzasnąłem.

– Było... – poprawił Fortee. – Tak długo, jak myślano i wierzono, że morderstwa dokonali czarni. Teraz sprawa wygląda zupełnie inaczej. Listy mogą być tylko zwykłym zbiegiem okoliczności. Zrozum, że wielu ludziom mogły być nie w smak wyborcze plany Ebingera. Ludzie ci mogli chcieć go przestraszyć...

Muszę przyznać, że była to ciekawa hipoteza i wcale niegłupia. Jeśli jednak ma ona coś wspólnego z rzeczywistością, należy tego dowieść.

– Czy ty wierzysz, że oni są winni? – spytałem.

Tim Fortee położył na stole swoje okulary i odpowiedział bardzo ostrożnie:

– Nie można tak stawiać sprawy. Nie jestem ich spowiednikiem, lecz adwokatem.. Do moich obowiązków należy znalezienie dla nich najbardziej odpowiedniej linii obrony. Według mego zdania, nie będą oni mogli dowieść swojej niewinności. Brak jest na to świadków. Należy również przyznać, że teza policji jest bardzo prawdopodobna i zdecydowanie do przyjęcia. Zaczepili Ebingera w chwili, kiedy ten otwierał furtkę. Po pierwszej wymianie słów albo sam zaprosił ich do ogrodu, albo też weszli siłą. Zaczęli kłócić się na brzegu basenu.

Mike domagał się sprawiedliwości dla swojej narzeczonej. Ebinger rozgniewał się. Jak wiesz, był brutalny i raczej gruboskórny. Mike stracił zimną krew i uderzył go. Ebinger upadł tracąc przytomność. Chłopiec pomyślał, że go zabił. Wówczas młodzi przerazili się i wrzucili go do wody. – Skończywszy ten wywód, mój przyjaciel podsumował: – Jeżeli przyjmę linię obrony zgodną z tym rozumowaniem, niewykluczone, że Mike otrzyma z pięć lat, a następnie

zostanie warunkowo zwolniony. Natomiast w przypadku Debbie nie przewiduję, aby zapadł wyrok skazujący ją na więcej niż kilka miesięcy. Naturalnie, jeżeli pomożesz mi dowieść, że to jej kierowniczka, Mayer, kradła perfumy.

Zerwałem się z miejsca. Ta zimna logika doprowadziła mnie do rozpacz.

– I to cię zadowala! – zawołałem. – A jeżeli ci młodzi powiedzieli prawdę, jeżeli naprawdę są niewinni?

Ogarnęła mnie wściekłość. Tu nie chodziło wcale o Mike'a Dolana i Debbie Simons, przecież ich w ogóle nie znałem. W grę wchodziła sprawa ważniejsza: mój obraz mego kraju, jego cywilizacji, jego sprawiedliwości. Nie mogę pogodzić się z tym, aby adwokat zdecydował się na „mniejsze zło”, jak strażak, który robi wszystko, aby zmniejszyć szkody wyrządzone przez pożar.

Tim nie reagował, pozwolił mi się denerwować. W jego spojrzeniu nie było gniewu, tylko smutek.

– A co się stanie – powiedział – jeżeli ci młodzi ludzie będą z uporem zaprzeczać i będą twierdzić, że są niewinni? Mogą w konsekwencji otrzymać po dwadzieścia lat. Jestem ich obrońcą i doradcą i w ten sposób patrzę na tę sprawę.

Wydawało mi się, że to niemożliwe, aby człowiek, współobywatel rozmawiał ze mną takim językiem w 1971 roku, i to w Stanach Zjednoczonych, których „pochodnia wolności” oświetla ponoć cały świat! Gdyby to nie był Tim Fortee, czuję, że posunąłbym się do rękoczynów. Na szczęście wiedziałem, kim był i co reprezentował, wiedziałem również, że nigdy nie splamiłby się czymś niegodnym. Zaczynałem rozumieć jego punkt widzenia...

– Naprawdę myślisz, że problem będzie w taki sposób rozpatrywany?

Jego oczy stały się jeszcze bardziej smutne. Sprawiał wrażenie wielkiego, źle widzącego psa, który nagle zgubił swego pana.

– Tego się obawiam, Dick – odpowiedział. – Sprawiedliwość jest często sprawą klimatu społecznego i politycznego. To wszystko, co stało się w zeszłym tygodniu po tamtej stronie rzeki, rzutuje na całą sprawę. Władze pragną za wszelką cenę ugasić ogień. Jeżeli będę dowodził, że było to przypadkowe morderstwo, jestem pewien, że osiągnę to, czego pragnę: sąd będzie wyrozumiały dla błędu młodości. Z drugiej strony, choć to niewielka strata dla ludzkości, nie wolno zapominać, że Ebinger, był przecież rekinem. Wybory są blisko... W wypadku przyjęcia innej linii obrony niczego nie będę mógł dokazać, a poza tym nie będę miał czasu.

– Co to znaczy, że nie będziesz miał czasu? – spytałem.

– Znaczy to, co mówię – powiedział spokojnie Tim For tee. – Mike Dolan i Debbie Simons staną przed sądem za dziesięć dni. Prawo stanowe przewiduje zakończenie śledztwa w ciągu dwóch tygodni. Nikt nie będzie dłużej czekać; no, najwyżej dwa, trzy dni, aby zachować pozory. Wszyscy, począwszy od mera Springville aż do prezydenta w Białym Domu, zainteresowani są w tym, aby cała sprawa została zlikwidowana, i to w jak najkrótszym czasie. Później zapomni się o niej, a o to przecież chodzi.

Uspokoilem się. Wstałem i wykonałem mój ulubiony spacer. Podszedłem do wielkiego okna. Noc już prawie zapadła – Springville błyszczało wszystkimi światłami niby piękna kobieta przybrana w całą swoją biżuterię. Jak piękna ładaczka, na której szczęście i powodzenie składają się małe kompromisy, drobne zapomnienia i wielkie świństwa.

Pomyślałem sobie, że jeśli nawet ci młodzi ludzie są winni, to śledztwo w ich sprawie nie ma nic wspólnego z prawdziwą sprawiedliwością. Ogarnęło mnie obrzydzenie na myśl o lśniącym bogactwie Springville i całego kontynentu amerykańskiego.

– Rozumiem twój punkt widzenia, stary przyjacielu – powiedziałem do Tima. – Najważniejsze, że godzisz się na ich obronę.

– Zrobię, co tylko będę mógł.

– Chcę ci więc zadać pytanie: czy jeżeli do rozpoczęcia procesu wyjaśnię prawdę, wykorzystasz ją, broniąc tych młodych ludzi?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Ależ naturalnie! – odpowiedział.

– Bez względu na to, jaka ona będzie?

Zauważyłem błysk niepokoju w jego oczach. Ale Tim Fortee był człowiekiem uczciwym i odważnym.

– Bez względu na to, jaka będzie... – powtórzył uroczyście.

## GARRY

Minęło dziewięć dni. Spotkaliśmy się w sali trybunału sądu w Springville.

Rozumiem wasz niepokój, no ale cóż... muszę wam powiedzieć, że nie mogłem zrobić nic ponad to, co zrobiłem. Gdybym miał tydzień czasu więcej na prowadzenie dochodzenia, przysięgam, że nie doszłoby do rozprawy! Ale, niestety, nie udało się. Prawo mówi, że od aresztowania podejrzanego do postawienia go przed sądem musi upłynąć co najmniej dwa tygodnie. Minęło siedemnaście dni od



chwili, kiedy szeryf O'Malley oświadczył publicznie o aresztowaniu Michaela Dolana i Debbie Simons. Jednym słowem, zachowano wszelkie pozory.

Racja stanu – powiedzą prawdopodobnie lojalni obywatele. No cóż... Któryś Europejczyk, nie pamiętam już w jakiej książce, stwierdził, że: „Człowiek prawy – to taki, który wynosi porządek nad sprawiedliwość”. Co do mnie, nie interesują mnie te problemy, ale uważam, że człowiekiem, po prostu człowiekiem jest ten, kto respektuje zarówno porządek, jak i sprawiedliwość. Cóż, porządek panuje już po tamtej stronie rzeki. Wiadomo, że to nie Murzyn zamordował Arnolda Ebingera. Jeśli natomiast chodzi o sprawiedliwość, to w tej chwili ja wchodzę na arenę, aby rozegrać swoje karty.

Niestety, dysponowałem zaledwie dziewięcioma dniami, podczas których byłem tak zajęty, że nie miałem ani minuty czasu, aby porozmawiać z wami przy kominku. Nie będę liczył godzin, które spędziłem w zasadzkach i na tropieniu. Przedwczoraj jeszcze przesiedziałem całą noc w samochodzie obok posiadłości Ebingera. Poza tym podróżowałem po kraju. Byłem samolotem w Palm Springs, w Reno i Las Vegas i wierzcie mi, że nie po to tam poleciałem, aby zagrać w ruletę czy podziwiać piękne nogi francuskiej gwiazdy, Line Renaud, która królowała akurat na scenie w Las Vegas. Prócz tego kupiłem za horrendalną cenę – równą cenie zabytków z minionych wieków – jedną z miliona maszyn do pisania, wyprodukowanych przez firmę Remington w latach 1965 i 1966.

Uważacie, że wszystko to było bardzo trudne, prawda? Zapewniam was, że było niczym w porównaniu z bojami, jakie musiałem stoczyć, aby przekonać Tima, że sprawę powinien prowadzić tak,

jak ja chciałem. Toczyłem z nim boje z dowodami w rękę! A mimo to nawet tego ranka, kiedy miał rozpocząć się proces, nie był jeszcze zupełnie przekonany. Przyznam się, że nigdy nie przypuszczałem, aby obrońca mógł mieć takie pojęcie o sprawiedliwości! Tim uważał, że jego praca polega na działaniu w interesie klienta. I to wszystko. Nie mogłem jednak pogodzić się z myślą, że lepiej jest uzyskać dla niewinnego mniejszą karę, wtedy gdy wyłącznie same okoliczności obciążające mogłyby spowodować skazanie go na maksymalny wyrok. Wiedziałem, że kochany Tim rozegra swoją partię, prosząc Boga, aby prawda nie była gorsza dla jego klientów od kłamstwa.

O tym wszystkim myślałem w sali sądowej, dokąd przybyłem wcześniej, aby zorientować się w nastroju ostatniego aktu tej całej historii. Sala sądowa znajduje się na parterze budynku. Policjanci muszą pokonać odległość zaledwie jednego piętra, aby przejąć w swoje ręce klientów. Wielka kwadratowa sala o banalnym wyglądzie jest w dwóch trzecich zarezerwowana dla publiczności, którą od reszty oddziela zwykła drewniana balustrada. Po stronie przeznaczonej dla wymiaru sprawiedliwości znajduje się estrada, na której zasiada sędzia; na ścianie za nim umocowane są dwa sztandary: Stanów Zjednoczonych i naszego stanu. Na prawo od sędziego stoi fotel dla świadków, komfortowy, obity skórą i, naturalnie, na niewielkim podwyższeniu. Również po prawej stronie znajdują się miejsca, na których zasiadają sędziowie przysięgli. Naprzeciwko estrady stoją dwa duże stoły z dwoma szeregami krzeseł obok nich. Ten z prawej, licząc od środkowego przejścia, to stół dla oskarżonych, ich obrońcy i doradców, stół z lewej przeznaczony jest dla prokuratora i jego współpracowników.

W głębi, obok miejsca dla sędziów przysięgłych, znajduje się wyposażony w baterię magnetofonów oraz miejsce dla ekipy technicznej stół sekretarza.

O tym, że będzie to proces głośny, wiadomo było już na pół godziny przed rozpoczęciem posiedzenia, gdyż sala była prawie pełna. Pierwszy rząd zajęli przedstawiciele prasy. Stuart Renner był naturalnie także, w towarzystwie dwóch fotografów. Kiwnął do mnie przyjaźnie ręką. Nie był zdziwiony, widząc mnie przy stoliku przeznaczonym dla obrony.

Zgromadzona publiczność nie zmuszała do głębszych refleksji. Składała się przeważnie z kobiet, co było zresztą zupełnie zrozumiałe; o tej godzinie większość mężczyzn pracuje. Sędziowie przysięgli – ludzie ogólnie szanowani, przestrzegający prawa oraz punktualności – na dziesięć minut przed rozpoczęciem rozprawy byli już w komplecie. Tim Fortee obejrzał ich i nie miał żadnych zastrzeżeń: dziesięć osób – przedstawiciele różnych zawodów i prawdopodobnie takich samych rasistów, jak większość naszych obywateli. Wśród nich był jeden Murzyn – główny księgowy jednej z firm przemysłowych – oraz kobieta w wieku lat czterdziestu. Wyczułem, że ta para będzie właśnie najważniejsza: Murzyn, gdyż z obawy, aby wszystko znów nie odwróciło się w stronę kolorowych, będzie konsekwentnie działał przeciwko dwojgu oskarżonym; kobieta dlatego, że wydawała się wrażliwa i ludzka. Rozumiecie chyba, co mam na myśli? Była wysokiego wzrostu, tęga, prawdopodobnie lubiła ciastka. Miała na sobie kostium i kapelusz, a w klapie nosiła różę. Taka typowa Amerykanka. Byłem przekonany, że jeżeli Tim zdobędzie jej sympatię, połowę pracy będzie miał poza sobą.

\* \* \*

Być może, była to sprawa przypadku: Tim Fortee pojawił się na sali równocześnie z prokuratorem. Tworzyli dwie kontrastowe postacie. Naturalnie, nie mam tu na myśli koloru skóry. Mówiłem już kiedyś, co myślę o naszym prokuratorze, Garym Mitchellu: młody, sprawiający wrażenie playboya, ale uczciwy, zdolny i bardzo drobiazgowy. Przyszedł w towarzystwie dwóch współpracowników; jeden z nich... to przystojna brunetka. Policjantów jeszcze nie było. Pierwsze posiedzenie sądu miało mieć charakter posiedzenia wstępnego.

Punktualnie o dziesiątej pojawił się za swoim stołem, zaanonsovany z pompą przez woźnego, sędzia. Nazywał się Dolmer Cornwallis. Był to typowy urzędnik, rutyniarz bez większych zdolności, zdecydowany konformista. Tak między nami, bałem się trochę, że będzie dążył do wydania wyroku, przy ferowaniu którego decydujące znaczenie będą miały cele polityczne, a więc chęć uspokojenia opinii publicznej.

W chwili, gdy zajmowałem miejsce za masywnymi plecami Tima, zauważyłem wśród publiczności pastora Bordena. Proboszcz parafii Świętych Dnia Ostatniego nie był chyba zadowolony z mojej obecności. Dla niego sprawa była już dawno zamknięta, pogrzebana, gdy tu nagle okazało się, że za swoje własne pieniądze zapewnia obronę dwojgu młodym przedstawicielom białej rasy, i to w dodatku takim, których nigdy dotąd nie widział.

Młodzi zjawili się ostatni. Było to normalne. Przecież to oni byli właściwie gwiazdami całej sprawy. Zobaczywszy ich, zrozumiałem, co Tim miał na myśli, mówiąc, że Mike wywrze złe wrażenie na sędziach. Mike to wysoki blondyn o typowym wyglądzie chłopaka z przedmieścia, którego wychowała ulica. W więzieniu obcięto mu

wprawdzie trochę włosy, ale nadal ubrany był w czarną skórzaną kurtkę z krótkimi rękawami. Należał do tego typu ludzi, jakich niechętnie spotyka się podczas samotnych wieczornych przechadzek po ulicach miasta. Debbie była bez makijażu. Na szczęście. To śliczna, choć trochę pospolita młoda dziewczyna; doskonale zbudowana szatynka o jasnych oczach. Szukałem jej wzroku. Chciałem się do niej uśmiechnąć, aby dodać jej odwagi. No ale cóż mógł ją obchodzić jakiś tam Murzyn? Ma już przecież Murzyna jako adwokata.

– Stan przeciwko Michaelowi Dolan i Debbie Simons – oznajmił woźny stentorowym głosem.

Poczułem mrówki na plecach. Proces rozpoczął się. Byłem pewny swojej sprawy, ale jak ta para z niej wyjdzie? I czy Tim będzie godnym przeciwnikiem Mitchella? Naturalnie miał duże doświadczenie w występowaniu przed sądem przysięgłych, ale nie w takich sprawach.

A jeśli chodzi o mnie? Albo zwycięstwo, albo śmierć! Albo odniosę tryumf, albo stracę swoją licencję prywatnego detektywa. Zrozumiałem to w chwili, kiedy na krześle obok mnie usiadła Luiza. Podświadomie byłem jej wdzięczny za to, że się zjawiła. Pierwsza godzina procesu poświęcona była zaprzysiężeniu sędziów przysięgłych. Ani Tim, ani prokurator nie mieli zastrzeżeń do żadnego z nich. Następnie sprawdzono dane osobiste oskarżonych. Wreszcie sekretarz odczytał akt oskarżenia: Stan zarzucał Michaelowi Dolanowi i Debbie Simons zabicie we wtorek, 7 października, między godziną osiemną a osiemną trzydzieści Arnolda Ebingera, właściciela wielkiego przedsiębiorstwa handlowego w Springville i kandydata na mera miasta.

Sędzia Cornwallis spojrzął znad okularów na obrońcę.

– Czy oskarżeni przyznają się do winy, czy też uważają się za niewinnych?

– Są niewinni, wysoki sędzie! – oświadczył w sposób uroczysty Tim Fortee.

Oświadczenie to wywołało na sali sensację. Powszechnie uważano, że sprawa była już przesądzona z chwilą rozpoczęcia procesu. Oczekiwano raczej łagodnego wyroku za przypadkowe zabójstwo, kiedy oto nagle, już przy podniesieniu kurtyny, cała sztuka zarysowała się zupełnie w nowym świetle.

Część reporterów podbiegła do telefonów. Prokurator był wyraźnie zdziwiony. Pomyślał prawdopodobnie, że informatorzy oszukali go. Nie mógł przecież wiedzieć, że do tego oświadczenia zmusiłem Tima Fortee dziś o drugiej nad ranem, na kilka godzin przed rozpoczęciem rozprawy.

Sędzia przerwał posiedzenie, odraczając je do godziny czternastej trzydzieści.

\* \* \*

Po przerwie sąd udzielił głosu Garry Mitchellowi. Prokurator odczytał akt oskarżenia, kładąc szczególny nacisk na nienawiść, którą młodzi ludzie darzyli Arnolda Ebingerera. Teza oskarżenia co do motywu i sprawców przestępstwa była zgodna z punktem widzenia policji.

Słuchałem go uważnie i nawet z pewną przyjemnością, gdyż Mitchell przemawiał doskonale. Trzymał obecnych w napięciu swoją wyimaginowaną opowieścią, żywą i bardzo barwną. Jego argumentacja była jasna, precyzyjna i kiedy tylko skończył przedstawiać fakty, zabrał się do uzasadniania swojej tezy. Na szczęście nie pokusił się o

narysowanie wspaniałego portretu ofiary, lecz wszystko przedstawił jako tragiczne nieporozumienie, które doprowadziło do krwawych zamieszek 8 i 9 października, a zostało spowodowane, według niego, przez oskarżonych. Wzywał do pokojowego współistnienia ras i sugerował z niebywałą zręcznością, że skazanie oskarżonych przyjęte będzie z zadowoleniem przez wszystkich.

Jego intencje podkreślały półsłowa i niedomówienia, a wszystko – że tak powiem – w imieniu demokracji i amerykańskiej cywilizacji. Oskarżenie było całkowicie oparte na wynikach śledztwa policji. A jeśli przypadkowo zmierzało w kierunku utrzymania porządku i moralności, tak jak je rozumiał mer Rian, nie można było mieć o to pretensji do prokuratora.

W myśl prawa stanowego prokurator ma możliwość powołania przed sąd świadków oskarżenia. Po ich przesłuchaniu przez prokuratora, sąd, a później i przez obronę, ta ostatnia wzywa z kolei swoich świadków.

Czułem, że prokurator miał już sędziów przysięgłych w kieszeni. Jego krótkie przemówienie stworzyło doskonały klimat. Kobieta zasiadająca na ławie sędziów obdarzyła go spojrzeniem pełnym zachwyty i wzruszenia.

Ten sam nastrój panował w chwili, gdy wdowa po Ebingerze zajęła miejsce w fotelu dla świadków. Janice była naprawdę imponująca i wzruszająca w swoim czarnym kostiumie i białej skromnej bluzce. Kiedy przechodziła obok mnie, poczułem zapach jej perfum. Poruszała się z niezwykle elegancją i godnością. Sędzia Cornwallis uważał, że dobry ton nakazuje mu złożyć jej kondolencje.

Na prośbę Mitchella pani Ebinger opowiedziała o pełnym niepokoju wieczorze 7 października, kiedy czekała na powrót męża,

a potem o chwili, kiedy dowiedziała się, że znaleziono jego ciało w basenie. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i dyskretnie wytarła oczy. Doprawdy, była zachwycająca w swym wzruszeniu! Prokurator zadawał jej proste i życzliwe pytania. Powstrzymał się od jakiegokolwiek aluzji na temat anonimowego listu „Czarnych Panter”. Naturalnie, był to tylko pierwszy odruch policji po śmierci Ebingera i nie miał nic wspólnego z prawdziwym śledztwem!

\* \* \*

– Czy obrona pragnie zadać świadkowi pytania? – zapytał sędzia, gdy prokurator wrócił na swoje miejsce.

Tim Fortee skinął głową na znak, że owszem, pragnie, i wyszedł na środek sali, lecz zamiast do sędziego czy do świadka, zwrócił się do sędziów przysięgłych i powiedział:

– Pani i panowie przysięgli! Pozwólcie sobie powinszować. Zostaliście wybrani, aby brać udział w procesie, który znajdzie poczesne miejsce w rocznikach sądowych tego stanu, i to z dwóch powodów.

Sędziowie przysięgli, zdziwieni tym wystąpieniem, pochylili się, jakby chcieli lepiej wsłuchać się w przemówienie obrońcy i zrozumieć, czym sobie zasłużyli na jego gratulacje.

– Przede wszystkim – rozpoczął Tim Fortee – po raz pierwszy w tym stanie kolorowy adwokat broni białych oskarżonych o morderstwo pierwszego stopnia.

Usłyszałem na sali szepty. O tym nikt nie pomyślał.

– Poza tym – ciągnął mój przyjaciel – proces ten bije wszystkie rekordy. Rekordy szybkości! Jutro mija dwadzieścia jeden dni od



chwili, kiedy Arnold Ebinger został zamordowany, a osiemnaście dni od chwili gdy oskarżeni, Michael Dolan i Debbie Simons, zostali aresztowani. I oto stoją już przed wami. Aby znaleźć odpowiednik taitć szybkiego działania sprawiedliwości, trzeba wrócić do roku 1932, kiedy niejaki William Strunger, o przydomku „Krwawy Bill”, był sądzony, skazany i powieszony w dwadzieścia dni po zamordowaniu kasjera jednego z banków. Rekord ten został pobity w tym procesie i muszę złożyć hołd przedstawicielom sprawiedliwości w Springville, gdyż jest rzeczą jasną, że ten pośpiech nie ma żadnego związku z zamieszkami, które miały miejsce natychmiast po śmierci Arnolda Ebinger!

Usłyszałem za sobą szepty i śmiechy. Miałem wrażenie, że przedstawiciele prasy doskonale się bawią. Prokurator zerwał się z miejsca.

– Proszę wysoki sąd, by zabronił obronie wszelkich insynuacji wymierzonych przeciwko sprawiedliwości w tym okręgu! – powiedział z godnością.

Tim Fortee z ręką na sercu odwrócił się do sędziego.

– Ależ ja wyrażam przecież tylko swój zachwyt, wysoki sędzie – zaprotestował.

Sędzia Cornwallis uderzył młotkiem w stół.

– Panie Fortee – powiedział – jest oczywiste, że tego rodzaju zachwyt może mieć charakter ironiczny, jeśli wyraża go obrońca oskarżonych, którzy nie przyznają się do winy.

– Wysoki sędzie, proszę mi wybaczyć. – Skłonił się z szacunkiem. – Nie rozpatrywałem tego pod tym kątem. Rozumiem, że hołd obrony dla władz ponoszących odpowiedzialność za sprawiedliwość został wykreślony z protokołu rozprawy.

Na sali sądowej rozległ się śmiech. Mój przyjaciel wygrał tę rundę.

Pani z ławy przysięgłych serdecznie się do niego uśmiechnęła. Z pewnością nie była rasistką! To właśnie na nią Tim powinien skierować cały swój wysiłek. Teraz zwrócił się do Janice.

– Pani Ebinger, jest mi bardzo przykro, że muszę wracać do tych smutnych wspomnień. Ale czy tego samego dnia, kiedy mąż pani został zamordowany, nie znalazła pani w jego biurku listu z pogróżkami, podpisanego przez „Czarne Pantery”?

– Tak. List ten bardzo mnie zaniepokoił.

– Czy aż tak, że zamiast pokazać go policji, poszła pani poradzić się prywatnego detektywa?

– Rzeczywiście – odpowiedziała słodkim głosem. – Poszłam poradzić się pana Bensaona, który znajduje się tutaj na sali. Siedzi za panem. Myślałam, że kolorowy detektyw będzie mógł odnaleźć jego autorów, którym mogłabym wytłumaczyć, że mój mąż... nigdy nie był rasistą. Wprost przeciwnie!... Ten krok był skrytykowany przez policję, ale ja przecież wówczas myślałam tylko o Arnoldzie i... W każdym razie... było już i tak za późno, gdyż został zamordowany właśnie wówczas, gdy znajdowałam się u pana Bensaona!

Jej głos załamał się. Zaszlochała.

– My to wszystko doskonale rozumiemy, proszę pani – zapewnił Tim. – I dlatego zadam pani jeszcze tylko jedno pytanie. Powiedziała pani, że mąż otrzymał kilka listów z pogróżkami. Czy widziała pani jeszcze jakieś inne oprócz tego, który znajduje się w aktach?

Potrząsnęła swoją piękną, jasną głową.

– Nie – odpowiedziała. – Przypuszczam tylko, że otrzymywał również inne, gdyż w ciągu ostatnich dni wydawał się bardzo zaniepokojony. Sądzę, że je zniszczył.

– Ale w rzeczywistości widziała pani tylko jeden. Dziękuję pani.

\* \* \*

Porucznik Trent zauważył mnie w chwili, gdy zajmował miejsce w fotelu dla świadków. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. Prawdopodobnie zadawał sobie pytanie, co robię na ławie obrońców.

Na prośbę prokuratora zrelacjonowałem, w jakich okolicznościach zostałem wezwany do domu Ebingerów razem z szeryfem O'Malleyem. Opowiedział o swojej pierwszej reakcji, kiedy dowiedział się o liście z pogrózkami. Ale na szczęście po czterdziestu ośmiu godzinach wytężonego śledztwa udało mu się stwierdzić, że na miejscu zbrodni bądź też w jej pobliżu w ciągu trzech kolejnych wieczorów przebywali oboje oskarżeni. Udało mu się szybko odnaleźć ich i zatrzymać. Oskarżeni dotychczas nie przyznali się do zbrodni, natomiast potwierdzili, że czekali na Ebingera i rozmawiali z nim właśnie tego tragicznego dnia. Porucznik Trent oświadczył, że jest absolutnie przekonany o ich winie.

Siedziałem na swoim krześle nieco zaniepokojony. Lucius Trent przemawiał zwięźle, precyzyjnie i ze swadą. Pewny siebie a zarazem skromny, często operował uśmiechem, który miał mu zjednać sędziów przysięgłych. Widziałem, jak kobieta z ławy przysięgłych dosłownie pożerała go oczyma.

Zeznanie porucznika Trenta było bez zarzutu. Widać było, do jakiego stopnia zadowoliło ono prokuratora, który z triumfującą miną ustąpił miejsca obronie.

Tim Fortee zbliżył się do oficera policji, siedzącego swobodnie w fotelu przeznaczonym dla świadków. Na jego twarzy malowała się

skromność typowa dla Murzyna, który odważa się zadać pytanie osobnikowi o białej skórze.

– Poruczniku Trent – powiedział – jest pan oficerem policji, człowiekiem o wielkiej sławie, cenionym i szanowanym w tym mieście. – Trent przyjął tę prawdę z twardym i podejrzliwym spojrzeniem. Fortee tymczasem kontynuował: – Dla nikogo nie jest tajemnicą, że jest pan prawą ręką szeryfa O'Malleya i że pan sam kieruje wydziałem zabójstw.

Lucius Trent sprawiał wrażenie coraz bardziej zniecierpliwionego.

– To moja praca – odpowiedział sucho. – Jestem szefem wydziału zabójstw.

Tim skłonił się z szacunkiem.

– Równocześnie jest pan bardzo blisko związany z panem prokuratorem, jeśli informacje moje są prawdziwe...

Mitchell poderwał się na nogi.

– Składam sprzeciw, wysoki sędzie! To jest tendencyjne pytanie, nie mające nic wspólnego ze sprawą!

– Proszę ściśle trzymać się meritum sprawy, panie Fortee – odezwał się surowo sędzia.

Tim rozpostarł ręce i zwrócił się do ławy przysięgłych:

– Wydaje mi się, że zostaną pociągnięty do odpowiedzialności za jakieś insynuacje, ale ja przecież chciałem tylko podkreślić, jak wielką wagę przywiązuję do opinii porucznika Trenta.

– To prawda. Luciusa Trenta znam ze szkoły – przerwał suchym, oficjalnym tonem prokurator – i ufam mu całkowicie. Ufam jego zawodowemu instynktowi.

Tim Fortee jeszcze raz ukłonił się z uśmiechem. Nie trzeba mu było niczego więcej.

– Dziękuję panu, panie prokuratorze – powiedział. – Wydaje mi się, że dowiodłem, do jakiego stopnia zdanie porucznika Trenta, który od początku do końca prowadził śledztwo, było decydujące w całej sprawie. A oto, panie poruczniku, pytanie, które pragnę panu zadać: czy wierzy pan, że list z pogrózkami, odnaleziony przez panią Ebinger w biurku jej męża, był napisany przez jednego z oskarżonych?

Trent zamyślił się chwilę nad odpowiedzią.

– List, o którym mowa – oświadczył – był napisany na maszynie firmy Remington, produkującej te maszyny w ogromnych ilościach w ciągu pięciu lat. Nie odnaleziono jej dotychczas; być może, została zniszczona. Osobiście uważam, że stoimy wobec faktu popełnienia morderstwa z premedytacją i to morderstwa starannie przygotowanego. List, którego tekst jest prosty, wręcz prymitywny, z pewnością napisany był przez jedno z oskarżonych! Wobec tego jednak, że nie posiadamy formalnego dowodu, zadecyduje o tym ława przysięgłych.

Nie mogłem otrząsnąć się ze zdumienia. A więc aż tak bardzo spieszą się z położeniem kresu następstwom sprawy Ebingera, że wręcz przychodzą z pomocą sędziom przysięgłym! Wyglądało na to, że przekazywano ławie przysięgłych piękny kwiatek; sugerowano wyraźnie: pozostawcie list w spokoju – to mógł być przypadek – nie zgódźcie się na premedytację, ale skażcie ich, przecież tylko o to nam chodzi.

Dobra jest ta sprawiedliwość w Springville, prawda?

– Ława przysięgłych zastanowi się niewątpliwie nad tym problemem – podsumował Fortee. – Przekona się przede wszystkim o zupełnym braku dowodów winy moich klientów.

\* \* \*

Na sali pojawił się stary Sam Briggs. Opowiedział on sądowi to samo co i mnie. Widać było, że bardzo się denerwował. Prokurator musiał wyciągać z niego słowo po słowie. Ogarnął mnie wstyd za tego Murzyna. Tim Fortee oświadczył skromnie, że nie zamierza zadawać żadnych pytań świadkowi. Naturalnie, spowodowało to szepty zdziwienia na sali. Zdziwił się nawet sędzia Cornwallis.

– Wysoki sędzie! – tłumaczył z powagą Tim. – Nie wątpię w słowa świadka. Nie kwestionuję obecności moich klientów w pobliżu domu Ebingera. A wobec tego, że świadek nie widział ich we wtorek, to jest w dniu morderstwa, nie widzę potrzeby, aby go dłużej przetrzymywać.

Cornwallis był starym rutyniarzem. Spojrzał na Tima, zastanawiając się prawdopodobnie, co też nowego wyciągnie z tej sytuacji mój przyjaciel w chwili, która będzie dla niego wygodna.

W fotelu dla świadków zasiadła pani Mayer, kierowniczka działu perfumerii domu towarowego Ebingera, przełożona Debbie. Była ubrana niezwykle starannie, z okazji procesu włożyła chyba swój najlepszy szary kostium, nawet udała się do fryzjera. A mimo to była bardzo zdenerwowana i miała rękawiczki w swoich pulchnych dłoniach.

Prokurator poprosił ją, aby opowiedziała, w jakich okolicznościach Debbie Simons została zwolniona z pracy. Hatty Mayer wyjaśniła, że od pewnego czasu remanenty w dziale perfumerii wykazywały pewne braki. Ginęły flakony perfum i importowanych wód toaletowych. W ciągu jednego tylko miesiąca straty domu towarowego

z tego tytułu wyniosły około stu pięćdziesięciu dolarów. Dyskretna kontrola, przeprowadzona na polecenie dyrekcji, ujawniła flakon francuskich perfum w kieszeni wiszącego w szafie palta Debbie Simons. Na prośbę pani Mayer dyrekcja zdecydowała się nie wnosić skargi, natomiast postanowiła z miejsca zwolnić winowajczynię.

Tym razem Tim nie zrezygnowała z pytań.

– Proszę pani – powiedział. – Czy widziała pani, jak Debbie Simons ukradła ten flakon perfum?

– Nie, nie widziałam.

– Ale uważa ją pani za winną?

– Nikt mnie nie prosił, abym powiedziała, czy była winna, czy nie była. Prokurator pytał mnie tylko o to, w jakich okolicznościach była zwolniona. Opowiedziałam.

– Zdziwiałam pani – zapewnił firm Fortee, patrząc na nią dobroduszenie. – W innych warunkach, mniej oficjalnych co prawda, nie ukrywała pani swoich odczuć na temat tych kradzieży.

Hatty Mayer była bardzo zdenerwowana. Czuła się dosłownie jak na mękach. Są ludzie, którzy panicznie boją się świadczyć przed sądem. Chyba całkiem zniszczy te swoje rękawiczki.

Przyglądałam się jej z zainteresowaniem. Jej zdenerwowanie wzrosło do tego stopnia, że nie zauważyła podstępu zawartego w pytaniu Tima.

– A któż miałby ukraść, jeśli nie ona? – powiedziała tonem wyznania. – Znam wszystkie moje sprzedawczynie od wielu lat, a ta młoda dziewczyna pracowała u nas zaledwie sześć miesięcy.

– Żywię nadzieję w imieniu pana prokuratora, że sąd przysięgłych oceni ten fakt jako wystarczającą poszlakę winy mojej klientki! – powiedział Tim z jawną złośliwością.

– Wydaje mi się, że zaczynamy oddalać się od tematu – przypomniał sędzia Cornwallis. – Kradzież w dziale perfumeryjnym jest tylko punktem wyjścia dla tego procesu. Dostarcza oskarżonym motywu do popełnienia zbrodni.

– Bardzo przepraszam, wysoki sędzie – wtrącił prokurator – wydaje mi się, że szanowany obrońca miesza sprawy. Kradzież perfum nie jest motywem morderstwa. Jest nim zwolnienie Debbie Simons z pracy. Przypominam również, że Debbie Simons nie odpowiada tutaj za kradzież perfum.

Wyobraźcie sobie! Winna czy niewinna, to nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że miała powód, aby razem ze swoim chłopcem zamordować Arnolda Ebingera. Ciekawa mentalność, prawda?

Hatty Mayer zamknęła listę świadków oskarżenia i prokurator Mitchell podsumował:

– Zupełnie celowo sprowadziłem na tę salę najmniejszą, jak tylko było to możliwe, ilość świadków oskarżenia. Wystarczyło mi wezwać tylko tych, którzy mogli stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że Debbie Simons i jej przyjaciel mieli wszelkie powody, aby nienawidzić Arnolda Ebingera. W ich oczach był on szefem, który wyrzucił na ulicę młodą dziewczynę. Samuel Briggs opowiedział wam o tym, jak oskarżeni czatowali przez parę dni na swoją ofiarę. Porucznik Trent, który prowadził śledztwo, wyraził tu, na tej sali, jako obrońca prawa i porządku swoje wewnętrzne przekonanie. Pannie i panowie sędziowie przysięgli! Ci młodzi ludzie, mimo że zaprzeczają, są winni zabójstwa Arnolda Ebingera! Od was będzie zależało, czy można wobec nich zastosować okoliczności łagodzące. Jako obywatel i jako prokurator tego stanu, muszę tutaj przypomnieć, że Michael Dolan i Debbie Simons zabili nie tylko Arnolda



Ebingera. Spowodowali również śmierć młodej Murzynki, która zginęła następnego dnia podczas zamieszek po tamtej stronie rzeki. Próbując przerzucić odpowiedzialność za swój czyn na terrorystyczną organizację murzyńską, naruszyli spokój tego kraju. Postawili przeciwko sobie dwie społeczności: białą i kolorową. Ławie przysięgłych nie wolno o tym wszystkim zapomnieć! Tylko dzięki wyjątkowej pracy porucznika Trenta, który doprowadził do aresztowania oskarżonych w siedemdziesiąt dwie godziny po dokonaniu morderstwa, uniknęliśmy najgorszego, uniknęliśmy prawdziwej katastrofy, zamieszek, które mogły zakończyć się jeszcze tragiczniej.

Prokurator usiadł. Sędziowie przysięgli kiwali głowami. Czekając, że na sali rozlegną się oklaski. Wszyscy bez wyjątku zrozumieli, do czego wzywał apel prokuratora.

Mówił on niedwuznacznie: jeżeli chcecie, aby Murzyni dali wam spokój, stwierdźcie, że ta para nieszczęśników zamordowała Ebingera. Skażcie ich, na jaką chcecie karę. To nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, aby rozeszła się wieść, że zbrodni dokonali biali.

Zadowolony z obrotu sprawy, doskonałej reakcji publiczności i ławy przysięgłych, sędzia Cornwallis zarządził przerwę.

Widziałem spojrzenie Michaela Dolana rzucone w stronę Tima Fortee. Było pełne pogardy i nienawiści. Ja na jego miejscu też uważałbym, że zarówno Murzyni, jak i biali są jednakowo zainteresowani w tym, aby z niego i z jego przyjaciółki zrobić kozły ofiarne społeczeństwa wychowanego w kłamstwie i hipokryzji.

## DELMER

Rozpoczęło się trzecie posiedzenie sądu. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Drodzy współobywatele naczytali się gazet, nasłuchali radia i naoglądali telewizji. Dowiedzieli się, że mordercy Arnolda Ebingerera są bronieni przez Murzyna, i natychmiast przypomnieli sobie, że przecież „Czarne Pantery” były w pierwszej chwili posądzone o ten mord.

Wszystko to wzbudziło ogromne zainteresowanie procesem. Przybiegły wszystkie zajmujące się domami kobiety, których mężowie tymczasem pracowali w pocie czoła, żeby wystarczyło do końca miesiąca. Wśród obecnych zauważyłem wielu moich współbraci.

I znów ten sam ceremoniał: wszyscy w milczeniu i stojąc na swoich miejscach wysłuchali sentencji sędziego Cornwallisa wznawiającego rozprawę i udzielającego głosu obronie.

Przede mną para młodych ludzi o zgnębionych twarzach. Wiedzieli, że tego dnia zdecyduje się ich los. Nie ufali już nikomu. Poprzedniego dnia prokurator z niezwykłą zręcznością robił wszystko, aby nie zadawać im pytań. Chodziło o to, aby Mike i Debbie, zanim zaczną zeznawać, mieli przeciwko sobie opinię całego miasta.

Wszyscy oczekiwali, że Tim Fortee zażąda, aby oskarżeni wystąpili w roli świadków na własnym procesie. Ale tu nastąpiła sensacja: adwokat zapowiedział, że najpierw on sam wygłosi wstępne oświadczenie, a potem będą zeznawać świadkowie obrony.

Przedstawił okoliczności, w jakich owej fatalnej środy znaleziono ciało Arnolda Ebingerera, i opisał przebieg wydarzeń tego dnia.

– Panie i panowie przysięgli! – powiedział. – Szeryf O'Malley i porucznik Trent przyjechali natychmiast do posiadłości Ebingerów, bo taki był ich obowiązek. Czekala tam na nich głęboko poruszona wdowa po Arnoldzie Ebingerze. Pokazała im znaleziony poprzedniego dnia w biurku swego męża list z pogrózkami. Według niej był on powodem zdenerwowania jej męża w ciągu ostatnich dni. Cóż się wówczas wydarzyło? Za pośrednictwem prasy, radia i telewizji list ten został natychmiast podany do wiadomości publicznej! Pojawiły się napastliwe artykuły wstępne; niektóre z nich niemal nawoływały do mordowania.

W sali rozległ się wrogi poszum. Tim Fortee spokojnie czekał na ciszę. Sędzia Cornwallis z wściekłością uderzał młotkiem w stół.

– Zwalniam obronę od tych rozważań politycznych! – krzyknął. – Niech obrona trzyma się ściśle faktów dotyczących tego procesu!

– Nikt nie może – odpowiedział spokojnie mój przyjaciel Tim – wolnemu obywatelowi tego wolnego kraju zabronić przypominania bolesnych wydarzeń, które wstrząsnęły naszym miastem następnego dnia po śmierci Arnolda Ebingera! Były to wydarzenia bezpośrednio związane z tym procesem, gdyż prokurator oskarżył wczoraj moich klientów o spowodowanie zamieszek po tamtej stronie rzeki. Uważam, że odpowiedzialni za te zamieszki są ci, którzy nie zastanawiając się, podali do wiadomości publicznej treść dokumentu, pomimo że jego jakikolwiek związek z morderstwem nie był wówczas jeszcze ustalony. Odpowiedzialni za to są ci, którzy oskarżyli ekstremistyczną organizację murzyńską, zanim jeszcze porucznik Trent zakończył śledztwo!

Znów się zakotłowało. Czarni i biali patrzyli na siebie złym okiem. Westchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem policjantów, którzy

pojawił się na sali, aby rozdzielić ewentualnych przeciwników. Sędzia Cornwallis, którego twarz przybrała kolor fioletowy, zagroził usunięciem publiczności.

Tim Fortee wyciągnął ramiona w stronę ławy przysięgłych.

– Proszę się uspokoić – powiedział. – Zakończyłem ten temat. Dzięki Bogu porucznik Trent prowadził śledztwo... Tego samego wieczora, kiedy według słów pana prokuratora znajdowaliśmy się na skraju katastrofy i kiedy odbywał się pogrzeb Arnolda Ebingera, porucznik Trent przedstawił morderców tego wielkiego człowieka. I oto macie przed sobą, sędziowie przysięgli, dwoje młodych ludzi, a raczej dwoje dzieci, które są oskarżone o zbrodnię.

\* \* \*

Kapelusz z głowy, Tim! Wygrałeś. Masz ich w ręku. Wszyscy jak urzeczeni zawiśli wzrokiem na twoich ustach. Kobieta z ławy przysięgłych patrzy na ciebie ze łzami w oczach. Jedyne Murzyn nienawidzi cię, bo czuje, że będziesz próbował dowieść niewinności tych dwojga białych. Prokurator przegląda swoje papiery, a Lucius Trent, szef wydziału zabójstw, z zaciśniętymi wargami czeka na dalszy ciąg... Na sali cisza.

– Wystarczyło, że Michael Dolan i Debbie Simons zostali aresztowani – ciągnął Tim Fortee – aby jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w Springville zapanował spokój. Zresztą czas był po temu najwyższy. Nie tylko dlatego, że sytuacja groziła eksplozją, i to eksplozją krwawą, ale także dlatego, że ludzie na wysokich stanowiskach marszczyli czoła. Biały Dom spogląda na Springville, a wybory są blisko...

– Wnoszę sprzeciw, wysoki sędzie! Obrona pozwala sobie na niedopuszczalne insynuacje w stosunku do władz tego kraju.

– Sprzeciw zostaje przyjęty – ochryplym głosem stwierdził sędzia.

– Ja niczego nie insynuuję – zaprotestował Fortee. – Konstatuję tylko, że zakończenie wspianego śledztwa, które prowadził porucznik Trent, nastąpiło w chwili niezwykle szczęśliwej i doprowadziło do spokoju po tamtej stronie rzeki. I to wszystko. Choć niezupełnie, pragnę bowiem jeszcze dodać, że doskonale rozumiem władze naszego okręgu, które prowadziły sprawę i postawiły moich klientów przed sądem, nie czekając nawet na to, aby przyznali się do winy.

– Do rzeczy, do rzeczy, panie Fortee! – wrzasnął sędzia Cornwallis, wycierając wielką chustą spoconą twarz.

– Ależ, wysoki sędzie, właśnie dochodzę do rzeczy! Moi młodzi klienci nie przyznali się do winy. Z punktu widzenia prawa amerykańskiego jest to olbrzymi błąd. Nadeszła chwila, abym w odpowiedzi na teorię pana prokuratora przedstawił fakty tak, jak je widzą ci młodzi ludzie. Debbie Simons została zwolniona za kradzież w domu towarowym Ebingera, gdzie pracowała w dziale perfumerii. To bardzo ciężkie oskarżenie, wysoki sędzie. Oznacza ono, że jeżeli nawet dyrekcja przedsiębiorstwa na prośbę wspianej pani Mayer nie wniesie skargi, Debbie będzie bardzo trudno znaleźć pracę... Debbie twierdzi, że jest niewinna. Mówi o tym swojemu narzeczonemu, Michaelowi Dolanowi, który decyduje: „Nie jesteś winna, trzeba wobec tego pójść i poskarżyć się osobiście panu Ebingerowi”. Młodzi ludzie idą do niego. Ich jedynym celem jest przekonanie właściciela

przedsiębiorstwa, aby cofnął decyzję powziętą w stosunku do Debbie. Innymi słowy, oznacza to, że zarówno dla Debbie, jak i dla Michaela było niezwykle ważne, aby Arnold Ebinger żył i mógł przeprowadzić swoją wolę. W ten sposób motyw zbrodni, jaki przedstawia oskarżenie, całkowicie upada.

– Proszę mi wybaczyć, wysoki sędzie – przerwał prokurator. – Opowiada się nam tutaj bajeczki! Pragnie się nas przekonać, że Debbie Simons jest młodą, uczciwą dziewczyną, która nigdy nic w życiu nie ukradła. Ale przecież sąd wysłuchał zeznań jej przełożonej, pani Mayer.

Tim Fortee uklonił się z godnością, jak iluzjonista przed wielkim numerem.

– Prokurator żąda skazania na podstawie poszlak. Ja nie będę domagał się niczego innego, jak tylko oparcia się na oficjalnych zeznaniach świadków i na niepodważalnych dowodach! Proszę sobie przypomnieć, że Debbie Simons została zwolniona z domu towarowego, gdyż w kieszeni jej palta, wiszącego w szatni, znaleziono flakon perfum. Nikt jednak nie widział, że ona go tam włożyła. Proszę sąd o wezwanie świadka, pani Betty Owen!

\* \* \*

Wiem, że zarzucacie mi, iż ciągle obracam się wśród Murzynów i Murzynek. Zgoda! Miałem jednak zaledwie dziewięć dni na przeprowadzenie całego dochodzenia. Naturalnie, gdybym miał więcej czasu, mógłbym znaleźć świadka bardziej reprezentacyjnego. Byłem jednak szczęśliwy, że odkryłem tę kolorową dziewczynę.

Ma jakieś trzydzieści-trzydzieści dwa lata Jest okrągłutka, a jej skóra ma kolor kawy z mlekiem. Przyszła ubrana w różowy kostium,

podkreślający wszystkie wypukłe miejsca jej ciała. Betty to eleganka. Nie ulega to żadnej wątpliwości! A w dodatku bardzo zadbana. Gdybyście jak ja mieli okazję przechodząc koło niej poczuć woń jej perfum, zrozumielibyście, co mam na myśli.

Usiadła w fotelu dla świadków i obdarzyła mnie czarnym spojrzeniem. Gdybyście wiedzieli, ile się namęczyłem, aby sprowadzić ją na tę salę!

Sędzia Cornwallis zadał jej kilka pytań na temat danych personalnych, potem złożyła przysięgę i dopiero wówczas przystąpił do dzieła Tim Fortee.

– Szanowna pani Owen, z zadowoleniem konstatuje fakt, że jest pani osobą bardzo elegancką – stwierdził jakby od niechcienia. – Wineszuję pani z tego powodu, jak również pani mężowi, który jest?...

– Szefem biura urzędu pocztowego – odpowiedziała próbując nadać twarzy dostojny wyraz.

– Naturalnie – ciągnął dalej mój stary druh, Tim – pan Owen musi szczyścić się tym, że jego żona zwraca powszechną uwagę. Zresztą nie ma się czemu dziwić!... Czy kupuje pani od czasu do czasu zagraniczne perfumy po przystępnych cenach?

Pulchna Betty od razu uderzyła w sedno sprawy.

– Przecież nie wiedziałam, że to są kradzione perfumy! Myślałam że osoba, która mi ich dostarczała, otrzymywała je po konkurencyjnych cenach.

– Nikt do pani nie ma o to pretensji – zapewnił Tim. – Każdy na pani miejscu zrobiłby to samo. Prosiłbym jednak, aby nam pani teraz powiedziała, kto sprzedawał jej perfumy po cenach niższych niż rynkowe?

Betty zawahała się. Spojrzała na mnie. Rozumiała, że mam ją w ręku. Wiedziała, że jeżeli teraz się nie przyzna, wniosę przeciwko niej skargę. Cóż miała robić?

Westchnęła głęboko.

– To pani Mayer!

W sali zapanowało podniecenie. Sędziowie przysięgli spojrzeli po sobie. Odwróciłem się. Wśród obecnych nie zauważyłem jednak pani Mayer.

– A więc, szanowni sędziowie przysięgli – zawołał mocnym głosem Tim Portee. – Złodziejką była pani Mayer! Jej przestępcza działalność trwała wiele miesięcy. Kiedy wyczuła, że może zostać zdemaskowana, poszukała sobie ofiary. Miała pod ręką rzadkiego ptaszka: młodą, biedną dziewczynę, pracującą w domu towarowym zaledwie kilka miesięcy. Wystarczyło wsunąć do kieszeni jej palta flakonik z perfumami i sprawa była załatwiona!

Prokurator jeszcze raz wyskoczył zza swojego stołu niczym diabełek z pudełka.

– To jest haniebne oskarżenie, którego nie można tolerować! – zawołał.

Tim uklonił się znów sądowi i powiedział:

– Żałuję, że nie ma już na sali pani Mayer. Mogłaby się wówczas sama bronić. Zawsze jednak ma możliwość złożenie przeciwko nam skargi, tylko że wówczas dostarczymy dyrekcji domów towarowych i policji dokumenty stwierdzające, że jednym z powodów trudności występujących w domach towarowych, kontrolowanych przez Arnolda Ebingerera, były poważne kradzieże, doskonale zresztą zorganizowane. Pani Mayer i dział perfumeryjny – to tylko jeden z przypadków. Szanowni sędziowie przysięgli! Moi młodzi klienci opowiedzieli o tym Arnoldowi Ebingerowi! Umówił się on z nimi na środę, 8 października, po to, by skonfrontować Debbie z panią Mayer... Moi młodzi klienci nie weszli na teren posiadłości. Byli zadowoleni ze spotkania i krótkiej rozmowy z Ebingerem. Z niecierpliwością oczekiwali następnego dnia.



\* \* \*

Koniec przemówienia zginął we wrzawie, jaka zapanowała na sali. Niektórzy twierdzili, że to wymysł obrony, większość jednak uwierzyła wywodom Tima. Sędzia Cornwallis bezustannie uderzał młotkiem w stół. Na sali znów pojawili się policjanci, aby przywrócić spokój. Zmieszany prokurator konferował ze swoimi pomocnikami. Porucznik Trent, obrzucając mnie jadowitym spojrzeniem, zbliżył się do jego stołu. Zauważyłem między nimi ostrą wymianę zdań. Oczywiście, prokurator zarzucił Luciusowi, że nie zbadał sprawy kradzieży w domach towarowych, a Trent pytał, czy wymagano od niego pracy szybkiej czy dobrej.

Tim Fortee wyciągnął papierosa. Podałem mu ogień. Byłem zadowolony z obrotu sprawy. Wygraliśmy pierwszą rundę spotkania. Poczułem, że Tim nabiera zaufania do siebie samego.

Szczególną przyjemność sprawił mi fakt, że na twarzach młodych oskarżonych pojawił się uśmiech. Patrzyli na siebie tak czule i słonecznie. Michael Dolan jak gdyby zaczynał domyślać się powodu mojej obecności na sali. Klepnąłem go przyjaźnie w ramię.

Tymczasem dziennikarze szaleli. Sędzia zarządził przerwę w rozprawie.

\* \* \*

Po południu jako pierwszy zabrał głos prokurator, skrytykował „reklamarskie” metody obrony i prosił sąd o przywołanie adwokata do porządku.

Pomyślałem, że jednak Mitchell jest człowiekiem naiwnym, jeśli wyobraża sobie, że uda mu się doprowadzić do skazania młodych

ludzi tylko na podstawie przypuszczeń i nikłych poszlak.

Tim Fortee czuł się silny po swoim porannym zwycięstwie.

– Wysoki sędzie! – powiedział z szacunkiem.

– Staralem się wykazać, że Michael Dolan i Debbie Simons nie mieli żadnego powodu, aby dokonać zamachu na życie Arnolda Ebingera. Wręcz przeciwnie. Stwierdzam: należy im wierzyć, gdy mówią, iż pożegnali się z Ebingerem, zanim ten wszedł na teren swojej posiadłości i że nie mają nic wspólnego z anonimem, który pani Ebinger pokazała detektywowi Richardowi Bensonowi, a następnie oficerom policji, prowadzącym dochodzenie w sprawie śmierci jej męża. Mógłbym się tym zadowolić i zwracając się do sądu przysięgłych powiedzieć: przypuszczenie za przypuszczenie; przyznajcie, że szala wagi przechyla się na korzyść niewinności, a nie winy. Ale to są rozważania czysto teoretyczne. Jeżeli Debbie Simons i Michael Dolan nie zamordowali Arnolda Ebingera, oznacza to, że czynu tego dokonał ktoś inny! Moją powinnością jako obrońcy, jest dowieść tego, aby uniewinnić moich klientów. Ale czy tylko z tego powodu jest to moim obowiązkiem? Nie! Jest to mój obowiązek, jako obywatela tego miasta, współodpowiedzialnego za to, co się w tym mieście stało po zabójstwie Ebingera!

Na sali zapanowała absolutna cisza. Wszyscy oczekiwali nowych sensacji. Jak tak dalej pójdzie, Tim Fortee stanie się jeszcze tego wieczora najsławniejszym człowiekiem od Atlantyku po Ocean Spokojny!

– Wiemy mniej więcej wszystko o tym, w jaki sposób Arnold Ebinger został zamordowany, oraz nieobce są nam konsekwencje tego faktu. Znamy też testament zmarłego. Wiemy, że pozostawił cały swój majątek, z wyjątkiem posiadłości szacowanej na trzydzieści tysięcy dolarów, swojej córce, pani Lee. Wiemy również, że posiadłość tę otrzymała jego żona, na rzecz której ubezpieczył się on

sumę stu tysięcy dolarów. Pozostaje tylko stwierdzić, czy dyspozycje te byłyby takie same, gdyby Arnold Ebinger żył jeszcze kilka dni.

– Sprzeciwiam się, wysoki sędzie – zawołał prokurator. – Obrona wciąga nas w spekulacje, które nie mają nic wspólnego z procesem.

– Podtrzymam pański sprzeciw, panie Mitchell – odpowiedział suchym głosem sędzia Cornwallis – gdy będę wiedział, do czego obrońca zmierza. Proszę mu pozwolić skończyć zdanie.

Wybuchła bomba! Był to znak, który nikogo nie zmylił; sędzia zmienił stanowisko!

– Dziękuję bardzo, wysoki sędzie – uspokoił się Tim. – Właściwie skończyłem, chciałem tylko prosić o wezwanie mojego kolejnego świadka, pana Nathaniela Gibsona.

Gibson był niskim, łysym, tłuściutkim człowieczkiem o uśmiechniętej twarzy.

– Panie Gibson, był pan agentem ubezpieczeniowym pana Ebingera?

– Tak jest – odpowiedział z godnością zapytany.

– Moje biuro wydawało polisy na wszystkie jego nieruchomości, także na posiadłość, samochody itd.

– Pan również wystawiał polisę, w której ubezpieczył się na życie.

– Tak jest – potwierdził znowu Gibson. – Sporządził on ją w roku 1963, kiedy zawarł związek małżeński.

– O ile mi wiadomo, był pan w doskonałych stosunkach z panem Ebingerem, a polisa na sto tysięcy dolarów jest dużym kontraktem, prawda? Czy pański klient komentował w jakiś sposób powód, dla którego ubezpieczył się na tak wysoką sumę?

– Tak. Wy tłumaczył mi swoją sytuację. Ożenił się po raz wtóry, ale uważał, że jego majątek powinna dostać córka, gdyż jej matka dzięki posagowi miała w nim poważny udział. Z uśmiechem stwierdził, że swojej młodej żonie pozostawi polisę ubezpieczeniową i dach nad głową. „Jeżeli umrę wcześniej” – powiedział – „będzie ona dobrze wyposażoną wdową; jeśli w dniu mojej śmierci będzie ona starą kobietą, nie będzie potrzebowała dużo”. Mimo to zaproponował szereg warunków, między innymi ten, aby ubezpieczenie mogło być przekazywane pani Ebinger w formie pensji.

– Wiemy o tym wszystkim, wysoki sędzie, to tylko strata czasu – przerwał prokurator.

– Cierpliwości, panie Mitchell – uspokoił go sędzia. – Będzie pan miał okazję do zadawania pytań świadkowi.

Stary Delmer zaczął mi się naprawdę podobać. Wydawało się, że przeczuwa zakończenie procesu. Tim Fortee zadał teraz zasadnicze pytanie:

– Czy podpisywał pan ostatnio umowę ze swoim klientem, Arnoldem Ebingerem?

Gibson z zadowoleniem poprawił się w fotelu.

– Naturalnie! Pan Ebinger zadzwonił do mnie osobiście w czwartek, 2 października, prosząc, abym przybył do niego w dniu następnym. Termin ten był dla mnie bardzo niewygodny, gdyż miałem udać się do Denver, do dyrekcji towarzystwa ubezpieczeń, które reprezentuję. Umówiliśmy się, że spotkamy się w jego biurze w środę, 8 października.

– Czy powiedział panu, o co mu chodziło?

– Tak. Oświadczył mi, że chciałby zmienić pewne warunki swojej polisy ubezpieczeniowej.

– Dziękuję panu bardzo, panie Gibson.

Tim zakończył i w tej samej chwili prokurator zaczął atakować świadka.

– Panie Gibson – warknął ze złością – czy pan Ebinger powiedział panu, w jakim sensie zamierza zmienić swoją polisę ubezpieczeniową?

– Nie, proszę pana. Zresztą na tym etapie nie to było dla mnie najbardziej interesujące. Chodziło mi tylko o określenie rodzaju sprawy, abym mógł przygotować odpowiednie materiały; tylko to było dla mnie ważne.

– A więc, innymi słowy, pan Ebinger mógł podwyższyć sumę ubezpieczenia?

– To jest zupełnie możliwe, proszę pana. Wielu klientów robi tak w tej chwili, obawiając się inflacji.

– To wszystko, panie Gibson – stwierdził prokurator i dumny usiadł za swoim stołem.

Skupienie, a zarazem napięcie sędziów przysięgłych, przedstawicieli prasy i publiczności były niemal namacalnie wyczuwalne. Trudno było odgadnąć, w jakim kierunku potoczą się wypadki.

\* \* \*

Kolejny świadek obrony ma lat czterdzieści, jest wysoki i szczupły, ma wydatny nos i smutny wyraz twarzy. Przez moment nasze spojrzenia skrzyżowały się, szybko odwrócił głowę, jak gdyby obawiał się, że ktoś zauważy ten znak porozumiewawczy między nami. Przez tego człowieka musiałem spędzić dobrych kilka godzin w samolocie, a jego przyjazd do Springville kosztował nas sporo dolarów. Ale jak mówił któryś z generałów: nie ma nic za darmo.

Nastąpiły normalne formalności, zaprzysiężenie i Tim ruszył do dzieła.

– Panie Robercie Murdoch, jest pan adwokatem w pięknym

mieście Reno, w stanie Nevada, i jeśli się nie mylę, do pańskiej specjalności należą sprawy rozwodowe?

Murdoch skromnie spuścił głowę i potwierdził cichym głosem.

– Zdaje się, że pan znał Arnolda Ebingera, ofiarę morderstwa, o które oskarżeni są ci młodzi ludzie? Oto jego fotografia. Czy poznaje go pan?

– To zdjęcie jest zupełnie niepotrzebne – powiedział już zupełnie opanowany adwokat. Znana mu przecież atmosfera sali sądowej ośmieliła go. – Rozpoznałem pana Ebingera na zdjęciach zamieszczanych w dziennikach i w telewizji w związku z jego tragiczną śmiercią.

– Kiedy i w jaki sposób poznał go pan?

– Zjawił się u mnie 25 września w celu uzyskania porady. Powiedział mi, że skorzystał z okazji; załatwiał w Reno jakieś interesy.

– W jakiej sprawie chciał się pana poradzić, panie Murdoch? – zapytał Fortee.

– Miał zamiar rozwieść się – odpowiedział spokojnym głosem kochany kolega po fachu.

Moi drodzy przyjaciele, takiej historii nie było jeszcze na sali sądowej w Springville! Ze wszystkich stron słychać było okrzyki! Dziennikarze wyskoczyli ze swych miejsc i „popędzili do telefonów. Mimo obowiązującego w sali sądowej zakazu fotografowania, błysnęły flesze. Sędzia Cornwallis nawet nie próbował przywracać porządku na sali. Wstał, przerwał posiedzenie i wycofał się do swego gabinetu, zapraszając sędziów przysięgłych, aby zrobili to samo.

Przerwa w rozprawie była jedynym wyjściem z sytuacji, która wytworzyła się na sali. Przy stole prokuratora Mitchella głośno dyskutowano; w obozie nieprzyjaciół zapanowała panika. Musieli rozstrzygnąć problem taktyczny: czy mają prosić o odłożenie rozprawy na inny termin w celu zebrania informacji, czy dążyć, aby trwała dalej.

\* \* \*

– Zadowolony jesteś, Dick? – spytał mnie Tim Fortee, zapalając papierosa i podając mi ogień.

Zaciągnąłem się głęboko i wypuściłem dym.

– Wydaje mi się, że wszystko leci nieźle – odpowiedziałem jakby od niechcienia. – Muszę przyznać, że bronisz się jak lew!

Debbie Simons położyła rękę na mojej dłoni.

– To pan, prawda? Niech pan nam powie, że to właśnie pan rozgryźł to wszystko. Gdyby pan wiedział! Mike i ja zaczynamy mieć nadzieję.

– To dobrze. Wybraliście najlepszego adwokata. Proszę mi wierzyć, że tylko pan Fortee mógł was wyciągnąć z tej sytuacji.

Mała pożerała mnie oczyma. Miałem wrażenie, że gdybym pozwolił, uwiesiłaby się na mojej szyi. Na szyi Murzyna. Czy wiecie, co to znaczy?

Przy moim boku pojawiła się nagle Luiza Wright. Była zadyszana. Prawdopodobnie biegła. Biedna, dyżurowała w biurze i, niestety, nie mogła być obecna przy najciekawszych momentach procesu.

– Radio przerwało audycję i podało informację z sali! Znosi się na specjalne wydanie dziennika.

Chyba nie myliła się. Za nami niecierpliwili się przedstawiciele prasy. Mieli już dość przerwy.

I znów pojawili się sędziowie przysięgli. Kobieta z ławy przysięgłych obrzuciła Mike'a i Debbie spojrzeniem pełnym tkliwości. Porucznik Trent przyłączył się r do sztabu prokuratora. Starannie unikał mojego spojrzenia. Był bladym i skupionym. Wreszcie wkroczył sędzia Cornwallis. Wszyscy wstali. Sędzia uprzedził publiczność, że jeżeli będzie się tak zachowywała jak przed przerwą, poprowadzi sprawę

przy drzwiach zamkniętych. Słowa jego wywarły wrażenie na obecnych. Zapanowała cisza.

Murdoch założył nogę na nogę. Przyglądał się uważnie Timowi.

– A więc, kochany kolego – rozpoczął Fortee – pan Ebinger miał zamiar rozwieść się. Czy powiedział panu dlaczego?

– Naturalnie. Przecież musiałem o wszystkim wiedzieć, jeśli miałem mu poradzić, w jaki sposób powinien wystąpić o rozwód.

– Co było powodem, dla którego pan Ebinger chciał się rozwieść?

– Powiedział mi, że żona go zdradza.

Nowa bomba! Na sali narastał szum. Stwierdzono już, że Janice Ebinger jest nieobecna. Fotoreporterzy klęli. Sędzia Cornwallis uderzał jak wściekły młotkiem o stół, ale nie zapowiadał już przerwania rozprawy. Podobnie jak wszyscy umierał z ciekawości, by poznać ciąg dalszy.

– Panie Murdoch – zapytał Tim Fortee, kiedy na sali zapanował względny spokój – czy pan Ebinger powiedział panu, z kim zdradzała go żona?

– Nie, proszę pana. Powiedział mi tylko, że doskonale zna tę osobę, że wszystko o niej wie. Ale nie podał mi jej nazwiska.

– Czy to nie wydaje się dziwne? – brwi Tima powędrowały do góry.

– Nie, proszę pana. To mnie nie interesowało – powiedział Murdoch. – Proszę zrozumieć: Arnold Ebinger konsultował się ze mną na temat procedury. Powiedziałem mu, że powinien złożyć skargę, ale aby miała ona swoją moc i wagę, winna być podbudowana dowodami. Pan Ebinger podziękował, wpłacił zaliczkę, aby zapewnić sobie moje usługi, i powiedział, że skontaktuje się ze mną, jak tylko uzyska dowody potrzebne do przeprowadzenia sprawy rozwodowej.

– Czy miał pan później jakieś wiadomości?



– Tak, proszę pana. Pan Ebinger powiadomił mnie telefonicznie 2 października, że przyjedzie do mnie do Reno 9 albo 10 tego miesiąca. Powiedziałem mu, że ułożę swoje sprawy tak, abym mógł poświęcić mu godzinę któregoś z tych dni.

– Dziękuję panu, panie Murdoch – powiedział Tim Fortee, siadając na swoim krześle.

– Czy prokurator pragnie zadać pytania świadkowi? – spytał sędzia Cornwallis.

– Nie, wysoki sędzie – oświadczył z ponurą miną Mitchell. – Prosiłbym jednak, aby świadek nie opuszczał miasta. Chciałbym zadać mu kilka pytań podczas jutrzejszej rozprawy.

– Czy pan słyszał, panie Murdoch? – spytał sędzia. – Pańskie koszty zostaną zwrócone przez sąd. Proszę poprosić następnego świadka obrony... Johna Banckrofta.

John Banckroft, wiecznie śmiejący się mężczyzna, któremu Bóg nie poskąpił wagi ani tłuszczu, miał zadać decydujący cios.

– Czym pan się trudni, panie Banckroft? – zapytał grzecznie Tim.

– No, cóż... – odpowiedział drapiąc się w głowę. – Jestem kupcem.

– W jakiej branży?

– W każdej. Zajmuję się okazjami. Interesuje mnie wszystko, co można sprzedać albo kupić.

– Czy można by było nazwać pana... hurtownikiem starzyzny?

– No, jeśli pan chce – Banckroft znów się uśmiechnął.

– Czy zdarza się panu kupować lub sprzedawać maszyny do pisania?

– Naturalnie.

– Czy ostatnio coś takiego wydarzyło się?

– Tak, proszę pana. Kupiłem większą ilość maszyn do pisania

w zarządzie miejskim. Były przeznaczone na złom. Biura zarządu miejskiego zakupiły sobie nowe maszyny. Elektroniczne.

Zamknąłem oczy... Zobaczyłem się znów w szopie tego jegomościa, który pozwolił mi przejrzeć wszystkie maszyny. Pisałem na każdej z nich, aż wreszcie znalazłem tę, która miała lekko uszkodzoną literę „p”. Tim dał mi znak. Nachyliłem się i wyciągnąłem ciężkie pudło. Postawiłem je na stole. Z pudła wyjąłem maszynę do pisania.

– Czy ta maszyna była również wśród tych, które zakupił pan w zarządzie miejskim? – spytał Tim.

– Tak, proszę pana.

Tim uprzedził od razu zastrzeżenie oskarżenia:

– W jaki sposób może być pan tego pewien?

– To bardzo proste... Człowiek, który postawił ją na stole, jest tym, który przyszedł do mnie i kupił ją po wypróbowaniu wszystkich maszyn, pochodzących z zarządu miejskiego.

Na sali znów zaszumiało. Wszyscy wstali. Kiedy wreszcie sędzia Cornwallis doprowadził do tego, że w sali uspokoiło się i każdy zajął już swoje miejsce, zauważyłem kogoś obok prokuratora. Szepnąłem o tym Timowi, który natychmiast poprosił o głos.

– Dochodzimy obecnie do kulminacyjnego punktu obrony, wysoki sędzie – powiedział. – Aby nie przeciągać procesu, proponuję nie wzywać już innych świadków prócz... pana Richarda Bensona.

## DICK

Napięcie za moimi plecami rośnie z każdą sekundą. Zająłem miejsce w fotelu dla świadków i złożyłem przysięgę.

– Panie Benson – powiedział ceremonialnie mój stary przyjaciel – jest pan prywatnym detektywem. Zwróciła się do pana pani Ebinger, następnie zaś parafia Świętych Dnia Ostatniego. Prowadził pan dochodzenie równoległe z policją. Aby oszczędzić czasu zarówno sądowi, jak i panu, nie będę zadawał pytań. Proszę opowiedzieć sądowi przebieg pańskiego dochodzenia.

Muszę się przyznać z całą szczerością, że nie bardzo lubię przemawiać publicznie. Ale cóż było robić...

– We wtorek, 7 października – rozpocząłem – pani Janice Ebinger przysłała do mego biura i pokazała mi list z pogrózkami, skierowany do jej męża i podpisany przez „Czarne Pantery”. Powiedziała mi, że jako kolorowy będę miał większe szanse skontaktować się z autorami tego listu i umożliwić jej przekazanie tymże autorom, że się mylą, gdyż jej mąż nigdy nie był i nie jest rasistą. Była bardzo zdenerwowana. Poprosiłem ją o dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Pani Ebinger stanowiła dla mnie podwójny problem. Przede wszystkim była moją pierwszą białą klientką, po drugie, żądała ode mnie ni mniej ni więcej tylko nawiązania kontaktu z nielegalną grupą terrorystyczną. Tego samego wieczora wracając do domu zostałem zaatakowany przez trzech białych rzezimieszków, którzy wymyślając mi od wstrętnych czarnuchów, pobili mnie i na zakończenie poradzili, abym nie mieszał się do cudzych spraw. Tego dnia usiłowałem zebrać informacje o panu Ebingerze i o tym, jakie do niego mogły być pretensje. 8 października znaleziono, jak o tym wie wysoki sąd, ciało Arnolda Ebingera. Został zamordowany poprzedniego dnia, dokładnie w tym samym czasie, kiedy jego żona znajdowała się u mnie. Pani Ebinger pokazała policji list z pogrózkami. O liście tym

dowiedziała się prasa. W dwie godziny później całe Springville było przekonane, że Ebinger został zamordowany przez „Czarne Pantery”. Tego samego wieczora udało mi się dostać w swoje ręce szefa bandy, która pobiła mnie poprzedniej nocy. Odpląciłem mu pięknym za nadobne, a wówczas przyznał się, że działał na polecenie pana Ebingera, który zadzwonił do niego 7 października około godziny osiemnastej czterdzieści pięć. Ebinger rozkazał mi, aby mi wytłumaczył, że lepiej dla mnie będzie, jeżeli przestanę się nim interesować. W pierwszej chwili nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi. Tego samego wieczora nagonka na „Czarne Pantery” doprowadziła do wybuchu poważnych zamieszek po tamtej stronie rzeki. Zacząłem się zastanawiać nad całą sprawą i doszedłem do wniosku, że Arnold Ebinger nie mógł wydać niejakiemu Skinny'emu Dombsowi telefonicznego polecenia, aby mi dał nauczkę, dlatego że od kilkunastu minut już nie żył. Poza tym, gdyby nawet żył, nie mógł przecież wiedzieć, że w tym czasie odbędę przechadzkę po kilku lokalach przez niego kontrolowanych. Innymi słowy, jeśli do Skinny'ego nie telefonował Arnold Ebinger, musiał to zrobić ktoś inny. Ten fakt spowodował, że następnego dnia zgodziłem się na misję, którą powierzył mi w imieniu swoich parafian pastor Borden z kościoła Świętych Dnia Ostatniego. Pastor zdawał sobie sprawę, że „Czarne Pantery” nie mogą być zamieszane z morderstwem. Poleciał mi odkryć prawdę, bez względu na to, jaka ona jest, aby w ten sposób rozładować napięcie panujące w mieście. Kiedy zgodziłem się na tę propozycję, aresztowano Michaela Dolana i Debbie Simons.

– Ale mimo to kontynuował pan swoją misję – wtrącił Tim For-  
tee tylko po to, aby pozwolić mi odetchnąć. – Czy dlatego, że nie

wierzył pan w winę tych dwojga młodych ludzi?

Wzruszyłem ramionami.

– Przyznam się, że wówczas nie miałem jeszcze wyrobionego sądu. Nie znałem ich. Moim zadaniem było odkrycie prawdy. Szukałem więc jej, prowadząc dochodzenie przy pomocy świadków, jakimi dysponowałem. Naturalnie, w politycznym klimacie Springville aresztowanie tych młodych ludzi było szczęśliwym przypadkiem. Zamieszki ustały.

– Protestuję, wysoki sędzie! – zawołał prokurator. – Ten człowiek obraża sprawiedliwość. Insynuuje, że policja kierowała się względami politycznymi!

– Przyjmuję protest – powiedział sędzia Cornwallis. – Panie Benson, nie ma pan prawa do wyciągania takich wniosków z niektórych elementów pańskiego śledztwa.

\* \* \*

Poczekiałem chwilę, aż sala uspokoi się. Wiedziałem, że ryzykuję bardzo wiele. Wiedziałem, że wychodząc z tego gmachu, będę musiał oglądać się na lewo i na prawo. Musiałem jednak brnąć dalej.

– Wysoki sędzie, sędziowie przysięgli! Wiem doskonale, że moja forma składania zeznań odbiega od przyjętej w sądzie. Ja jednak obrałem ją świadomie i po to, by wyjaśnić sprawę. Nie insynuuje, że policja kierowała się względami politycznymi. Wprost przeciwnie: twierdzę tak, bo mam na to dowody! Oto w jaki sposób i dlaczego morderstwo zostało dokonane. Wszystkim znana jest ostatnia wola Arnolda Ebingera. Jego agent ubezpieczeniowy, świadek Gibson,

stwierdził tu pod przysięgą, że Arnold Ebinger zamierzał zmienić polisę ubezpieczeniową. Dlaczego? Bo odkrył, iż żona zdradza go! Wiedział z kim. Na nieszczęście dla niego jego żona i jej kochanek byli doskonale o wszystkim poinformowani, wiedzieli, że on wie. Wiedzieli o podróży Ebingera do Reno, o jego spotkaniu z Gibsonem... Arnold Ebinger kandydował na stanowisko mera. Miał szansę być wybrany i w ten sposób stać się przełożonym całej administracji tego miasta, z policją włącznie. Dla kochanka Janice Ebinger stanowiło to poważne niebezpieczeństwo. Każdej chwili pani Ebinger mogła zostać bez grosza, a jej kochanek mógł się znaleźć bez pracy, na ulicy. I wtedy z zimną krwią dokonali zabójstwa. Miał bardzo mało czasu, aby je przygotować, zaledwie jeden dzień, gdyż 8 października Ebinger był umówiony ze swoim agentem ubezpieczeniowym, po to aby anulować polisę wystawioną na nazwisko swojej żony, a 9 lub 10 października miał się spotkać ze swoim adwokatem w Reno w celu przeprowadzenia rozwodu.

Nieprawdopodobnego doznaje się uczucia, kiedy mówi się do ludzi, których uwaga jest tak skoncentrowana. Na szczęście dla mnie, bo czułem, że mogę się zagalopować, sędzia Cornwallis przerwał mi.

– Panie Benson – powiedział – pańska opowieść jest pasjonująca, ale czasami brak w niej jasności. Stwierdził pan, że pani Ebinger mogła zostać bez pieniędzy, a morderca wyrzucony z pracy.

Dlaczego?

Uśmiechnąłem się. Prawda, zapomniałem o tym szczególe.

– Wysoki sędzie – wyjaśniłem. – Na początku całej tej sprawy zastanawialiśmy się z panem Fortee nad tym, co skłoniło Arnolda Ebingera do kandydowania na stanowisko mera. Pan Fortee powiedział mi wówczas, że często wystawia się swoją kandydaturę dla

uzyskania czegoś, ale bardzo często również – przeciwko komuś. I to było słuszne. Arnold Ebinger chciał zostać merem Springville, aby zdobyć skórę innego.

– Czyją? – spytał sędzieja.

– Kochanka swojej żony – odpowiedziałem i zamilkłem. Po chwili ciągnąłem dalej: – Morderstwo nie przedstawiało już żadnego problemu, ale morderca szukał winnego, na którego barki mógłby zwalić winę. „Czarne Pantery” wydawały się szczęśliwym rozwiązaniem. Napisał więc na maszynie przeznaczony na złom list, który wysoki sąd doskonale zna, a swoją kochankę wysłał do mnie. Ja miałem jej zapewnić alibi. Pani Ebinger zrećcznie sugerowała, że jej mąż otrzymał kilka listów podobnej treści. Przed udaniem się do mnie prawdopodobnie wprowadziła swojego kochanka do ogrodu przez boczną furtkę. Morderca, ukryty w krzakach niedaleko basenu, czekał na Ebingera, który wracał do domu między godziną osiemnastą a osiemnastą trzydzieści. Usłyszał po drugiej stronie muru szum motoru samochodowego. Przypuszczam, że spojrzał w tamtą stronę i zobaczył Michaela Dolana i Debbie Simons rozmawiających z Ebingerem. Rozmowa była bardzo krótka. Arnold Ebinger wszedł na teren swojej posiadłości, otwierając furtkę kluczem. W chwili, gdy przechodził koło basenu, morderca uderzeniem kolby rewolweru pozbawił go przytomności. Następnie wyciągnął nieprzytomnemu klucz od furtki, ciało wrzucił do basenu i opuścił posiadłość.

Sędzia Cornwallis pocierał podbródek. Wyglądał na niezwykle zadowolonego.

– Do tego miejsca zgadzam się z panem, panie Benson. Ale dlaczego zaatakowano pana tamtego wieczora?

Sądząc po lekkim szmerze, jaki powstał na sali, nie tylko sędziego interesowało to pytanie.

– Jego plan był bardzo chytry – odpowiedziałem. – List podpisany przez „Czarne Pantery” był już sam w sobie dobrym pomysłem, ale dookoła niego należało stworzyć całą dekorację. Dlatego właśnie pani Ebinger przyszła do mnie. Ten fakt dramatyzował sytuację. Podkreślał... czarny charakter całej sprawy. Morderca znał mnie. Wiedział, że przed podjęciem decyzji z pewnością poproszę o czas do namysłu. A gdy ten czas rzeczywiście nadszedł, postanowiono mnie odstraszyć od zagłębiania się w istotę rzeczy. Dlatego mnie pobito. Wiedział, że interesuję się Arnoldem Ebingerem i dlatego zrobił wszystko, aby mi w tym przeszkodzić. Niestety, na nieszczyście dla niego, różnica czasu między wizytą pani Ebinger u mnie a skontaktowaniem się pseudo-Arnolda Ebingera ze Skinny Dombsem dała mi dużo do myślenia. Skinny Dombs odebrał telefon o godzinie osiemnastej czterdzieści pięć 7 października. Ebinger już wtedy nie żył. Następnego dnia po znalezieniu ciała pani Ebinger oddała z niewinną miną list szeryfowi O'Malleyowi i porucznikowi Trentowi. Dokument ten został natychmiast przekazany prasie, która zaczęła dąć w trąby przeciwko „Czarnym Panterom”. Wysoki sąd zna następstwa tej inicjatywy. Dramat po tamtej stronie rzeki. Jedna osoba zabita, dziesiątki rannych. Setki aresztowań i pożar, który zaczął rozprzestrzeniać się po całym kraju. W dwa dni później zarząd miejski ogarnęła panika. Z okazji pogrzebu Arnolda Ebingera gubernator, senator i inni przedstawiciele władzy oraz reszta zebranego towarzystwa napadła na mera i policję. Wówczas morderca zląkł się. Zdał sobie sprawę z katastrofalnych konsekwencji swego planu. Na szczęście, była ta para młodych ludzi, którzy zaczepili Ebingera w momencie, gdy wracał do domu. Potrzebny był pretekst, aby tę parę



aresztować. Porucznik Trent dokładnie przeszukał całą dzielnicę po to, by znaleźć świadka, który ich widział. Miał szczęście. Ogrodnik Samuel Briggs widział ich. Nie w dniu morderstwa, ale przedtem. I to dwa razy w dodatku. Aresztowani Michael Dolan i Debbie Simons przyznali się do tego, że starali się skontaktować z Ebingerem. Nie mieli żadnego powodu, aby ukrywać ten fakt. Były to jednak poszlaki wystarczające, by znaleźli się przed sądem.

Przy stole prokuratora panowała cisza i konsternacja. Sędzia Cornwallis natomiast pozerął mnie z ciekawości wzrokiem. To było lepsze nawet od telewizji!

– A więc, panie Benson – zaczął – winnym jest...

– Porucznik Trent, wysoki sędzie! Od wielu miesięcy był on kochankiem Janice Ebinger. Adwokat Fortee przekaze do dyspozycji sądu oficjalny raport eksperta stwierdzającego identyczność tej maszyny do pisania z tą, która posłużyła do wystukania listu oskarżającego „Czarne Pantery”. Przeglądając rejestry zarządu miejskiego, można stwierdzić, że maszyna ta znajdowała się w wydziale zabójstw. Trent posłużył się nią w ostatnim momencie, tuż przed oddaniem jej na złom. Niestety, nie miał szczęścia... Maszynę kupił handlarz starzyzną. Od dnia śmierci Ebingera Trent każdej nocy przebywał w posiadłości wdowy. Wchodził przez boczną furtkę, korzystając z klucza swojej ofiary. Śledziłem go jeszcze wczoraj. Niestety, nie będzie on mógł tego potwierdzić, gdyż opuścił salę sądową w momencie, gdy zrozumiał, do jakich wniosków zmierzam. Ma on w tej chwili godzinę przewagi nad sądem. Z tego powodu wybraliśmy z obroną nie drogę pytań, lecz opowieść. Chciałem przyspieszyć sprawę.

\* \* \*

Miałbym jeszcze bardzo wiele do opowiadania. Sędzia Cornwallis przerwał posiedzenie sądu. Prokurator Mitchell i jego pomocnicy zniknęli. Wydaje mi się, że w chwili, gdy prokurator położy swoją rękę na ramieniu przyjaciela z uniwersytetu, nie będzie się czuł on zbyt dobrze.

Dziennikarze szaleli. Byłem otoczony setką reporterów, którzy fotografowali mnie ze wszystkich stron. Obaj policjanci pilnujący Michaela Dolana i Debbie Simons stali nieruchomo jak dwa szparagi. Nie wiedzieli, co zrobić ze swoimi więźniami. Młodzi ludzie, pijani ze szczęścia, padli sobie w ramiona.

Zapaliłem papierosa i dotknąłem ramienia Tima.

– No cóż, wygraliśmy chyba – szepnąłem.

– Masz szczęście, że Trenta ogarnęła panika, bo gdybyś musiał przedstawić dowody...

– To jasne! Miałem tylko moje własne zeznania; ale pamiętaj, że jestem jednak detektywem i mam oficjalną licencję, więc moje zeznania mają swoją wagę! Przez trzy noce śledziłem ptaszka przebywającego w domu Janice...

Zbliżył się do mnie pastor Borden.

– Parafia Świętych Dnia Ostatniego – powiedział uroczyście – jest szczęśliwa, że przyczyniła się do triumfu prawdy.

Pomyślałem sobie, że jak na metodystę, pastor ma zbyt wiele z jezuitę. Poczulem się okropnie zmęczony. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo pracowałem przez te dziesięć dni i w jakim żyłem napięciu. Marzyłem już tylko o jednym: żeby być z Luizą w jednej z tych małych knajpek, w których zdarza nam się jadać wówczas, gdy dłużej pracujemy.

Wyszliśmy z sądu. Udzieliłem setki wywiadów. Była to dla mnie fantastyczna reklama. Mam wrażenie, że w ciągu najbliższych kilku lat będę miał pełne ręce roboty.

Wreszcie wszystko uspokoiło się. Wziąłem pod rękę moją piękną sekretarkę i ruszyłem z nią przed siebie. Przy chodniku stał wóz policyjny. Centrala nadawała: „Uwaga, wszystkie radiowozy...”

– Jak się panu zdaje, czy prędko znajdzie się w ich rękach? – spytała Luiza i podniosła na mnie swoje wspaniałe czarne oczy.

Była najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Zna przecież wszystkie drogi i wszystkie sposoby.

Uśmiechnęła się.

– A może zagramy w totalizatora, kto wygra?

Podeszliśmy do mojego samochodu. Usiadłem za kierownicą. Luiza obok, z mojej prawej strony. Wziąłem jej głowę w obie ręce i delikatnie pocałowałem w usta.

– Oto wygrana – odpowiedziałem.